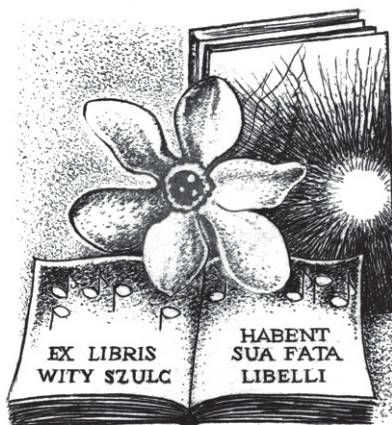


Wita Szulc

Kajros i arteterapia

Opowieść autobiograficzna



© Copyright by CSW Arteer

Warszawa 2013

Wydanie I

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja
w sposób elektroniczny, mechaniczny, fotograficzny, czy inny niniejszej książki
wymaga pisemnej zgody Wydawcy.

Koordynatorzy wydania: Ewa Redzik i Paweł Rybicki

Korekta: Monika Żądło

Projekt okładki: Tomek „Freek” Kowal

skład i łamanie: Mikrografa.pl

Druk: EMPESTUDIO

ISBN 978-83-930257-3-2

Centrum Szkoleniowo-Wydawnicze Arteer Elżbieta Rybicka

01-842 Warszawa, al. Reymonta 12A lok.17

tel/fax 22 465 22 37

www.arteer.pl, e-mail: arteer@arteer.pl

Spis treści

Wstęp. Dlaczego Kajros i skąd arteterapia?

Wojna i pokój

Dziecko się rodzi – nadzieja

Śniatyn – moje pierwsze miejsce na ziemi

Magia Huculczyzny

„Kresy we krwi” Aletofobia?

Arteterapia ofiar wojen, czystek etnicznych i zamachów

Arteterapia wobec dramatów współczesnego świata

Wojna, muzyka i muzykoterapia

Historie jak mosty – łączą i dzielą

Saga kresowego rodu

Muzykoterapia konsolacyjna

Nadzieja w arteterapii

Historia – tradycja – edukacja

Moi rodzice

Zdjęcia z rodzinnego albumu. Sekrety fotografoterapii

Jeszcze w głąb historii rodzinnej

W cieniu żałoby

Arteterapia paliatywna

Dwa kręgi rodzinne : śniatyński i lwowski

Lęki, smutki i radości dzieciństwa

Ekspatriacja. Niespokojny czas po wojnie

Otwocki „Olin” i inne sanatoria

Szkoła sanatoryjna w Kiekrzu: arteterapia „na miarę” każdego dziecka

Radosne chwile dzieciństwa

Z cukru był król, z piernika paż, królowna z marcepana

Witaj w domu!

Mała Lo Ming. Dzieciństwo w kulturze angielskiej i chińskiej

Siła wspomnień dobrych i złych

Urodziny w Nowy Rok

A ja bajki tak lubię ogromnie

Koniec wiary w krasnoludki ale nie w Świętego Mikołaja

Bajkoterapia i zabawa w piaskownicy jako terapia

Zabawki jak z Muzeum Zabawek

Coś ładnego do zjedzenia

Coś ładnego do zrobienia

Coś ładnego do ubrania

Uroda świata

Idziemy do szkoły

Zamiast szkoły - przedszkole

Pierwsza B

Poznań – moje miasto

Opera i inne muzyczne atrakcje

Okres stalinizmu i Poznański Czerwiec 1956

„Zamoyszcanki”

Milczenie jest złotem czyli jak to było na studiach filologii klasycznej

O przyjaźni

„Piękni dwudziestoletni”

List jedyny Tajemnica poezji terapii

„Pro Musica”

Studium Kulturalno – Oświatowe Uniwersytetu Wrocławskiego i jego twórca

Profesor Stanisław Pietraszko

Praca „u podstaw” nad upowszechnianiem kultury

Pro Sinfonika. *Jeszcze będziesz mi orłem*

Aura naukowości w Akademii Medycznej. Czas na opisanie „kultury dla mas”

Kultura, medycyna i sztuka czyli koncepcja kulturoterapii

Wielki świat arteterapii

Holenderska stażystka studiuje polską „Kulturoterapię”

Międzynarodowe konferencje źródłem wiedzy o arteterapii

Najpierw muzykoterapia... Cambridge 1992

ECArTE, EMTC, WFMT, IMM

Medycyna muzyczna a muzykoterapia. Dziwne losy referatu

prof. dr Cheryl Dileo

Praca w Europejskim Komitecie Muzykoterapii

Kto się troszczy o standardy edukacji arteterapeutów?

ECArTE w Ferrarze na Uniwersytecie, na którym Kopernik otrzymał doktorat

Kalisz : Bramy raj

Wyższa Szkoła Logopedii i Dramy. w Londynie. Konferencja ECArTE

w dniach żałoby po śmierci księżnej Diany

Morał arabskiej bajki o Mądrym królu opowiedzianej na angielskim uniwersytecie

Podróż do Waszyngtonu D.C. – światowej stolicy muzykoterapii w roku 1999

IX Światowy Kongres pod hasłem „Muzykoterapia”: globalna mozaika.

Wiele głosów – jedna pieśń”

Obrazki z historii Ameryki i sztuka amerykańska

Boston bez herbatki. Biblioteka Publiczna i Instytut Muzykoterapii

New York, New York

Obrady ECArTE w Luxemburgu po tragedii 11 września

Sztuka i arteterapia we Włoszech

Uniwersytet Roma Tor Vegata i miesięcznik Arti Terapie

Starożytne Tivoli. Wizja terapii ogrodowej i pejzażoterapii

Eros i Psyche w Bari. Włoska Wielka Grecja

Jerozolima w roku 2000

Wyprawa do Betlejem

Masada i Kolegium Davida Yelina – szkoła tolerancji i pokoju

Pożegnanie Izraela . Obrady i nowy Zarząd EMTC w Kadyksie 10 lat później

Ponownie Bella Italia Europejski Kongres Muzykoterapii w Neapolu w roku 2001

„Panie są z Polski”

Wizyta w Watykanie

Arteterapia za wschodnią i południową granicą

Z powrotem w Polsce

„Arteterapia” z Pedagogiką na Uniwersytecie Wrocławskim

I znowu zjawiał się Kajros

Bibliografia

Dlaczego Kajros i skąd arteterapia?

Termin arteterapia, inaczej terapia przez sztukę, sporadycznie występujący w polskim piśmiennictwie lat 70. i 80. ub. wieku w kontekście omawiania bardzo zróżnicowanych form terapii z udziałem sztuki, takich jak muzykoterapia, biblioterapia, choreoterapia, od roku 1988. określany jest jedną zbiorczą nazwą arteterapia. O ile jednak arteterapię stosowano początkowo niemal wyłącznie w lecznictwie zamkniętym, głównie psychiatrycznym, o tyle obecnie najwięcej uwagi poświęca się arteterapii dzieci, głównie niepełnosprawnych. Arteterapia ma jednak dużo szersze spektrum oddziaływania, niż wymienione, bowiem odnieść ją można do wszystkich obszarów życia człowieka i z wszystkich obszarów czerpać mądrość i wiedzę, niezbędną w pracy arteterapeuty. Potwierdzają to zagraniczne publikacje na temat arteterapii ukierunkowanej na dramaty współczesnego świata i dylematy egzystencjalne człowieka, dowodzi moje osobiste doświadczenie.

Polska arteterapia ma wiele twarzy, prezentują je terapeuci o różnych specjalnościach artystycznych, wśród nich arteterapeuci zrzeszeni w bliskim mi Stowarzyszeniu Arteterapeutów Polskich "Kajros", założonym w roku 2003. Przedstawiam jedną z nich, odwołując się do własnych doświadczeń, zdobytych nie tylko w ciągu trzydziestu paru lat pracy naukowej, jakie upłynęły od chwili, gdy zaczęłam interesować się możliwościami wykorzystania sztuki w lecznictwie, ale w ciągu całego mego życia.

W kręgach zagranicznych arteterapeutów praktykowane jest pisanie biografii i autobiografii, jak również publiczne mówienie, np. podczas konferencji naukowych, o własnych przeżyciach i doświadczeniach, takich jak, Holokaust, śmierć czy ciężka choroba osób najbliższych – ojca, dziecka, partnera, doznaniach zapamiętanych z dzieciństwa, bo to pozwala lepiej zrozumieć filozofię podejścia do terapii przez sztukę, wyznawaną przez danego arteterapeutę i stosowane przez niego metody. Przykładem mogą być wystąpienia konferencyjne profesorów muzykoterapii: Cheryl Dileo (USA) Carolyn Kenny (Kanada), Evena Ruuda (Norwegia), Dorit Amir (Izrael), przemówie-

nie Joan Erikson (USA) na temat zdrowotwórczych właściwości sztuki wygłoszone z okazji benefisu 50-lecia jej pracy arteterapeutycznej i wydrukowane w czasopiśmie "Journal of Art Therapy" w roku 1979, czy upublicznione życiorysy pionierów arte- i muzykoterapii: Margaret Naumberg, Paula Nordoffa i Cliva Robbinsa, zawierające wiele szczegółów z ich życia prywatnego i rodzinnego.

Niniejsza książka ma również charakter autobiograficzny z tym zastrzeżeniem, że koncentruję się w niej wybiórczo na tych wydarzeniach, które – jak mi się wydaje – ukształtowały mój sposób odczuwania, myślenia i wartościowania, a w konsekwencji wpłynęły na wybór i opracowanie takiej, a nie innej koncepcji arteterapii którą wyznaję i którą od lat 80. ub. wieku staram się rozwijać i propagować¹. Moje osobiste preferencje widoczne są również w zamieszczonych w tej książce sprawozdaniach z zagranicznych konferencji, w których uczestniczyłam, bo prezentuję i omawiam te poglądy, teorie i obszary zainteresowań zagranicznych teoretyków i praktyków arteterapii, które są mi bliskie, potwierdzają w jakiś sposób słuszność mojej koncepcji arteterapii, choć są i byli na świecie arteterapeuci wyznający inną filozofię, mający inną orientację zawodową, np. zajmujący się wyłącznie korekcją wybranych zaburzeń rozwojowych lub prowadzący warsztaty artystyczne ukierunkowane ogólnie na rozwój twórczy człowieka. Udział w zagranicznych konferencjach naukowych był dla mnie inspiracją do własnych rozważań nad fenomenem arteterapii, prezentowanych później w odrębnych publikacjach zaś najważniejsze ustalenia i prezentowane tam teorie, takie jak np. kierunki rozwojowe i modele współczesnej światowej muzykoterapii omawiane na dorocznych spotkaniach Europejskiego Komitetu Muzykoterapii i zademonstrowane m.in. na IX Światowym Kongresie Muzykoterapii w Waszyngtonie uprzyścipleniłam polskiemu czytelnikowi w wydanej przez UMCS książce Muzykoterapia jako przedmiot badań i edukacji (2005), a bardziej wszechstronnie i szczegółowo omówiłam w rozdziale Muzykoterapia – najdoskonalsza forma terapii przez sztukę w monografii Arteterapia. Narodziny idei, ewolucja teorii, rozwój praktyki. Wyeksponowanie muzykoterapii nie jest przypadkowe, bo na zaproszenie prof. Andrei J. należałam do grona wykładowców Podyplomowych Studiów Muzykoterapia z elementami arteterapii prowadzonych na Uniwersytecie Marii Curie – Skłodowskiej w Lublinie.

Pod względem zawartości merytorycznej, niniejszą publikację można bowiem

¹ Mój oficjalny biogram podaje encyklopedia Huebners Who is Who Polska. Verlag fur Personen-zyklopadien AG CH -6304 Zug, Szwajcaria.

traktować jako komentarz do wspomnianej wyżej książki *Arteterapia...*”, z roku 2011, w sposób szczegółowy dokumentującej narodziny, podstawy teoretyczne i rozwój koncepcji, według której arteterapia traktowana jest jako część kulturoterapii². Ponadto są w niej również nawiązania do innych moich, jeszcze wcześniejszych tekstów, ujętych w zamieszczonej na końcu książki Bibliografii publikacji, oraz fragmenty publikowanego na łamach czasopisma *”Arteterapia – terapia sztuką w praktyce”* cyklu *Podróże z arteterapią*. Impresje z bliższych i dalszych podróży, ciekawostki historyczne są również tym, jak się przekonałam, czym można zainteresować uczestników kulturoterapii traktowanej jako zajęcia kulturalno – edukacyjne w ośrodkach zamkniętych; w pierwotnym modelu kulturoterapii (1988) określone były mianem oświatoterapii.

Akcentowana zależność między kulturoterapią a arteterapią jest konieczna, ponieważ arteterapia bez uwzględnienia kontekstu kulturowego zatraci – moim zdaniem – swój wymiar humanistyczny, wymagający traktowania pacjenta przede wszystkim „po ludzku”, mimo – albo dlatego, że specyficzną cechą tej terapii jest sztuka, sztuka zaś to świat człowieka. Stąd przypomnienie, sformułowanej po raz pierwszy przed 25-ma latami, i późniejsze doprecyzowanie definicji kulturoterapii, która brzmi: Kulturoterapia jest jednym z wielu działań ukierunkowanych na człowieka i jego środowisko, podejmowanych w celu przywrócenia, poprawy lub utrzymania zdrowia i dobrej jakości życia a jego specyfika polega na tym, że do realizacji tego celu wykorzystuje środki kulturowe, przede wszystkim sztukę.

Środkami kulturowymi określam sposób, w jaki prowadzi się terapię, jej miejsce, otoczenie i okoliczności, a przede wszystkim relację między prowadzącym terapię a jej uczestnikiem oraz kulturowe uwarunkowania tej relacji.

Sztuka – narzędzie arteterapii, według tej koncepcji, jest elementem kulturoterapii – bardzo ważnym, ale tylko elementem, sama zaś arteterapia rozpatrywana jest w kontekście kultury. Oznacza to, że w procesie terapii z udziałem sztuki uwzględnia się cały szereg różnych czynników kulturowych i środowiskowych, wpływających na człowieka potrzebującego pomocy, opieki, wsparcia. Człowieka postrzega się w wymiarze zarówno globalnym jak i jednostkowym, co wskazuje na uniwersalizm arteterapii, zaś w warunkach instytucji zamkniętej, w której stosowana jest arteterapia (szpitale, domy dziecka, szkoły, domy pomocy społecznej, zakłady penitencjarne) uznaje się hierarchię potrzeb i priorytet zaspokajania potrzeb podstawowych przed potrzebami

2 W. Szulc, *Arteterapia. Narodziny idei, ewolucja teorii, rozwój praktyki.* „Difin”, Warszawa 2011

rozwoju, dostrzega się i docenia rolę milieu otaczającego pacjenta, a nie tylko sztukę i proces twórczy wykorzystywany w terapii.

Przypomnienie w tym miejscu koncepcji kulturoterapii podyktowane jest tym, że – jak można zauważyć śledząc polskie piśmiennictwo na temat arteterapii – dynamicznie rozwijający się od lat 90. ub. w. nurt pedagogiczny w arteterapii ma wiele wspólnego ze znanymi dużo wcześniej i opisanymi w piśmiennictwie naukowym i popularno – naukowym formami „kulturoterapii” właśnie, które opierały się na teoriach potrzeb kulturalnych, wychowania przez sztukę, czasu wolnego i rekreacji, działalności kulturalno – oświatowej i holistycznego pojęcia zdrowia, opisanymi już w skrypcie *Kulturoterapia* wydanym przez Akademię Medyczną w Poznaniu w roku 1988, a szerzej omówionymi w jego poszerzonej wersji z roku 1994 i w pojedynczych artykułach z lat 1980–2003, chociaż do nich się nie odwołuje. Również podział terapii przez sztukę na dziedziny, takie jak arteterapia plastyczna, biblioterapia, muzykoterapia, choreoterapia, dramaterapia, ludoterapia, esteterapia, silwoterapia itd.,³ powszechnie obecnie znany lecz mylnie cytowany za E.J.K. – autorką książki *Arteterapia w teorii i praktyce*⁴ wydanej w roku 2003, faktycznie pochodzi z książek *Kulturoterapia* (1988/1994).

Koncepcję arteterapii opartej na kulturze od arteterapii pedagogicznej różni przede wszystkim to, że nie przewiduje ona pisania scenariuszy sesji terapeutycznych, chociaż scenariusze właśnie najbardziej interesują pedagogów zainteresowanych arteterapią, a wzory takich scenariuszy dominują w poradnikach i są przedmiotem nauczania na licznych kursach i studiach prowadzonych przez arteterapeutów o orientacji pedagogicznej.

Arteterapeuta dostrzegający potrzebę oparcia swoich działań na jakiejś teorii (bo nie wszyscy praktycy taką potrzebę odczuwają) ma do wyboru różne orientacje teoretyczne. Odwołując się do najpopularniejszej, amerykańskiej teorii Edith Kramer, według której w arteterapii najważniejsza jest aktywność artystyczna czyli twórczość

3 Podział arteterapii na dziedziny wg dziedzin sztuki przedstawiony został po raz pierwszy w książkach W. Szulc, *Kulturoterapia. Skrypt dla Wydziału Pielęgniarskiego Akademii Medycznej*. Wyd. AM im. K. Marcinkowskiego w Poznaniu. Poznań, 1988, s. 30 – 31 oraz *Kulturoterapia. Wykorzystanie sztuki i działalności kulturalno – oświatowej w lecznictwie*, Wyd. AM w Poznaniu, Poznań, 1994, s. 15. Tamże etymologia nazw poszczególnych form terapii przez sztukę i wyjaśnienie koncepcji healing (uzdawianie, przywracanie do zdrowia).

4 Por. E.J. Konieczna, *Arteterapia w teorii i praktyce*. Impuls, Kraków, 2003, gdzie ten podział i etymologia nazw dziedzin arteterapii nie mają odsyłacza do źródła, z którego zostały przepisane.

lub wzorując się na praktyce holenderskiej, w której odpowiednikiem polskiej, rozumianej szeroko arteterapii są *Creative Arts Therapies*⁵ czy też do rodzimej teorii kulturoterapii powinien koncentrować się na osobie – uczestniku sesji terapeutycznej i wykorzystywać swoje umiejętności artystyczne i wiedzę po to, aby mu pomóc coś stworzyć, wyrazić. Ale to coś jest pomysłem, wyrażeniem myśli pacjenta/podopiecznego, a nie arteterapeuty i arteterapeuta nie może tego z góry zaprogramować, wybierając według własnego uznania jakiś scenariusz z wielu tego typu propozycji, a podczas spotkania z pacjentem/podopiecznym zmierzać tylko do realizacji tego scenariusza. Scenariusz jest konieczny, gdy arteterapeuta przygotowuje dramę, przedstawienie, ale jest ono ukierunkowane na konkretny, życiowy problem uczestników/uczestnika arteterapii, wcześniej rozpoznany przez arteterapeutę/dramaterapeutę lub współpracującego z nim psychologa.

Z naukowym podejściem do terapii za pomocą sztuki zetknęłam się po raz pierwszy we wrześniu roku 1980 na konferencji pod hasłem *Niefarmakologiczne metody leczenia*, zorganizowanej przez Akademię Medyczną w Katowicach⁶. Jak czas pokazał, nie była to inicjatywa jednorazowa tej uczelni, bo katowicka Akademia Medyczna obecnie jest współrealizatorem, wspólnie z katowicką Akademią Muzyczną im. Karola Szymanowskiego, regularnych dwustopniowych studiów z zakresu muzykoterapii, na których wykładają takie światowe sławy, jak prof. dr Barbara Wheeler z Luisville (USA), autorka książek na temat metodologii badań naukowych w muzykoterapii i redaktorka portalu Voices, będącego światowym forum muzykoterapeutów oraz dr Simon Procter z Centrum Muzykoterapii Nordoff – Robbins w Londynie. Wspominam o tym, bo na zaproszenie prof. dr Aliny G., prorektor Akademii Muzycznej w Katowicach, miałam przyjemność w latach 2006–2007 opracowywać program tych studiów, przed ich uruchomieniem, bez mojego udziału, w roku 2008.

Wkrótce po konferencji katowickiej poznałam najbardziej znane dziś formy terapii przez sztukę stosowane na terenie Wrocławia, miasta akademickiego będącego kolebką polskiej arteterapii: biblioterapię sygnowaną nazwiskami prof. Jana Trzynaśdłowskiego, Wandy Kozakiewicz, Janiny Kościów, Krystyny Hrycyk oraz mu-

5 Termin ten (terapia kreatywne, twórcze) pojawia się również w wydawanych w Ameryce podręcznikach Cathy Malchiodi, w których zbliżone znaczenie ma termin *Expressive Arts Therapy*, oznaczający ekspresję twórczą wywoływaną podczas terapii z wykorzystaniem różnych form sztuki.

6 Pamiętam szmer poruszenia na sali, jaki wywołało pojawienie się na konferencji pięknej pani prof. dr hab. Adrianny Gierek, wybitnej okulistki, synowej I Sekretarza KC PZPR, której barwną postać i działalność przypomina wydana w roku 2012 książka pt. „Czerwona księżniczka”.

zykoterapię wprowadzoną do Akademii Muzycznej im. Karola Lipińskiego już w roku 1970 przez prof. dr Tadeusza Natansoną – muzyka – kompozytora i jego dwóch najbliższych współpracowników, doktorów medycyny (w stopniu docenta): Andrzeja Janickiego i Zbigniewa Horę. Dzięki nim poznałam formy i metody biblioterapii dla pacjentów szpitalnych oraz filozofię i techniki muzykoterapii, również stosowanej wobec pacjentów, ale nie tylko, skoro przyjmujemy, że celem muzykoterapii jest, jak to ujmował prof. Natanson – „poprawa jakości życia człowieka, który tworzy sam siebie”. Warto wspomnieć, że w publikacjach z przełomu lat 70. i 80. XX w. pojawia się termin *artOterapia*, z łącznikiem o, według zasad polskiego słowotwórstwa, zaś do terminu *artEterapia* osobiście przekonałam docenta dr med. Zbigniewa Horę, pomysłodawcę i kierownika obozów rehabilitacyjnych w Krynicy Morskiej podczas realizowania pierwszego programu kulturoterapii na obozie w roku 1986 dowodząc, że wyraz *arte* to jest narzędnik od łacińskiego wyrazu *ars* i tłumaczony zgodnie z polską koniugacją znaczy sztuką, w związku z czym i wyraz *artEterapia* oznacza terapię za pomocą sztuki, albo terapię sztuką.

W tym czasie, tj. na początku lat 80. ub. w. pracowałam już od kilku lat w Akademii Medycznej w Poznaniu, miałam doktorat z kulturoznawstwa oraz stopień bibliotekarza dyplomowanego, a więc dysponowałam kwalifikacjami potrzebnymi do stworzenia autorskiej koncepcji kulturoterapii i całościowego opisu podstaw teoretycznych i praktycznych zastosowań biblioterapii, zwłaszcza że zatrudniona byłam w bibliotece.

Moja koncepcja kulturoterapii, z racji tego, że pracowałam w tym czasie w Akademii Medycznej, miała nachylenie medyczne, ale od początku ukierunkowana była bardziej prozdrowotnie niż leczniczo i odwoływała się do idei holizmu oraz teorii salutogenezy, muszę jednak zauważyć, że idea holizmu nie jest powszechnie uznawana i akceptowana w środowisku medycyny akademickiej, co kiedyś naraziło mnie nawet na zarzut – całkowicie bezpodstawny – ze strony jednego z przedstawicieli medycyny, nie uznających innych metod leczenia poza chirurgicznymi i farmakologicznymi, sprzyjania metodom nieomal szamańskim⁷.

Chciałabym też zauważyć, że aczkolwiek naukowo opracowana koncepcja

7 Czynie tu aluzję do krytycznego wobec holizmu artykułu pt. „Medycyna totalna”, prof. Andrzeja G. z lubelskiej Akademii Medycznej zamieszczonego na łamach czasopisma „Alma Mater”, 2001 nr 2/39, s. 232-233 i tekstów tegoż autora w czasopiśmie „Najwyższy Czas” oraz mojej z nim polemiki („Alma Mater”, 2002, nr 3/40 s. 195).

kulturoterapii była moja, to sam pomysł zajęcia się kulturoterapią jako aktywizacją kulturalną ludzi chorych i jej organizowaniem w celach terapeutycznych pochodził od p. mgr Bolesława Howorki, mojego ówczesnego szefa, dyrektora Biblioteki Głównej Akademii Medycznej gdzie miałam status pracownika naukowo-dydaktycznego i pełniłam funkcję kierownika Oddziału Bibliotek Zakładowych Akademii Medycznej, bym zajęła się organizacją czasu wolnego chorych i wprowadzaniem sztuki, w tym literatury, na oddziały szpitalne. Biblioteka medyczna jest odpowiednim miejscem do zajmowania się teorią biblioterapii ale praca kliniczna, bezpośrednio z pacjentami jest jeszcze ciekawsza, bo pozwala na weryfikację teorii. Dyrektor Howorka zarekomendował mnie pani profesor Laurze Wołowickiej, która będąc lekarzem anestezjologiem, kierownikiem Katedry Intensywnej Opieki Medycznej AM i OIOMU w Szpitalu Wojewódzkim w Poznaniu przystępowała właśnie do organizowania Katedry Pielęgniarstwa i Rehabilitacji w ramach Wydziału Pielęgniarskiego Akademii Medycznej.

Wszystko, co w mojej działalności kulturo – arteterapeutycznej wiąże się z medycyną zawdzięczam współpracy z lekarzami i pielęgniarkami głównie z tej Katedry, od uczestnictwa w programach badawczych nad stosowaniem muzyki w anestezjologii⁸ przez udział w międzynarodowym programie wymiany pracowników dydaktycznych Tempus (poprzednik Erasmus), uczestnictwo w zagranicznych konferencjach naukowych (Cambridge, Rotterdam, Maastricht, Ferrara, Hamburg, Londyn) po uroczyste spotkania integracyjne organizowane z okazji imienin Pani Profesor w jej daczce w Kamińsku pod Poznaniem.

Ostrożność w opiniach dotyczących źródeł, to znaczy w referowaniu stanu piśmiennictwa na konkretny temat i zastrzeganie się przy stwierdzeniach dotyczących jakiegoś faktu, że przedstawia się on tak w świetle dostępnej wiedzy (sc. dostępnej autorowi), a w wystąpieniach naukowych przestrzeganie czasowej dyscypliny zawdzięczam prof. dr hab. med. Bożenie Galas Zgorzalewicz⁹, kierownikowi Kliniki Neurologii Rozwojowej a zarazem – w pewnym okresie – prodziekanowi Wydziału Nauk o

8 L. Wołowicka, Nowicka A., Szulc W., Modzelewska M., Ciesielski K.: Wpływ stosowania muzyki u chorych znieczulanych przewodowo na poziom lęku i ból pooperacyjny. Pamiętnik X Zjazdu PTAiT. Łódź 15.IX.1986r. Łódź 1986, s. 106 – 107 (mój udział w tych badaniach polegał na doborze muzyki i uczestnictwie w badaniach testowych)

9 Przykładem może być wspólny referat i jego wygłoszenie przez panią Profesor na konferencji w Jagińtkowie: B.Galas – Zgorzalewicz, W. Szulc, M. Buczkowska: Arteterapia w wybranych zespołach neurologicznych. Doniesienie wstępne. W: Arteterapia (III) Arteterapia a proces leczenia i postępowania psychokorekcyjnego. Zeszyty Naukowe Akademii Muzycznej im. K. Lipińskiego we Wrocławiu Nr 57. Wrocław 1990, s. 70 – 76.

Zdrowiu, w którego strukturach pracowałam w latach 1984 – 2003. Zwracam na to uwagę, ponieważ w nowszym piśmiennictwie na temat arteterapii (i nie tylko arteterapii) dość często spotkać można zapewnienia – nieprawdziwe, bo nie poparte rzetelną kwerendą – że nie ma/dotąd nie było takich badań, co ma dowodzić kompetencji i pionierskości autora podejmującego daną kwestię.

Czym zatem w moim osobistym przeświadczeniu są kulturoterapia i arteterapia? Kulturoterapię określiłam kiedyś jako zinstytucjonalizowaną przyjaźń, natomiast arteterapię nazwałam ulepszaniem życia. Wyraziłam to spontanicznie podczas pierwszej dla mnie, a chronologicznie trzeciej konferencji ECArTE (European Consortium for Arts Therapies Education), czyli Europejskiego Konsorcjum Edukacji Arteterapeutów, odbywającej się we wrześniu 1994 roku we Włoszech, w Ferrarze. Gospodarzem konferencji był tamtejszy Uniwersytet, a miejscem obrad historyczny gmach Università degli Studi – Palazzo Renata di Francia,. Otóż na zakończenie kilkudniowej konferencji, gdy już wszyscy uczestnicy mieli okazję trochę się poznać i w kuluarach wymienić opinie, poproszono nas, aby każdy powiedział, czym dla niego osobiście jest arteterapia. Pytanie padło w sytuacji zabawowej, gdy korowodem, ze śpiewem przemierzaliśmy wspaniałe pałacowe schody. Długo nie zastanawiając się odpowiedziałam, gdy przyszła moja kolej: arte terapia e' megliorare della vita. („arteterapia jest ulepszaniem życia”). Chciałam tym określeniem nawiązać też do cycerońskiego rozumienia kultury jako uprawy umysłu.

W słuszności takiego właśnie rozumienia arteterapii umocniły mnie późniejsze lata pracy naukowej, poświęcone zgłębianiu tej bardzo specyficznej dziedziny wiedzy i praktyki społecznej. Zastanawiając się nad sensem tak właśnie pojmowanej arteterapii, zdecydowałam się w tej książce przedstawić moją drogę do niej i moją wizję arteterapii od samego początku, od miejsca, gdzie wszystko się zaczęło.

O tym, że przeżycia z okresu dzieciństwa mają wpływ na całe dorosłe życie człowieka., wiadomo od dawna. We współczesnej psychologii i pedagogice dużo uwagi poświęca się dziecięcym lękom, przeżyciom traumatycznym z okresu dzieciństwa i sposobom niwelowania ich skutków. Jednym z takich sposobów są metody i techniki arteterapeutyczne, np. bajkoterapia. Dysponujemy wieloma zbiorami bajek terapeutycznych, ale nie dotarłam do badań jakościowych nad odbiorem, rozumieniem, oceną i pamiętaniem bajek przez dzieci i ewentualnie nad odległymi skutkami opo-

wiadania bajek, czyli tego co się składa na wpływ bajek, badań prowadzonych wśród osób dorosłych wspominających swoje dzieciństwo, mogących dostarczyć informacji, czego bali się będąc dziećmi, czy ktoś im wówczas czytał i/lub opowiadał bajki, a jeśli tak, to czy pamiętają, jak się czuli słuchając bajek, czy przeżywali ich treść, utożsamiali się z ich bohaterami, pragnęli ich naśladować, znaleźć się w ich świecie. Piszę o bajkach, bo w moim wypadku świat bajek, mitów i optymistycznych, pokrzepiających opowieści, do którego bardzo wcześnie wprowadzili mnie rodzice, pozwolił mi nie odczuć boleśnie grozy, szarości i biedy dzieciństwa wpływającego początkowo w czasie wojny a później w okresie stalinizmu.

Pedagogiczny problem wskaźników efektywności edukacji w większej jeszcze skali dotyczy wychowawczej roli sztuki czyli wychowania przez sztukę. I w tym wypadku jest za mało, moim zdaniem, badań jakościowych, etnograficznych, oceniających rolę i wpływ sztuki na człowieka w kontekście zdarzeń całego jego życia. Piszę zatem także o moich pierwszych kontaktach ze sztuką, tak jak je przeżywałam i zapamiętałam. Ubolewam nad brakiem zrozumienia u pedagogów ogólnych dla roli sztuki w rozwoju człowieka, tego, że dzięki bliskiemu kontaktowi ze sztuką widzi się więcej, rozumie lepiej, czuje głębiej, nawet jeśli nie potrafi się tego metodologicznie udowodnić.

W ramach zajęć dydaktycznych, jakie od wielu lat prowadzę ze studentami różnych kierunków studiów proszę ich między innymi o pisemne wypowiedzi na tematy: Moje wejście w świat kultury – moja aktywność kulturalna – osoba przewodnika tej aktywności”, Miejsce sztuki w moim życiu, Moja biografia edukacyjna. Studentom generalnie bardzo podoba się taka forma wypowiedzi; nikogo do pisania nie zmuszam, nie daję ocen. Nie jest zaskoczeniem, że więcej do powiedzenia na te tematy mają osoby, których edukacją kulturalną od wczesnego dzieciństwa zajmowali się rodzice i/lub które na swojej drodze spotkały życzliwych, świadomych wychowawczej roli sztuki nauczycieli. Zebrany materiał czeka na głębszą analizę, a początkowe rozdziały tej książki mogą być przyczynkiem do takich badań.

Pisząc w tej książce o własnym dzieciństwie i dorastaniu zastanawiam się nad podobieństwem reakcji mnie jako dziecka i jako osoby dorosłej na zdarzenia, sytuacje, zachowania ludzi, zastanawiam się nad kolejnymi etapami procesu kształtowania się mojej osobowości, preferencji, zainteresowań – znajdujących później odbicie w

koncepcji kulturoterapii i wpływu na ten proces nie tylko osób najbliższych, z rodzicami na czele, ale również okoliczności od nich niezależnych, dostrzegam i ujawniam przeżycia wywołane wielkimi wydarzeniami o podłożu politycznym. Ukazuję formy edukacji, jakich doświadczyłam, z wyróżnieniem edukacji domowej, prowadzonej w zdecydowanie trudnych warunkach, a mimo to uwzględniającej organizowanie kontaktu dziecka ze sztuką, na koniec wreszcie zwracam uwagę na zwiastuny zainteresowania terapeutyczną funkcją sztuki.

Pisanie autobiografii jest też terapią i to niezależnie od deklarowanego celu i stanu świadomości piszącego. Nie bez powodu Duccio Demetrio dał swojej książce poświęconej teorii autobiografii¹⁰ podtytuł *Terapeutyczny wymiar pisania o sobie*. Ten wymiar terapeutyczny dostrzegłam najpierw w twórczości poetyckiej i spisanych w formie sagi rodzinnej wspomnieniach Władysława Surowieckiego, autora wydanej pośmiertnie książki pt. *Pod niebem Kresów*¹¹ nazywając tę formę wypowiedzi *autoarteterapią*. Poświęciłam tej formie twórczości wiele opracowań¹², prezentowanych w kraju i zagranicą i wywołując tym – ku memu zaskoczeniu, większy rezonans u zagranicznych badaczy zjawiska reminiscencji niż w Polsce. Przyznam, że ten wymiar terapeutyczny odczuwam również osobiście, pisząc swoje wspomnienia.

Demetrio, niezależnie od bardzo interesujących rozważań historyczno – literackich formułuje też wskazówki, jak należy pisać autobiografię. Radzi zapisywać stronice tematycznie, poświęcając je osobom odgrywającym kluczową rolę w naszym życiu, rzeczom z przeszłości, takim jak bibeloty, ubrania, ozdoby, opisom wnętrz, przedstawiających szczególne dla nas znaczenie, krajobrazom z przeszłości, doznaniom (zapachom, kolorom, dźwiękom), opisom scen, przyjaciółom i kolegom szkolnym, ukochanym osobom i przedmiotom.

Wszystko to znajdzie się w niniejszej książce, z mniej lub bardziej wyraźnymi odniesieniami do przedstawionej koncepcji arteterapii/kulturoterapii i do poszczególnych pozycji zamieszczonej na końcu bibliografii publikacji. Pisząc swoje wspo-

10 D. Demetrio, Autobiografia. Terapeutyczny wymiar pisania o sobie. Przekład A. Skolimowska. Przedmowa O. Czerniawska. Oficyna Wydawnicza”Impuls”, Kraków 2000.

11 W. Surowiecki, Pod niebem Kresów. Wybór wierszy i prozy. Wybór, opracowanie, wstęp Z.W. Okoń. Starostwo Powiatowe w Chełmie. Chełm 2007.

12 W. Szulc, Terapia narracyjna. Opowiadanie historii życia.”Alma Mater”, AM w Lublinie, Lublin, 2000, nr 3/36, s. 110 – 115 Artystyczna forma reminiscencji. The Baltic Sea Conference on Psychosomatic Medicine, Szczecin, May 29 – June 1, 1998.; Old Man and arts. (w.): Music and Therapy, Book of abstracts. 4th European Music Therapy Congress. Leuven 1998, p. 144

mnienia, zgodnie z zamysłem konstrukcyjnym tej książki, staram się wyróżniać wątki artystyczne, odnotowywać ważne dla mnie spotkania i kontakty z różnymi ludźmi, ale też powiązania znanych osób ze świata sztuki, nauki i polityki z miejscami o których piszę, a które odegrały jakąś szczególną rolę bądź w moim życiu, bądź w sprawach związanych z arteterapią.

Mam świadomość, że Czytelnik, zwłaszcza bardzo młody, może być zaskoczony, a nawet rozzarowany, że tak wiele miejsca w tej książce zajmuje historia – historia powszechna, historia Polski, historia rodzinna, wreszcie historia arteterapii – zaskoczony, bo powiedzenie Historia magistra vitae (historia nauczycielką życia) w dobie cywilizacji informatycznej, nastawionej na szybkość, skrótowość, aktualność i zysk traci, niestety, swoją wartość pedagogiczną. Przywołując pamięć historyczną pragnę też zwrócić uwagę na terapeutyczną wartość wspominania czyli na terapię narracyjną i reminiscencyjną, której prowadzenie – co nie od dziś postuluję – powinno znajdować się w wachlarzu umiejętności arteterapeuty. Dzisiejsi absolwenci studiów z zakresu działań opiekuńczych (pedagogika opiekuńcza, praca socjalna, pielęgniarstwo) byłiby zdziwieni widząc jaką radość swoim podopiecznym mogą sprawić, organizując im (arte)terapię reminiscencyjną, zachęcając do wspominania, opowiadania historii życia i – co najważniejsze – chcąc tych wspomnień posłuchać. A ludzi starszych, wymagających opieki będzie przecież coraz więcej. Oczywiście nie dla wszystkich interesująca będzie historia lat 20. i 30. XX w. ale już historia PRL-u, w którym żyli – na pewno, bo chodzi o wspominanie lat młodości, dzieciństwa, ale i okresu satysfakcji z pracy zawodowej, a tę, co by nie powiedzieć, socjalizm gloryfikował.

Arteterapeuta powinien umieć stwarzać swoim podopiecznym warunki do wyrażania wspomnień, także w formie artystycznej. Pomoc w porządkowaniu wspomnień dotyczących kolei życia człowieka, okazywanie zainteresowania nimi jest sednem terapii reminiscencyjnej, a jeśli umożliwi się wspominającemu przedstawienie historii jego życia lub choćby tylko ważnych epizodów w formie artystycznej, to mówimy wówczas o arteterapii reminiscencyjnej. Inne znane mi przykłady prawdziwej, choć tak nie nazwanej arteterapii reminiscencyjnej, prócz opisanych w tej książce, pochodzą z Domu Opieki Społecznej w Różance k/Włodawy, gdzie stworzono świetne warunki dla twórczości malarskiej pensjonariuszy i z podobnej placówki w Kamieniu Krajeńskim, gdzie siostra Fides (pознаłam Ją dzięki mojej magistrantce) z własnej ini-

cjatywy, bez nakładu środków finansowych prowadziła z podopiecznymi zajęcia artystyczne, łącznie z horti-fotografoterapią bo można tak nazwać pielęgnowanie ogrodu i fotografowanie rosnących tam roślin w zmieniających się porach roku a następnie pokazywanie tych zdjęć pacjentom od lat przebywającym w tym Domu, którzy już nie mogą podnieść się z łóżka.

A teraz kilka słów o Kajrosie. Kajros to nazwa Stowarzyszenia Arteterapeutów Polskich. Koleżanki i Koledzy, z którymi zakładałam to Stowarzyszenie w roku 2003, kiedy jeszcze pracowałam na Wydziale Pedagogiczno – Artystycznym UAM w Kaliszu (1996 – 2004) zgodzili się na tę zaproponowaną przeze mnie nazwę, choć – jak widać w internecie – nosi ją też wiele innych organizacji w Polsce i na świecie, Uzasadnienie nazwy Stowarzyszenia podane jest na stronie internetowej www.kajros.pl: Kajros, jako uosobienie chwili, w przeciwieństwie do Chronosa uosabiającego linearne pojęcie czasu, oznacza dobry, właściwy moment, który może zadecydować o powodzeniu terapii.

„Kajros” to też tytuł dwutomowego wydawnictwa w języku niemieckim, autorstwa prof. dr Dawida Aldridge, dyrektora Instytutu Medycyny Psychosomatycznej i Muzykoterapii Uniwersytetu Witten- Herdeke, które przywiozłam sobie ze Światowego Kongresu Muzykoterapii w Hamburgu, w roku 1996. Prof. Aldridge jest wielkim erudytą, chętnie sięgającym do antycznych, grecko – rzymskich źródeł filozofii humanistycznej, stanowiącej podstawę wyznawanej przez niego filozofii muzykoterapii. Podzielał jego poglądy i do jego teorii muzykoterapii, opartej ma koncepcji zdrowia jako performansu również się odwołuję.

Kajros – mało znana postać z mitologii greckiej, symbolizująca moment czasu – jest mi bliski, bo słyszałam o nim już we wczesnym dzieciństwie, gdy rodzice, a zwłaszcza ojciec w ramach dobranocek opowiadali mi mity greckie. W wyobraźni utrwalił mi się wizerunek Kajrosa w postaci młodzieńca o złocistych włosach, fruwającego gdzieś nad naszymi głowami. Grecy wierzyli, że złapanie go za lok wywołuje uczucie szczęścia, jest radosną chwilą, którą pamięta się całe życie, jest okazją, której nie należy przegapić. Nie o wizerunek jednak chodzi ale o sposób pojmowania czasu, którego Kajros jest symbolem. Mimo, że jestem zwolenniczką rzetelnych opracowań historycznych i bibliograficznych, przestrzegających chronologii wydarzeń, wolę Kajrosa od Chronosa. Cieszę mnie chwilę, momenty w życiu, w których nagle coś sobie uświadamiam,

dostrzegam, doznaję olśnienia, oczarowania, doświadczam zrozumienia i bliskości, momenty, w których chciałabym zawołać za Goethem: Chwilo trwaj, jesteś piękna! Chwile takie zdarzają się ludziom w kontaktach ze sztuką. Arteterapia prowadzona w określony sposób, przez arteterapeutów doceniających walory estetyczne sztuki stosowanej w terapii, może takie przeżycia wywoływać, może być dla pacjentów źródłem radości, niedostępnej dla nich w innych sferach życia. Zdarzało mi się w życiu poczuć muśnięcie loków Kajrosa, z sentymentem wspominam te chwile, niektóre spróbuję opisać. Z perspektywy lat rozpamiętuję też okazje, których nie wykorzystałam lub których nie zauważyłam, co jest doświadczeniem wielu ludzi dokonujących bilansu swego życia. Arteterapia, traktowana jako indywidualny, przygotowany dla konkretnej osoby kontakt ze sztuką, może tu być bardzo pomocna. Kajros odgrywa ważną rolę w mojej wizji arteterapii i dlatego umieściłam jego imię w tytule niniejszej książki.

Książka adresowana jest w pierwszym rzędzie do pedagogów i do arteterapeutów, tych doświadczonych jak również tych, którzy dopiero zgłębiają tajniki terapii przez sztukę i chcą się przygotować do pełnienia roli arteterapeuty, niekoniecznie do zawodu terapeuty; do Czytelników znających inne publikacje na temat arteterapii, jak i również do tych, dla których będzie pierwszym źródłem informacji zarówno o arteterapii, jak i o autorce. Ciekawa jestem ich opinii. Czytelnicy zupełnie nie zainteresowani arteterapią może natomiast zechcą potraktować tę książkę jako ilustrację do wydarzeń, o których czytali, słyszeli lub może nawet w których sami uczestniczyli, bo są w niej obrazki z historii najnowszej, od początków XX wieku po rok 2012, dziejącej się na obszarze sięgającym od polskich Kresów Wschodnich po Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, od Norwegii po Koreę.

Będę wdzięczna za wszelkie uwagi na temat książki, nadesłane drogą elektroniczną pod adresem: wszulc@amu.edu.pl

Wita Szulc
Poznań w lutym 2013 r.

Wojna i pokój.

Dziecko się rodzi – nadzieja.

Z kopii skróconej metryki mojego urodzenia (oryginał zaginął) wynika, że urodziłam się dnia 3. lipca 1941 roku w Śniatynie, w województwie stanisławowskim, czyli na terenie Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej. Przekaz rodzinny głosi, że było to wydarzenie niezwykle dramatyczne. Miało miejsce w czasie trwającej już od prawie dwóch lat wojny, gdy większość terytorium Polski znajdowała się pod okupacją niemiecką, natomiast Kresy Wschodnie, od 17. września 1939 r., na mocy układu Ribbentrop – Mołotow wcielone zostały do Ukraińskiej Republiki Radzieckiej. 22 czerwca 1941 Niemcy zaatakowały Związek Radziecki i rozpoczął nowy etap wojny - II wojny światowej. Moi rodzice uznali, że bezpieczniej będzie przenieść się z własnego domu we Lwowie do leżącego ok. 240 km na południowy wschód Śniatyna, w którym mieszkali rodzice ojca. Wędrowali poboczami dróg, którymi maszerowały kolumny wojsk okupanta. Mama leżała na furmance, a ojciec przeprowadzał konia za uzdę wpław przez wezbrane wody Prutu, (tego co *Huculom przygrywa*), bo jedyny w pobliżu Śniatyna most na rzece 1. lipca 1941 roku wysadził w powietrze ostatni uchodzący przed Niemcami oddział sowiecki. W dodatku rozpętała się burza z piorunami. Kiedy dotarliśmy do brzegu rzeki, na wysokości przysiółka Załucze, w najbliższej chacie troskliwie zajęły się mamą i mną kobiety ukraińskie mówiąc: *szczęśliwa chata, detyna se urodyla* („szczęśliwy dom, dziecko się urodziło”) Wykapały mnie w cebrażku, czyli drewnianym naczyniu do pojenia bydła, bo niczego odpowiedniejszego nie było, a jedna z nich dwa tygodnie później została moją matką chrzestną. Uroczystość chrztu św. odbyła się w kościele parafialnym w Śniatynie, 16. lipca, w święto Matki Boskiej Szkaplerznej, chrztu udzielił mi ksiądz obrządku greko-katolickiego, Kajetan Amirowicz., proboszcz kościoła ormiańskiego. Ojcem chrzestnym został Władysław Surowiecki, niedawno poślubiony mąż siostry mego ojca, Kazimiery nazywanej Ziutą, student weterynarii na Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie. Mama nadała mi imię Vita, z nadzieją, że to imię pomoże w tych strasznych czasach zachować dziecko przy życiu ale że do chrztu potrzebny był chrześcijański patron, podała że to święty Wit, i w taki sposób została spolszczona pisownia mojego imienia.

Śniatyn.

Moje pierwsze miejsce na ziemi.

Muszę się przyznać, że Śniatynem, miastem zapisanym w mojej metryce urodzenia i miejscem, skąd pochodziła i gdzie mieszkała przed wojną rodzina mojego ojca, specjalnie się nie interesowałam za życia moich Najbliższych. Winna temu była po części moja matka, lwowianka od kilku pokoleń, dla której liczył się tylko Lwów. Do Lwowa na studia przyjechał ze Śniatyna mój ojciec, tam się poznali, pobrali i zamieszkali, jak się wydawało, na stałe. Zainteresowanie Śniatynem wzbudziła we mnie dopiero konferencja naukowa na Uniwersytecie Wrocławskim, zatytułowana „Gdzie szum Prutu, Czeremoszu”, nawiązany dzięki konferencji kontakt z p. Krzysztofem Laszkiewiczem z Wrocławskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Kołomyi i Kresów Południowo – Wschodnich a ugruntowała znajomość z p. dr Olgą Linkiewicz z Instytutu Historycznego w Warszawie, laureatką nagrody „Polityki” za badania nad życiem mieszkańców przedwojennego Śniatyna. Uznałam wtedy, że warto bliżej poznać to miasteczko. Zaczęłam od przejrzenia dokumentów i tekstów zgromadzonych przez moich rodziców i staranie zinwentaryzowanych przez mojego ojca. Ojciec przygotowywał się do spisania historii Śniatyna, znalazłam kilkanaście stron rękopisów opisujących różne fakty z tej historii, ich treścią dzielił się z krajanami z Towarzystwa Miłośników Kresów Południowo – Wschodnich podczas dorocznych spotkań w Brzegu Dolnym, w święto śniatyńskiej Patronki, Matki Boskiej Szkaplerznej. Ślady tych informacji historycznych znajduję w Biuletynach wydawanych przez Stowarzyszenie. Potem sięgnęłam do innych źródeł, już szerzej znanych i opublikowanych.

W „Opowieściach znad Zbrucza”¹³ Śniatyn przedstawia się następująco :

*We wschodniej Galicji, w południowej jej części, na trasie Kołomyja – Czerniowce rozsiadło się na samej granicy polsko – rumuńskiej, tuż nad Prutem, miasteczko powiatowe Śniatyn. Miasteczko oddalone o 4 km od stacji granicznej Załucze – Śniatyn pamiętało bardzo dobrze przejazd Stefana Batorego, księcia Siedmiogrodzkiego, kiedy to obejmował Polskę pod swe panowanie*¹⁴ *Usytuowane nad rzeką na płaskowyżu urodzajnej ziemi*

13 W. Surowiecki. Pod niebem Kresów. Op. Cit. S. 135 - 143

14 Z innych źródeł wiadomo, że było to w roku 1576 i że nie był to jedyny pobyt Stefana Batorego w Śniatynie – przy innej bytności nadał miastu miano: „Królewskie Wolne Miasto Śniatyn”. Wcześniej Śniatyn odwiedzali inni polscy królowie: Władysław Jagiełło (1415), Kazimierz Jagiellończyk (1485), w 1497 przez Prut pod Śniatynem przeprowadzał się król Jan Olbracht wracający z nieudanej wyprawy wołoskiej. Dzieje Śniatyna na tle szerokiej panoramy Polski południowo – wschodniej i obszaru zwanego Pokuciem, rozciągającego się po obydwu brzegach Prutu aż do ujścia Czeremoszu w pobliżu Załucza, przedstawia praca Stanisława Wołoszczuka pt. „Pokucie. Legenda i rzeczywistość”. Wyd. „Nortom, Wrocław, 2000, s.60 - 65

widziane było ze znacznej odległości dzięki wysokiej ratuszowej wieży. Czworościenna, kilkukondygnacyjna służyła jako punkt obserwacyjny dla miejskiej straży, która miała tu swoje lokum. Wieża kończyła się blaszaną kopułą, na której zwieńczeniu znajdowała się chorągiewka ze strzałką wskazującą kierunek wiatru, tzw. wiatrowskażnik. Ze względu na ciągłe zmiany wiatrów urządzenie wiecznie przeraźliwie skrzypiało.

Miasto o bogatej zabudowie, bardzo rozległe na kilka kilometrów wszcz i wzdłuż. Zabudowa sięgała od granicy rumuńskiej po krzyżówkę do Horodenki i w kierunku do Zabołotowa, Kołomyi i dalej – do odległego o 230 kilometrów Lwowa. Od południowej strony granicę stanowiła krawędź – stok opadający do Prutu.

Miasto było zamieszkałe przez Polaków, Żydów, Ormian i w przeważającej liczbie, szczególnie na obrzeżach – przez Ukraińców. Nie było między nimi większych kłótni i awantur, ot, czasem spory i przygadywania, jak to między sąsiadami. W mieście znajdowały się trzy cerkwie grekokatolickie, kościół rzymskokatolicki, ormiański, no i oczywiście dużych rozmiarów synagoga. Było kilka cmentarzy, gimnazjum, szpital, dom ludowy polski i ukraiński i tzw. dom kultury. Mieszkańcy byli grzeczni, ułaskawni i – jak zresztą tam wszyscy – pracowici. W ogrodach i sadach ulokowane nadzwyczaj schludne wiliżki.

Literackie opisy Śniatyna i Huculszczyzny skonfrontowałam z rzeczywistością dopiero w lipcu 2002 roku, robiąc sobie wyjazd na Kresy prezent urodzinowy. Zwiedzałam je nietypowo, bo z ukraińskimi przewodnikami z lwowskiego biura podróży, którzy choć dobrze znali język polski, pewnych określeń nie rozumieli, np. kiedy byliśmy na starym cmentarzu, dobrze utrzymanym, tonącym w zieleni drzew zapytali mnie, co znaczy powtarzający się na kilku nagrobkach napis „Właściciel ziemski”. Sfotografowałam się pod drogowskazem z napisem ukraińskim Cnatyn, na nowym moście, z którego widać ten stary, zerwany 1. lipca 1941 roku no i pod ratuszem, na którego wieży rzeczywiście powiewa wiatrowskazówka.

Dokumenty pochodzące ze Śniatyna, takie jak np. metryki kościelne przechowywane są obecnie w kościele parafialnym w Brzegu Dolnym, ale te najstarsze, dotyczące samego miasta można znaleźć we wrocławskim Ossolineum oraz w Bibliotece Narodowej i Archiwum we Wiedniu, w czym nie ma nic dziwnego: przecież Galicja wraz z Huculszczyzną znajdowała się w latach 1772 - 1918 pod zaborem austriackim. W roku 2011 we wiedeńskiej Nazionale Bibliothek czynna była wystawa etnograficzna pt. Kraje monarchii austriackiej. Poszłam na nią zaciekawiona tematem, ale Polsce, czyli ówczesnej Galicji, poświęcono tam mało miejsca, mniej niż np. Bośni i Hercegowinie, dokumentów było niewiele aczkolwiek zauważyłam coś dość znamiennego,

a mianowicie obraz przedstawiający galicyjskich wieśniaków entuzjastycznie witających Jaśnie Wielmożnego Pana, cesarza Franciszka Józefa wizytującego Galicję i kartki w języku polskim pisane do niego z gratulacjami z okazji bodajże 50-ej rocznicy jego panowania.

Czytając te kartki z powinszowaniami dla zaborcy, przypominałam sobie jak w III klasie szkoły podstawowej (był to rok 1951) pisaliśmy listy z życzeniami urodzinowymi dla generalissimusa Józefa Wisarionowicza Stalina¹⁵. Z tej samej okazji, moja mama, jako członkini Koła Ligi Kobiet wezwana została - co stwierdza odnośne pismo - do czynu społecznego polegającego na sprzątaniu terenu żłobka znajdującego się w kompleksie budynków wojskowych przy ulicy Grunwaldzkiej 34 w Poznaniu, gdzie obecnie, podobnie jak wtedy mieści się przedszkole.

We Wiedniu również, w kościele na wzgórzu Leopoldsberg, nieco dalej za znany wszystkim Polakom jeżdżącym do Austrii polskim kościołem na Kahlenbergu, na ścianach przedsionka umieszczona jest dokumentacja słynnej bitwy z Turkami. Wisi tam m.in. mapa pokazująca trasy wojsk sojusznicznych ciągnących latem roku 1683 pod Wiedeń i widać wyraźnie, że jedna z tras przemarszu prowadziła ze Śniatyna. Śniatyn w II Rzeczypospolitej był miastem granicznym, wielokulturowym, a Huculi schodzili z gór, by sprzedawać tam na jarmarku swoje wyroby.

Magia Huculszczyzny.

Słoneczny kraj.

Daleko na południu ostrym klinem, niby żądłem oszczepu, wcina się Polska w górzystą w tym miejscu ziemię rumuńską. Tam, gdzie kraina wielkich połonin, jak morze, otacza szczyty Czywczyny i Rotondułu, Komanowej i Hnytesy, leży południowy cypel naszej ojczyzny. Ale dalej i dalej ku północy odchodzą góry, gońców posyłając na zachód i wschód, aż spiętrzy się potężna ściana Czarnohory i łagodniejsze wężyc się poczną od niej uskoki Beskidu Huculskiego, a za przełęczą Tatarską – rozbiegną się Gorgony surowe, poczem cały ten kraj obniży się znacznie, przystroi zielenią buków i dębów i opadnie nagle na równinie, gdzie fioletowe i niebieskie fale płyną po złotych niwach i gdzie od wieków istniejące znaczne skupiska ludzkie – Stanisławów, Kołomyja, Dolina, Nadwórna, Delatyn, Kuty i Śniatyn troskają się o spokój i dobrobyt ludzi, co lesiste i połoninne

¹⁵ Niedzielne wydanie gazety „Gromada” z 16.12. 1951 miało wyjątkowo kolorową pierwszą stronę, a na niej portret Stalina z takim napisem: W dniu swoich urodzin Choraży Pokoju Generalissimus Józef Stalin otrzymuje z całego świata serdeczne pozdrowienia i życzenia długiego życia

wierchowiny za siedzibę sobie obrali. Ten to kraj jeszcze w drugiej połowie ubiegłego (tj. XIX) wieku stanowił odwieczną ojczyznę Huculów¹⁶.

Powyższy opis, pióra F. Antoniego Ossendowskiego świadczy, że nie bez powodu Huculszczyzna zaliczana była do „Cudów Polski”, przedstawionych w tak zatytułowanej przedwojennej serii krajoznawczej, wydawanej w Poznaniu przez R. Węgnera.

Czy jednak Śniatyn to Huculszczyzna? Roman Reinfuss, w Posłowie, zatytułowanym *Spojrzenie po latach do reprintu Huculszczyzny Ossendowskiego*, wydane go przez Zakład im. Ossolińskich we Wrocławiu w roku 1990 zauważa: *Geograficzny zasięg nowego tomu zakresłony został z dużym rozmachem. Właściwa Huculszczyzna stanowi w nim małą część obszaru, obejmującego całe Pokucie oraz rozległy szmat podolskiego przedpola aż po Stanisławów (obecnie Iwano – Frankowsk).*

Wcześniej tak wyjaśnia położenie i rolę Huculszczyzny: *Czym dla zachodniej Małopolski były Tatry i Podhale, tym dla mieszkańców Lwowa, Stanisławowa, Kołomyi i wielu innych miast położonych na wschód od Przemyśla była Huculszczyzna*¹⁷.

Bardziej współczesne opisy tej krainy zawierają wspomnienia przesiedleńców z Kresów, z lat 1939 – 1946, m. in. Edwarda Bienia, prezesa Stowarzyszenia Kresowian w Dzierżoniowie. Zacytuje z książki *Studnia bez dna* pod redakcją tego autora fragment opisu krajobrazu Pokucia, przez które przepływają rzeki Prut i Czeremosz, bo przecież Prut to „moja” rzeka!

*Rzeka Prut rozpoczyna swoją drogę spod stoków Czarnohory z największym szczytem Howerlą 2060 m. W górnym jej brzegu płynie wspaniałymi przełomami pomiędzy masywami górskimi, drążąc głębokie parowy w skalistych i zalesionych zboczach. W wiosennych roztopach wielkie i szybkie masy wody porywają i toczą kamienie i głazy skalne, pogłębiają wąwozy i gromadzą gruzowiska. Prut płynąc na północ w początkowej drodze mija piękne sanatoryjne i czasowe miejscowości – Worochtę, Tatarów, Jaremcze do Delatyna, tu powoli zakręca łukiem ku południowi przez Kołomyję, Śniatyn, po drodze zabiera Czeremosz i dalej zasila swoimi wodami rozlewiska Dunaju płynąc do Morza Czarnego.*¹⁸

Krajobraz Huculszczyzny pamiętam jak przez mgłę ale nie są to góry lecz roztopy i błoto, wyprawa z mamą po wielkanocne bacie, przejście wąską kładką przez

strugę i lęk aby nie spaść, scena jak ze świętego obrazka przedstawiającego dwoje dzieci przechodzących kładką przez rwącą rzeczkę i czuwającego nad nimi Anioła Stróża. Błotnista droga, rozpadająca się stodoła, zachmurzone niebo, jesień na Pokuciu to temat obrazu, który wisi w moim mieszkaniu od zawsze; rodzice dostali go w prezencie ślubnym. Kiedy kilka lat temu byłam w Worochcie i Kutach i chciałam sfotografować piękno tych miejscowości, o którym tyle się naczytałam, też padał deszcz a błoto było wszędzieobecne.

Pierwsze studenckie wakacje (1960, 1961) spędzałam wędrując z plecakiem po Bieszczadach, będących częścią Karpat, wówczas jeszcze dzikich. Pewnej bezksiężycowej nocy wybraliśmy się na Tarnicę podziwiać wschód słońca. Po drodze, w całkowitych ciemnościach wrażenie niesamowitości potęgowało migotanie świecących robaczek świętojańskich. O świcie, kiedy stanęłam na szczycie góry, poczułam jakąś taką atawistyczną tęsknotę, tak wielką, że nigdy więcej w Bieszczady już nie pojechałam.

W domowych zbiorach przechowuję artystyczne wyroby huculskie, oryginalne, z lat 30. XX w. zgromadzone przez moich rodziców. Są to lniane długie ręczniki, bynajmniej nie służące do wycierania, haftowane przy krótszych brzegach koralikami i cieniutkimi jak nitka drucikami, drewniane obsadki do piór do pisania, również inkrustowane koralikami, kasetki różnej wielkości intarsjowane i inkrustowane; jest wśród nich jedna maleńka, jak pudełko papierosów, wykonane przez mojego ojca, który choć z wykształcenia był chemikiem, czasem lubił się bawić robiąc takie drewniane cacka inspirowane folklorem huculskim.

Oferta pamiątkarska na jarmarku w Jaremczu, dokąd się wybrałam przy okazji podróży sentymentalnej do Śniatyna, chcąc uzupełnić swoje Kresowe zbiory była, niestety, bardzo skromna, a oferowane wyroby, z wyjątkiem tzw. liżników, czyli narzut utkanych z owczej wełny, ze specyficznymi geometrycznymi wzorami, co tu mówić, tandetne, ale jeszcze na szczęście nie plastikowe. Sądzę jednak, że podobna refleksja mogłaby się też nasuwać komuś, kto odwiedzając targowisko w Zakopanem, szukałby na nim wyrobów z czasów doktora Chałubińskiego!

Nie tylko piękne, ale i tajemnicze są drewniane pisanki wielkanocne, zwłaszcza czarne z białym wzorem – takie same jak te, które obecnie podziwiać można w Muzeum Pisanek w Kołomyi – bo nie wszyscy wiedzą, że wzory na huculskich pisankach miały magiczne, określone znaczenia i nie były bynajmniej

16 F. A. Ossendowski, *Huculszczyzna. Gorgany i Czarnohora*. Wyd. Polskie, Poznań (br.) reprint Ossolineum Wrocław, 1990, s. 7, 9.

17 Ibid., s. III.

18 Studnia bez dna. Wspomnienia polskich przesiedleńców z Kresów 1939 – 1946. Praca zbiorowa pod redakcją E. Bienia i K. Patrzykąt. Dzierżoniów 2010, s.20.

owocem nieskrępowanej fantazji ich wykonawczyń. Piękne są misternie rzeźbione, choć bardzo cienkie, idealnie wygładzone drewniane sztucce, w kolorze jasno brązowym, z których jeden kiedyś złamałam, wypróbując jego wartość użytkową, drewniane rzeźbione talerze – patery i dość dziwne małe naczynie drewniane, będące chyba miniaturką maselnicy, ale jego przeznaczenie należałoby sprawdzić w specjalistycznym opracowaniu etnograficznym.

Przedmioty wywołują wspomnienia, urealniają wydarzenia, o których czyta się na kartach podręczników historii, np. kartka z życzeniami adresowana do moich rodziców z okazji Świąt Wielkiej Nocy, z datownikiem z kwietnia roku 1943 i nazwą miejscowości Czortków: tam stacjonował Korpus Ochrony Pogranicza, formacja bardzo źle widziana w okresie PRLu, Do KOPu powołany został mój ojciec, jako porucznik rezerwy w sierpniu 1939 roku. Wojskowa, okrągła czapka (nie rogatywka) ¹⁹, peleryna narzucona na mundur, wysokie buty oficerki, rażny krok, tak wyglądał na zdjęciu wykonanym na lwowskiej ulicy, w towarzystwie żony, rodziców i siostry w przededniu wojny. Na ostatnim zdjęciu przed wyruszeniem na wojnę, zrobionym w Czortkowie też jest w mundurze i śmieje się do małego synka, Wawrzyka, ubranego w czapeczkę furażerkę, którego trzyma na kolanach. Po raz ostatni w życiu.

Datownik na kartce wielkanocnej wywołuje jeszcze inne myśli. Widokówka jest reprodukcją obrazu Aksentowicza Wielkanoc Huculów. Podejrzewam, że odwieczny spór na temat wyższości Świąt Bożego Narodzenia nad Świątami Wielkiej Nocy na Huculszczyźnie rozstrzygnięty by został na korzyść Świąt Wielkanocnych. Chyba tylko na Kresach, po powrocie z Rezurekcji witano się w domach pozdrowieniem: Chrystus zmartwychwstał! Szczęśliwie powstał. Tak przynajmniej radośnie pozdrawiano się w Niedzielę Wielkanocną w moim domu.

Szczególną wartość sentymentalną mają dla mnie dwie książeczki dla dzieci: jedna, zaczytana do niemożliwości, autorstwa W. Paszkowskiej nosi tytuł. Liskowe wierszyki, wydana w roku 1943 przez Wydawnictwo Księgarni M. Kowalski – Lwów, opatrzona jest datą napisaną ręką mojego ojca: Załucze, 30. Października, 1943 r. Była to szósta rocznica ślubu moich rodziców, a ja miałam dwa lata. Liskowe wierszyki znałam na pamięć a niektóre do dziś pamiętam, np. uczące zasad gościnności Odwiedziny:

¹⁹ Korpus Ochrony Pogranicza był jedyną formacją w Wojsku Polskim, której oficerowie nosili czapki z okrągłym denkiem.

*Przyszła kaczka w odwiedziny
Do bocianów, do rodziny
Tam ją pięknie częstowali
Czekolady jej nalali
Do kubeczka wysokiego
Do kubeczka bocianiego.
Kaczka grzeczna, kaczka miła
O spodeczek poprosiła.
Poszedł bocuś do sąsiadki
I spodeczek wziął od żabki.
Żółty spodek kaczeńcowy,
Śliczny spodek serwisowy*

Itđ.

Druga książeczka to prezent z podróży mego ojca ze Śniatyna do Stanisławowa, czyli jak się ongiś mówiło – gościniec. Książeczka nosi tytuł Anioł Stróż, jej autorką jest Stefania Bańdo-Stopkowa. Na karcie tytułowej jest dedykacja legitymizująca mój związek z Huculszczyzną:

*Mojej maleńkiej Huculce z podróży do Stanisławowa
Tatyk Bronek. Monasterek, dnia 29.I. 1944.*

Do niedawna posiadałam też (bo mi gdzieś zginęła) inną osobliwą książkę, a mianowicie książkę kucharską z lat 30. XX w. z przepisami i zestawami obiadów, wyłącznie jarskich, serwowanych w sanatorium dr Tarnawskiego w Kosowie. O tym słynnym w całej przedwojennej Polsce z nowoczesnych metod leczenia, pięknie położonym wśród gór sanatorium pisze też w swojej Huculszczyźnie Ossendowski, a sanatorium działa do dziś, o czym przekonałam się również podczas owej podróży sentymantelnej: cały kompleks rozmieszczonych w parku pawilonów jest wyremontowany a tablica na ścianie frontowej budynku dyrekcji, w języku polskim i ukraińskim mówi o jego założycielu, doktorze Tarnawskim.

Wielu badaczy zastanawiało się, i zastanawia, kim są Huculi? Do kogo należy Huculszczyzna? Czyją jest ojczyzną? Czy jest to pojęcie historyczne, geograficzne, czy

może już tylko literackie? Nie wiem, ale Huculszczyzna istnieje i jest niewątpliwie krainą magiczną, jeśli nie w rzeczywistości to na pewno w wyobraźni tych, którzy się z nią zetknęli. Ci zaś, dla których była „małą ojczyzną”, którzy musieli się z nią rozstać na zawsze, czują się jak ludzie bez adresu – bezprizorni. Ja też trochę tak się czuję:

Bezprizorna

*Zapach smażonych powideł
W sadzie mej Babki nad Prutem
Kwitnące jabłonie i grusze
W piosence o Katiuszy*

*„Liskowe wierszyki” ze Lwowa
O chomikach i boćku w nich mowa
Dla maleńkiej Hucułki gościniec
Z podróży do Stanisławowa*

*„Anioł Stróż” z Kołomyi
Dla Wituszki wianuszek wije
A gdy niegrzeczna skłopotany
Przez Tatyka czytany*

*Szum Czeremoszu i Prutu
Na radość się urodziłam
Łuny nad Czarnohorą
Na zawsze się przeraziłam*

*Aniele mój Strózu
Odleciałeś
Granic nie pilnowałeś*

Zostałam bez adresu

Kresy we krwi. Aletofobia?²⁰

Gdy tak spacerowałam wśród chaszczy porastających brzegi Prutu, bardzo spokojnego latem 2002 w poszukiwaniu domu moich dziadków nagle zobaczyłam kopiec, mniej więcej metrowej wysokości usypany z kamieni, a na nim tabliczkę w języku ukraińskim sławiącą czyny wymienionego z imienia i nazwiska pułkownika UPA. I zrobiło mi się zimno. I natychmiast przypominałam sobie, co słyszałam w dzieciństwie, o czym mówiło się szeptem i z przerażeniem, używając nazw tak zwyczajnych gospodarskich narzędzi, jak siekiery i widły i co znaczyły słowa rizaty i smert Lachom. Dokładnie to, co pokazywała eksponowana krótko we Wrocławiu, w kolejną rocznicę mordów dokonanych na ludności polskiej na Wołyniu wystawa pod tytułem Kresy we krwi polskiej. Na tę makabryczną wystawę składały się malowane obrazy przedstawiające kilkadziesiąt sposobów, w jakie latem 1943 roku Ukraińcy spod znaku UPA mordowali swoich sąsiadów Polaków²¹. Piszę o tym, choć nie jestem nastawiona szowinistycznie, mam przyjaciół Ukraińców, mądrych, wykształconych ludzi, dzięki którym miałam zaszczyt wygłosić wykłady o arteterapii w lwowskim Konserwatorium i na Uniwersytecie Pedagogicznym w Żytomierzu, ale nie mogę się zgodzić z postawą nakazującą Polakom taktowne milczenie w tej sprawie. Moi bliscy z Pokucia, pamiętający tamte czasy od dawna nie żyją, ale przypominam sobie, że mówiono, iż uratowała ich zaprzyjaźniona Ukrainka, ostrzegając o tym, co się wydarzy i umożliwiając w ten sposób ucieczkę z zagrożonego terenu. Niczego z tych wydarzeń nie pamiętam, ale czasem się zastanawiam, czy irracjonalny lęk, a nawet niczym nieuzasadniony strach, który często towarzyszy mi w relacjach z ludźmi, powstrzymując przed ostrą reakcją w

²⁰ Aletofobia czyli strach przed prawdą. Tym terminem w odniesieniu do kwestii ludobójstwa dokonanego przez UPA posłużył się prof. Bogusław Paż w opracowaniu pt. Ludobójstwo OUN-UPA na Kresach Południowo – Wschodnich. Materiały z konferencji naukowej odbytej 5.06. 2010 r. w Kędzierzynie – Koźlu.

²¹ Początek masowej rzezi Polaków obejmującej Wołyn i częściowo Pokucie, rozpoczętej o jednej porze miał miejsce 11. Lipca 1943 r. W artykule zamieszczonym w „Gazecie Wyborczej” („GW” z dnia 30. Maja 2005) z okazji wystawy Kresy we krwi polskiej wyrażone jest oburzenie przedstawiciela Związku Ukraińców w Polsce z powodu tej ekspozycji a tylko wzmiankowane są publikacje historyczne, które nie stanowią, niestety, przeciwwagi dla wyrażonego w artykule przeświadczenia o braku badań na temat Wołynia. Czymże wobec tego jest praca Ewy i Władysława Siemaszko, czym są relacje naocznych, choć ze zrozumiałych względów nielicznych świadków ukraińskich rzezi dokonywanych na Polakach, publikowane od wielu lat na łamach biuletynu „Lwów i Kresy” wydawanego przez Polski Ośrodek Kultury w Londynie i biuletynu wydawanego przez Towarzystwo Miłośników Kresów Południowo – Wschodnich we Wrocławiu? Por. E. W. Siemaszko, Mordy ukraińskie na Wołyniu w czasie II wojny światowej. W: Europa Nieprowincjonalna. Non-provincial Europe. Przemiany na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej (Białoruś, Litwa, Łotwa, Ukraina, wschodnie pogranicze III Rzeczypospolitej Polskiej) w latach 1772 – 1999. Warszawa/Londyn 1999, s. 1035 – 1056.

sytuacjach tego wymagających, nie ma przypadkiem swego źródła w tamtych latach, gdy wokół mnie działy się tak straszne rzeczy, strach paraliżował bezbronne ofiary i świadków wydarzeń a śmiertelny lęk o życie był wszechobecny. W dzieciństwie, tym spędzonym na Kresach, mówiono o mnie perepudżena. Podobno to słowo znaczy przerażona.

Arteterapia ofiar wojen, czystek etnicznych i zamachów. Wspólnota tragicznych doświadczeń.

Wołyń.

Jest jeszcze jeden ważny i wart zwrócenia uwagi aspekt wydarzenia, jakim była omówiona wystawa, istotny dla ukazania mniej znanych możliwości arteterapii; chodzi o to, czym namalowanie tych przerażających obrazów było dla ich autora; a było najwyraźniej autoarteterapią czyli odreagowaniem przy pomocy sztuki. Przywykliśmy już do twórczości artystycznej traktowanej jako terapia osób chorych psychicznie, niepełnosprawnych fizycznie lub mentalnie, ale nieporadne malarstwo w zestawieniu z makabrycznym realizmem okrucieństwa na wielką skalę, którego było się świadkiem lub ocaloną ofiarą szokuje podwójnie. Organizatorka wystawy współczuła jej 80. letniemu współorganizatorowi, autorowi obrazów, którego rodzinę wymordowała UPA pisząc: *”takich ludzi nie można zostawić samych, ten prosty człowiek całe życie męczył się z brzemieniem Wołynia”*²².

Bośnia.

W Polsce to ewenement, ale nie w innych europejskich krajach, gdzie ofiarom tragicznych wydarzeń, takich jak wojny, czystki etniczne czy więzienia z torturami stwarza się możliwości pokazania tego, co przeżyły, pozwalając na różne formy ekspresji, z malowaniem łącznie. Dla ofiar wojny domowej w byłej Jugosławii opracowano specjalne programy arteterapeutyczne, w ramach których mogą one swój dramat ”wymalować,” lub wykrzyczeć czy ”wygrać” na perkusji. W Niemczech, w Anglii arteterapia służy ofiarom tortur, szukającym schronienia w tych krajach przed własnymi reżimami.²³

22 „Gazeta Wyborcza” z dnia 30. marca 2005 r.

23 Taką działalność prowadzi m.in. Ośrodek dla Uchodźców Refugio w Bremie, w którym muzykoterapeutka, p. Ilse Wolfram, z którą współpracuję w ramach EMTC, pracuje wykorzystując w terapii bajki i muzykę.

Okładkę włoskiego czasopisma ”Arti Terapie” z grudnia 1995 roku zdobi wstrząsający rysunek: na czerwonym jak krew tle zielona choinka z ułamaną gałęzią, u góry turkusowa wstęga – to raczej nie niebo ale morze – Morze Adriatyckie, bo autorką tego obrazu jest dziewczynka z Bośni, ofiara wojny domowej w byłej Jugosławii. Tytuł, jaki nadała swojemu rysunkowi, w włoskim tłumaczeniu, brzmi: *”Non chiamami refuga”* (Nie nazywajcie mnie uciekinierką).

Pewna moja studentka z grupy studiującej kierunek ”Edukacja wczesnoszkolna z arteterapią” bardzo poruszona tym obrazkiem napisała: *W czasie wojny dzieją się różne straszne rzeczy, które prowadzą do biedy i do nędzy, jest wiele rodzin, które już przed wojną były biedne, a podczas wojny bieda przeradza się w nędzę, która zmusza do ucieczek. Dziewczynka, która jest autorką rysunku nie chce, by mówić na nią ”uciekinierka”. Jest to dla niej bardzo przykre. Nie jest winna, że zaczęła się wojna, która zmusza do ucieczek i doprowadza kraj do nędzy, którą szczególnie przeżywają dzieci. Są głodne i zaniedbywane, te starsze rozumieją, co się dzieje, jednak te małe nie wiedzą o co chodzi. Wszyscy gdzieś idą z walizkami więc one, te małe dzieci idą z nimi. Autorka rysunku nie chce, by nazywać ją uciekinierką, ponieważ to nie jest ucieczka, to mus wywołany wojną. Dziewczynka boi się wojny, woła o pomoc. Chce aby inni ludzie wiedzieli, co ona czuje, jak ją wszystko przeraża.*²⁴

Zaciekawiała mnie ta interpretacja i refleksja nad skutkami wojen wyrażona przez młodą osobę żyjącą w Polsce na przełomie XX i XXI w., w czasach pokoju. Wiem skądinąd, że moi rodzice, mimo posiadania wyższego wykształcenia (o którym jeszcze napiszę) i statusu inteligentów, byli przed wojną po prostu biedni (w czasie wojny i po niej zresztą też, co jednak wtedy było zjawiskiem powszechnym), ojciec zarabiał 120 złotych a miał na utrzymaniu niepracującą żonę i dziecko-mojego starszego brata. W czasie wojny cierpieli głód – rarytasem były placki ziemniaczane pieczone bez tłuszczu na płycie kuchennej – skutkiem tego po wojnie ojciec, jak sam mówił, nie chciał już jeść ani placków ani zupy ziemniaczanej. W srogą zimę z 1941/42 roku z największym trudem zdobywał dla mnie mleko – wychowałam się na kozim, a gdy ciężko zachorowałam, usłyszałam od lekarza, po którego poszedł do miasteczka, brnąc kilka kilometrów w śniegu: *utrzymać dziecko przy życiu w takich warunkach?! – to zasługiwałoby na nagrodę Nobla!*

Arteterapeuta, chcąc ludziom pomagać powinien – moim zdaniem – znać okoliczności i warunki, w jakich żyją ludzie, jaki niosą ze sobą bagaż doświadczeń, co złego spotkało ich w życiu, czy ich podstawowe potrzeby – fizjologiczne, bezpieczeństwa – są zaspokojone.

24 Tę i pozostałe pisemne, cytowane w tej książce wypowiedzi studentów przechowuję w domowym archiwum.

Nowy Jork 9/11.

Dla dzieci, także polskich, szokiem był dzień 11. września 2001 roku: wysadzenie wież WTC w Nowym Jorku. Obrazy jakie powstały pod wpływem tego aktu terroryzmu, wykonane przez dzieci, powstałe z inicjatywy nauczycieli także można uznać za formę arteterapii, choć tak nie nazwaną. W dniach 14-16. września 2010 roku w Ankarze, stolicy Turcji, NATO czyli najważniejsza na świecie organizacja militarna, zorganizowało konferencję *Nowe metody i wyzwania w walce z terroryzmem*. Zaproszona na nią zaprezentowałam zebrane z różnych szkół malunki polskich dzieci wykonane pod wrażeniem tragedii 9/11, (amerykański skrót daty ataku na WTC) ilustrując prezentację utworem Krzysztofa Pendereckiego *Tren ofiarom Hiroszimy*. Prezentacja wywarła duże wrażenie, bo była też wyrazem współczucia dla amerykańskich uczestników konferencji odbywającej się niemal w rocznicę tych wydarzeń.

Uważam, że nie ma powodu, by polskim ofiarom terroryzmu i czystek etnicznych ograniczać możliwość wypowiedzania się na ten temat, także w formie artystycznej.



Arteterapia wobec dramatów współczesności. Człowiek z wydartym sercem.

Pierwsze lata mego życia naznaczone były wojną. Los mojej rodziny, osób mi najbliższych był losem uciekinierów z mocy Traktatu Jałtańskiego. Wstrząsy polityczne następnych lat również odcisnęły się piętnem na naszym życiu; dlatego może tak bardzo interesują mnie możliwości łagodzenia wojennej traumy, za pomocą technik arteterapeutycznych jak również kwestia humanizacji życia, stwarzającego ludziom coraz więcej problemów. Istnieje na przykład organizacja pod nazwą Muzykoterapeuci dla pokoju, powołana w USA, o zasięgu światowym, której działalność propagował wśród polskich muzykoterapeutów prof. Tadeusz Natanson. Inną ciekawą organizacją, nastawioną na humanizację współczesnej, nadmiernie technicznej medycyny jest *MedArt International*.

Nim powstała ta organizacja, Madleine Leininger (1925 – 2012), amerykańska pielęgniarka, autorka książki *Culture Therapy*²⁵ – nie muszę podkreślać, że jest to ter-

²⁵ M. Leininger, *Culture Care. Diversity and Universality A Theory of Nursing*. Na pracę tę trafiłam w roku 1995, szperając w Bibliotece Uniwersytetu w Maastricht (Holandia), gdzie odbywała się konfe-

min bliski pojęciu kulturoterapii – w latach 60. ub. wieku zauważyła, że chorzy, którym umożliwia się realizację ich potrzeb uwarunkowanych kulturowo szybciej zdrowieją, co widać zwłaszcza u dzieci, a u dorosłych chorych zmniejsza się zapotrzebowanie na leki uśmierzające ból i uspokajające.²⁶

MedArt International jest powołaną w 1990 roku w Stanach Zjednoczonych organizacją o zasięgu światowym zrzeszającą przedstawicieli dyscyplin medycznych, paramedycznych, artystycznych i humanistycznych zainteresowanych wzajemnymi powiązaniami sztuki i medycyny.²⁷ Organizacja ta, mająca 35 oddziałów krajowych, między innymi z Australii, Japonii, Chin, Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec, Włoch, Izraela, Holandii, stwarza jedyną i niepowtarzalną okazję do wymiany doświadczeń i specjalistów z różnych dziedzin zajmujących się ochroną zdrowia i traktujących sztukę jako technikę terapeutyczną a także medycznymi aspektami uprawiania sztuki. Posłannictwo ruchu MedArt sprowadza się do 3 punktów:

1. Humanistyka i medycyna. Chodzi tu o wskazanie związków między tymi dziedzinami ze szczególnym uwzględnieniem fenomenologii, filozofii, hermeneutyki, biologii, bioinżynierii, ergonomii i neurologii.
2. Medycyna dla artystów. Jest to działalność zmierzająca do otoczenia specjalistyczną opieką medyczną muzyków, tancerzy, śpiewaków, aktorów, obejmującą diagnozowanie, leczenie i zapobieganie chorobom i urazom wymienionych grup artystów.
3. Sztuka i medycyna. Ten kierunek działalności MedArt polega na wyjaśnianiu i badaniu licznych zastosowań sztuki, zwłaszcza muzyki, tańca i innych terapii twórczych w lecnictwie.

Przedstawiłam w największym skrócie program działalności MedArt International, ponieważ podobny program zawierał się w koncepcji kulturoterapii oraz stanowił treść wykładów Sztuka i medycyna, jakie prowadziłam w latach 1998 – 2003 w Akademii Medycznej w Poznaniu.²⁸

Pierwszy światowy kongres *MedArt International*, reklamowany kolorowym

rencja naukowa na temat przyszłości edukacji medycznej na świecie w XXI wieku. Leininger opisuje zwyczaje zdrowotne różnych grup etnicznych zamieszkujących Stany Zjednoczone, między innymi Polaków, ale tylko pisząc o Polakach dodaje komentarz polityczny, bardzo nam nieprzychylny na temat historycznych związków Polski i Ukrainy.

²⁶ Zmniejszenie zużycia leków było powodem ataków środowisk związanych z koncernami farmaceutycznymi na koncepcję etnopielęgniarstwa M. Leininger. Warto o tym wiedzieć obserwując krytykę lub tylko lekceważenie okazywane przez niektóre środowiska medyczne dla metod arteterapeutycznych.

²⁷ MedArt International. MedArt Press. Rotterdam 1991.

²⁸ Por. W. Szulc, Sztuka w służbie medycyny od antyku do postmodernizmu. AM w Poznaniu, Poznań, 2001, s. 214–221.

folderem z podobiznami Mozarta, Beethovena, Van Gogha i Degasa miał się odbyć w roku 1991 w stolicy Holandii Hadze, przeniesiony następnie przez organizatorów do Rotterdamu, tam również nie odbył się (odbył się później w Nowym Jorku), a ci z uczestników, których na czas nie powiadomiono o odwołaniu kongresu, między innymi mnie, mogli przeczytać kartkę na drzwiach rotterdamskiego World Trade Center, siedziby zapowiedzianego kongresu, porównywanej w prospektach, z racji swojego usytuowania i przeznaczenia, do ateńskiej agory – że *Kongres odwołany został z powodu wojny w Zatoce Perskiej*.

„Pustynna burza”, bo taki kryptonim nosiła ta wojna, do roku 2003 była dla większości Polaków tylko nie dotyczącym nas bezpośrednio komunikatem, ale w krajach zachodnich wywołała tak wielkie poruszenie, że zajęli się nim nawet specjaliści od terapii z udziałem sztuki. Jednym z wielu przykładów tego zainteresowania jest pewna książka amerykańska, wydana w Chicago i w Londynie właśnie wtedy, gdy nie odbył się wspomniany kongres, czyli w roku 1991. Jej tytuł *Life guidance through literature*, w przekładzie na język polski mógłby brzmieć: *Literatura przewodniczką życia*. We wstępie do tej książki znajdują się odniesienia do rozpoczętej w tym właśnie roku wojny Stanów Zjednoczonych z Irakiem, co oznacza, że kryzys w Zatoce Perskiej uznany został za wydarzenie nie tylko natury polityczno – społecznej, ale również dramat pojedynczych ludzi, którym należy pomóc we wszelki możliwy sposób, także poprzez odpowiednio dobrane lektury i filmy.

Pobyt w Rotterdamie wykorzystałam między innymi na znalezienie i obejrzenie pomnika „Człowieka z wydartym sercem”, o którym uczyłam się w szkole podstawowej, a więc zaledwie kilka lat po wojnie: jego autor²⁹, jak nam mówiono, wykonał tę wstrząsającą rzeźbę poruszony tragedią Powstania Warszawskiego. Poruszona byłam nie tylko ekspresją tej rzeźby ale również powodem, dla którego nie stanęła w Warszawie.

Muzyka, wojna i muzykoterapia.

Tam, gdzie niebezpiecznie jest żyć: Belfast i Mostar.

Reakcja muzykoterapeutów na wojny lokalne i konflikty zbrojne w Irlandii, Izraelu i Jugosławii była równie silna. Opracowane zostały specjalne programy mu-

²⁹ Ossip Zadkine, francuski rzeźbiarz rosyjskiego pochodzenia, chciał ten pomnik sprezentować Warszawie, ale władze PRLu (kierując się opinią m. in. Włodzimierza Sokorskiego, o którego roli w polityce kulturalnej będzie jeszcze mowa) nie zgodziły się na przyjęcie takiego daru.

zykoterapeutyczne dla dzieci z Belfastu w Irlandii Północnej oraz Mostaru w Bośni, opisane i przeanalizowane przez Julie Sutton w artykule „*Tam gdzie niebezpiecznie jest żyć. Muzykoterapia dzieci na obszarach objętych konfliktami*”³⁰. Julie Sutton w czasie kilkudziesięciu sesji obserwowała powolną zmianę charakteru zabaw dzieci poddanych muzykoterapii: po początkowym okresie bardzo gwałtownego zachowania się dzieci dochodziło do uspokojenia, w którym rolę odgrywała muzyka, np. chłopiec z Mostaru, którego dom i szkoła zostały zniszczone i który najwyraźniej był mocno zaniepokojony, jak sobie z tym poradzi, w futerale leżącym w gabinecie muzykoterapii zobaczył gitarę z zerwaną struną, a obok pęknięty bębenek. Muzykoterapeutka zaproponowała mu wtedy wspólną grę na pianinie, co miało znaczyć, że nawet w pozornie beznadziejnej sprawie można sobie poradzić dzięki pomocy innych. Na ostatnim spotkaniu chłopiec zademonstrował ułożoną przez siebie piosenkę i śpiewał ją muzykoterapeutce z satysfakcją i wyraźną przyjemnością, choć ona, jako Angielka nie rozumiała jego słów. Wybrana samodzielnie przez chłopca, z zestawu wielu różnych płyt, muzyka z filmu z Jamesem Bondem (*Agentem 007*) spowodowała zmianę charakteru zabawy w strzelanie: przedtem chłopiec zachowywał się bardzo gwałtownie, teraz rewolwer stał się symbolem jakby innej jakości, symbolem ”dobra” (a może raczej *słusznej sprawy*, bo służył tylko do *zabijania złych*). Na zakończenie cyklu spotkań muzykoterapeutycznych chłopiec ułożył piosenkę, której dał tytuł *Samotność*. Nazywając po imieniu przejmujące go uczucie i wyrażając je poprzez muzykę w jakimś sensie odreagował je.

Ośrodek Refugio w Bremie

Ilse Wolfram, do roku 2010 przewodnicząca Stowarzyszenia Muzykoterapeutów Niemieckich, również aktywnie działająca w EMTC, odpowiedzialna za Europejski Rejestr Muzykoterapeutów EMTR (European Music Therapy Research Register), pracuje w Ośrodku dla uchodźców w Bremie pod nazwą Refugio. Ośrodek opiekuje się uchodźcami z różnych krajów, przybyłymi do Niemiec z terenów, na których toczą się wojny. Mają oni problemy z zaadaptowaniem się do warunków panujących w obcym dla nich kraju. Ilse Wolfram, z zawodu muzykoterapeuta i psycholog, członek honorowy Stowarzyszenia Arteterapeutów Polskich Kajros, opracowała bardzo

30 J.P. Sutton, Where it's not safe to live: Music Therapy and working with children in areas of community conflict (Belfast and Mostar). /.(w:) Arts – Therapies – Communication. On the Way to a Communicative European Arts Therapy. Vol. 1. Ed. L. Kossolapow. Munster – Hamburg – Berlin – London 2003, s. 220–227.

oryginalny program muzyczny, nawiązujący do znanej bajki braci Grimm o czterech muzykantach z Bremy. Bohaterowie tej bajki czyli osioł, pies, kot i kogut, ustawieni w piramidę, znajdują się w herbie tego miasta, a spiżowa figura przedstawiająca piramidę zwierząt stoi w Bremie przed miejskim ratuszem, i nie jest to jedyny w tym mieście pomnik sławnych czterech muzykantów. Wspólnie z Ilse napisałyśmy referat o recepcji tej bajki w Niemczech i w Polsce i wygłosiłyśmy go na europejskiej konferencji muzykoterapii na Uniwersytecie w Jyväskylä (Finlandia) w roku 2004.³¹ Problem wypędzonych, choć szczególnie nagłośniony w Niemczech, dotyczy również ludzi z wielu innych krajów, i jest wciąż aktualny, a ci, których dotknął na skutek II wojny światowej, do dziś nie mogą się z nim pogodzić.

Dziwny jest ten świat... Zmienia się na naszych oczach. Kultura podlega globalizacji, lub jak się też mówi – MacDonaldyzacji. Antyglobaliści chcą ten proces powstrzymać. Protestują, budują zapory. Intelktualiści usiłują świat zinterpretować i opisać. Nowy klucz do filozofii nie jest jednak wytrychem. Coraz więcej ludzi źle się czuje się w świecie, który postrzegają – niestety, nie bez podstaw – jako nieprzyjazny, wrogi, niezrozumiały. Czy jest to tylko ich subiektywne przekonanie? Dowód „nienadążania” za postępem cywilizacyjnym? Skutek patologicznych relacji rodzinnych? Nie zawsze i niekoniecznie. Świat naprawdę bywa groźny (np. klęski żywiołowe), a ludzie w wielu częściach naszego globu naprawdę są wrogo nastawieni do innych. Ten wrogi świat można jednak czasem obłaskawić, co pokazują muzykoterapeuci, a szerzej – terapeuci posługujący się w swoich działaniach w rozmaity sposób wykorzystywaną sztuką. Muzykoterapeuci pracujący z pacjentami, którzy doznali psychicznego urazu, nie rzadko również fizycznego, odwołują się do traumatycznych wspomnień kojarzonych z muzyką i wskazują, analizując muzykę, która takie wspomnienia neutralizuje (odblokowuje). Przy okazji tych analiz dowiadujemy się także, jak krańcowo różne skojarzenia budzić może ta sama muzyka. Powinno to być zachętą do kontynuowania badań nad kwestią, kiedy, jaka, stosowana wobec kogo i przez kogo muzyka staje się terapią?

Wojna ma swoją muzykę. Muzyka od wieków zagrzewała do boju walczące armie. Muzyka może wyrażać gniew, nienawiść, triumf i klęskę, może inspirować najwybitniejszych kompozytorów, zainspirowała między innymi Haydna, który w okre-

31 W. Szulc, I. Wolfram, The Artistic Creativity of Stressed and Traumatized People. A Music Therapeutic Interpretation of the Tale ”The Bremen Town Musicians” in a Joint Polish – German Perspective (w:) Many Faces of Music Therapy. 6th European Music Therapy Congress June 16 – 20, 2004, University of Jyväskylä, Finland, s. 62–63.

się mobilizacji spowodowanej spodziewanym atakiem wojsk Napoleona na Austrię skomponował utwór pod tytułem „Missa in tempore belli” (Msza na czas wojny). W ludziach, którzy przeżyli wojnę wywołuje czasem zaskakujące skojarzenia, dla innych niezrozumiałe. Orfeusz w piekle to tytuł nie tylko operetki Offenbacha, ale również monografii poświęconej wspomnieniom muzycznym osób, które przebywały w czasie wojny w obozach koncentracyjnych i tam miały bardzo różny kontakt z muzyką.

Niezwykły program muzykoterapeutyczny, także związany z wojną, ale toczącą się współcześnie, opracowany, zrealizowany i sfilmowany przez dr Chavę Sekeles, przewodniczącą Stowarzyszenia Muzykoterapeutów Izraela poruszył wszystkich uczestników 4. Europejskiej Konferencji Muzykoterapeutów w belgijskim Leuven. Przeznaczony był dla osoby dorosłej, kobiety pogrążonej w ciężkiej żałobie po stracie syna zastrzelonego przez Palestyńczyków. Kobieta ta przez kilkanaście tygodni na kolejnych sesjach słuchała przejmującej, dramatycznej Pieśni o Ziemi Gustawa Mahlera i malowała swój autoportret. Na filmie dokumentującym tę formę muzykoterapii widać było jak stopniowo, na kolejnych obrazach malowanych przez pacjentkę na kolejnych sesjach zmieniają się, łagodniejsze rysy jej twarzy, co świadczyło, że również na korzyść zmieniało się wyobrażenie tej kobiety o sobie.

Apel o pokój w Izraelu skierowany do muzykoterapeutów na całym świecie, rozesłany przez Chavę Sekeles w roku 2001 drogą elektroniczną zawiera równie przejmujący opis cyklu sesji muzykoterapeutycznych prowadzonych z siedmioletnią dziewczynką, której rodzice, na jej oczach zginęli od bomby rzuconej przez palestyńskiego zamachowca – samobójcę. Dla przybliżenia okoliczności tego konkretnego dramatu Chava wyjaśniła, że dramat rozegrał się w restauracji, w której rok wcześniej gościli i siedzieli przy jednym stole z Palestyńczykami uczestnicy Europejskiego Komitetu Muzykoterapii – byłam wśród nich – obradującego właśnie w Jerozolimie w kwietniu 2000 roku, a dokładnie podczas Świąt Wielkiej Nocy obchodzonych według obrządku prawosławnego.

Inna izraelska muzykoterapeutka, dr Dorit Amir, na 6. Europejskiej Konferencji Muzykoterapeutów w Jyväskylä w Finlandii w czerwcu 2004 r. zaprezentowała przebieg i wyniki terapii, jaką prowadziła przez kilka miesięcy w Tel-Awiwie z kobietą, która przeżyła Holokaust. Ta kobieta, z pochodzenia Polka, jako 5.letnia dziewczynka zamknięta została wraz z rodzicami w warszawskim getcie, skąd cudem udało się jej uciec. Jej rodzice wywiezieni zostali do Treblinki i tam zginęli. Zajęła się nią polska rodzina, która wychowując ją nie zataiła przed nią jej pochodzenia. W roku 1956

dziewczyna na własne życzenie wyjechała do Izraela. Tam założyła rodzinę, ukończyła studia i podjęła satysfakcjonującą pracę. Nikomu nie opowiadała o koszmarze, jaki przeżyła, do czasu spotkania z muzykoterapeutką. Wyzwalaczem wspomnień, bardzo dramatycznych, a zarazem sposobem na ich odreagowanie dla tej pacjentki okazało się *Bolero* Ravela, którego chciała słuchać i które w związku z tym było wielokrotnie odtwarzane podczas cyklu sesji muzykoterapeutycznych. Rytm Bolera, charakterystyczne crescendo przypominało jej grozę, jaką przeżywała w getcie, a ostre fortissimo instrumentów blaszanych kojarzyło jej się z salwami karabinów maszynowych. Pacjentka, zanim zaczęła słuchać muzyki Ravela, przy pomocy i współpracy muzykoterapeutki stworzyła swoją własną pieśń, w której zamknęła cały swój ból, rozpacz i żal za tak okrutnie przerwane dzieciństwo. Polska w jej wspomnieniach jawiła się jako realne miejsce geograficzne, prawdziwy dom, w którym czuła się kochana i bezpieczna aż do dnia, w którym wszystko rozprysło się na kawałki, a Polska stała się miejscem horroru. Później ojczyznę Michaeli stał się Izrael, ale w swoim wnętrzu nigdy nie uważała go za swój dom. Jej serce pozostało na wygnaniu. Czuła się jakby była odgradzona od świata jakimś murem, nie wyjawiony sekret stanowił wewnętrzną blokadę i nie pozwalał jej swobodnie żyć. Dorit Amir referując ten przypadek w największej auli Uniwersytetu w Jyväskylä, bo tak wielkie wzbudził on zainteresowanie wśród kilkuset uczestników VI Europejskiego Kongresu Muzykoterapii, publicznie wyznała, że jej rodzina również zginęła w getcie, a mówienie o tym i zajmowanie się muzykoterapią dla niej samej stanowi terapię. Na moje pytanie, czy nie sądzi, że dla Romana Polańskiego taką terapią było nakręcenie filmu *Pianista* przyznała, że jest to wysoce prawdopodobne.

Wielcy artyści, sławni muzykoterapeuci mogą sobie pozwolić na tego rodzaju katharsis. Ludzie w krajach, w których psychoterapia stosowana jest powszechnie, udają się do psychoterapeuty (psychoanalityka). Inni czasem piszą wspomnienia, wyzwalaczem których często bywa muzyka.

Historie – jak mosty: łączą i dzielą.

Do ciekawych programów pomocowych na rzecz ofiar wojen na kontynencie europejskim. należą projekty realizowane przez studentów muzykoterapii, między innymi z Danii i Holandii. Ich pracę z dziećmi – ofiarami wojny w byłej Jugosławii, konkretnie w Bośni i Hercegowinie obrazował film muzyczny pokazujący, bez słowa ko-

mentarza, dramat bratobójczej wojny. Programy muzykoterapeutyczne przeznaczone były dla dzieci niepełnosprawnych. Z myślą o nich powstało w Mostarze, głównym mieście Hercegowiny Centrum Muzyki im. Luciano Pavarotti'ego.

Zbombardowanie i odbudowa mostu w Mostarze.

Tłem filmu, jaki zaprezentowano na Kongresie Muzykoterapii na fińskim Uniwersytecie w Jvaskula są widoki Mostaru – najpierw tego znanego z widokówek, malowniczego miasta otoczonego górami, z charakterystycznym minaretem i białym kamiennym mostem z XV wieku, spinającym klamrą dwa brzegi rzeki Neretwy. Potem towarzysząca obrazom muzyka zmienia się w huk wystrzałów: Mostar płonie, bomby spadają na słynny most, który w kłębach dymu rozpada się w gruzy, tysiącem kawałków spadając do rzeki dzieląc miasto na część chorwacką i bośniacką (dodać można, że z wyraźnym podziałem religijnym, który przed wojną nie był tak mocno akcentowany). Kamienny most został z pietyzmem odbudowany, nad czym trudził się międzynarodowy zespół architektów. Latem 2003 roku w Parku Miejskim we Wiedniu oglądać można było wystawę fotograficzną przedstawiającą historię mostu i jego odbudowy

Zamach na następcę tronu i Biblioteka w Sarajewie.

Wojenną historię ma też gmach Biblioteki Miejskiej w Sarajewie Bardzo piękny budynek w stylu mauretańskim, zniszczony w czasie wojny serbsko – bośniackiej w latach 90. XX w. stał przy ulicy noszącej przed tą wojną imię Gawrila Principa, wykonawcy zamachu na arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, austriackiego następcę tronu w dniu 28. czerwca roku 1914. Zamach miał miejsce w pobliżu tego właśnie gmachu, który wówczas pełnił funkcje ratusza miejskiego. Princip, 18-letni członek organizacji narodowo – wyzwoleniczej Młoda Bośnia skazany po zamachu na katorgę, bo jako niepełnoletni nie mógł zostać stracony, uznany został przez Bośniaków za bohatera narodowego. Stąd ulica jego imienia. W czasie konfliktu na podłożu religijno – narodowościowym, jaki wybuchnął w Jugosławii na początku lat 90. XX w. stwierdzono, że Gavrilo Princip był bośniackim Serbem, a nie (muzułmańskim) Bośniakiem, więc nie mógł dłużej, jak uznano, być patronem ulicy w stolicy Bośni, Sarajewie³². Epizod ten

32 Informację tę powtarzam za Ismetem Fazlagićem, obywatelem Bośni, urodzonym w Mostarze (1939), absolwentem filologii słowiańskiej i niemieckiej na Uniwersytecie Sarajewskim, od czasu ukończenia studiów mieszkającym na stałe we Wiedniu.

rzuca trochę światła na charakter konfliktu, dla wielu obcokrajowców nie znających historii krajów bałkańskich, niezrozumiałego.

Dla uczczenia pamięci ofiar wojny domowej w Jugosławii, która rozpętała się w Sarajewie prawie 80 lat po wybuchu I wojny światowej, zapoczątkowanej zamachem na następcę tronu austriackiego, dyrygent o światowej sławie, Zubin Metha, w roku 1994 na gruzach tej Biblioteki, pod gołym niebem dyrygował wykonaniem *Requiem* Mozarta przez międzynarodowy zespół chóralno – orkiestrowy, a koncert transmitowały stacje telewizyjne na całym świecie.

Saga kresowego rodu.

Wyzwalaczem wspomnień dla Władysława Surowieckiego, autora *Sagi rodu Surowieckich i Żabów* także była muzyka: dumki z rodzinnego Podola, a wiele lat później, przy okazji opowiadania autorce historii swojego życia – bałkańskie piosenki Gorana Bregovića w wykonaniu Kayah. Pod wpływem tych wspomnień, stymulowanych muzyką, pisał wiersze przepełnione smutkiem za utraconą *małą ojczyzną* oraz literackie dzieło swego życia: ogromną, kilkusetstronicową Sagę ilustrowaną wykonanymi przez siebie portretami członków rodziny, widokami miejsc, w których przyszło mu żyć i pracować (Dębica, Lwów, Śniatyn, Turobin, Czułczyce), wspaniałymi inicjałami otwierającymi każdy rozdział, przypominającymi misterne kolorowe iluminacje w średniowiecznych inkunabułach.

Saga, z woli autora, przechowywana jest w Bibliotece Miejskiej w Chełmie.

Historia autora *Sagi*, którą zatytułowałam *Sen o utraconej ojczyźnie* i opowiedziałam na konferencji muzykoterapeutów w Borgo Solinio, koło Bari (Włochy), poświęconej filozofii terapii przez sztukę, musiała wywrzeć wielkie wrażenie, o czym będzie jeszcze mowa. Ta sama historia opowiedziana w Londynie zainteresowała szczególnie przedstawicielkę Pakistanu, która pytała mnie, czy przypadek pana S. jest incydentalny. Jeszcze szerszy rezonans wywołał tekst poświęcony aktywności artystycznej osób starszych, zatytułowany *Old people and the arts* (starsi ludzie i sztuka), której twórczość autora *Sagi* była przykładem. Tekst ten, opublikowany w wydawnictwie seryjnym ECARTE pt.: *Sztuka – terapia – Komunikacja*, wnikliwym komentarzem opatrzyła prof. dr hab. Line Kossolapow, przewodnicząca ECARTE, zauważając, że *Saga* nie była rekonstrukcją historii życia, ale artystyczną konstrukcją, podobnie jak *Ab urbe condita* (Sc. dzieło rzymskiego historyka Liwiusza, opisujące historię Rzymu od jego założenia)³³.

33 W. Szulc, Music as a trigger of reminiscences. Dream about lost homeland. W: *Psicoterapia e*

Muzykoterapia konsolacyjna.

Nie znam polskich przykładów muzykoterapii ukierunkowanej na leczenie urazów spowodowanych wojną ani na rozpacz z powodu tragicznej śmierci ukochanej osoby. W pierwszym przypadku powód jest zapewne taki, że bezpośrednio dotycząca nas wojna, czyli II wojna światowa toczyła się dawno. Co się zaś tyczy czasów nam współczesnych, brak jest doniesień na temat, czy pomoc psychologiczna udzielana żołnierzom powracającym z misji stabilizacyjnych w Iraku i Afganistanie uwzględnia muzykę. W kwestii zaś samej muzyki stosowanej w muzykoterapii w krajach zachodnich wobec osób pogrążonych w żałobie, to jej funkcję w Polsce pełni muzyka kościelna i w ogóle muzyka żałobna towarzysząca uroczystościom pogrzebowym oraz uznawanemu i czczonemu przez wszystkich Polaków świętu, jakim są historyczne Zaduszki (Dzień Zaduszny przypadający 2. listopada) lub bardziej jeszcze popularny dzień Wszystkich Świętych, a jest to zwykle muzyka skomponowana przez najwybitniejszych kompozytorów światowych i polskich.

Muzyka wyrażająca dramaty człowieka, pomagająca mu poradzić sobie z nimi, ma o wiele skromniejszą biblio- i dyskografię niż muzyka relaksacyjna czy aktywizująca. Wśród niewielu autorów podejmujących ten temat wymienić należy na pierwszym miejscu wybitnego znawcę muzyki, filozofa muzyki, czołowego fińskiego muzykoterapeuty, profesora Kimmo Lehtonen. Dokonał on m. in. analizy Symfonii Fantastycznej Hektora Berlioza, konfrontując ją z biografią kompozytora. Pewne fragmenty, odpowiadające określonym dramatycznym epizodom z życia kompozytora Lehtonen wykorzystał w muzykoterapii pacjenta, który przeżywał podobne problemy, co twórca symfonii. Prof. Dorit Amir, w omówionym wyżej referacie poświęconym muzykoterapii kobiety – ofiary Holokaustu, poddała analizie biografię Ravela i partyturę Bolera starając się zrozumieć, dlaczego oddziaływanie tego utworu jest tak silne, że wzbudza emocje odblokowujące zamknięcie wewnętrzne spowodowane traumą i przebudowujące wspomnienia

Muzykolodzy słusznie zauważają, że podając informacje dotyczące kontekstu powstania określonego utworu, epizodów z życia kompozytora czy też wydarzeń historycznych, w które był uwikłany, próbuje się nadać muzyce wyrazne odniesienia,

Musicoterapia, 25–27 Settembre 1999 – Scuola College Solinio 1999. W. Szulc, Old people and the arts. (w:) Arts – Therapies – Communication. On the Way to a Regional European Arts Therapy V.2. I. Kos-solapow, S. Scoble, D. Waller (eds.) Lit Verlag Muenster – Hamburg – London 2003; s. 506–510; L. Kos-solapow, A. Mannzmann, Introduction – Contribution from Poland, Arts – Therapies, op. cit., s. 43–44.

zakładając, że całe utwory lub ich fragmenty przedstawiają jakąś przedmiotowo – realistyczną, pozamuzyczną rzeczywistość. Jak pisze G. Banaszak *Interpretacja taka odwołuje się do podobieństwa między określonymi zjawiskami pozamuzycznymi a strukturami muzycznymi, które bądź to imitują pewne aspekty owych zjawisk (jak spotykane w niektórych utworach imitacje deszczu, wrzawy bitewnej itp.) bądź też stanowią rodzaj ich schematycznie – abstrakcyjnych odwzorowań, które słuchacz winien wypełnić wyraźnie już skonkretyzowanymi treściami (często uznaje się, że odwzorowaniu takiemu podlegają w muzyce procesy emocjonalne)*³⁴.

Współczesna kultura przypisuje muzyce ogromną wartość, z racji na wywoływanie przez nią pożądanych stanów emocjonalnych. *Projekcja semantyczna umożliwia muzyce realizację sensów zdeterminowanych przez kierowane pod jej adresem za-potrzebowanie społeczne*³⁵.

Takie oczekiwania względem muzyki mają ideolodzy niektórych nurtów muzykoterapii, ale na relację między muzyką a słuchaczem można spojrzeć jeszcze inaczej.

Nadzieja w arteterapii.

Nadzieja na co? Na to, że wywołane odpowiednimi procedurami i technikami, terapeutyczne właściwości sztuki ujawnią się i spowodują, że człowiek, który – mimo zaspokojenia potrzeb podstawowych – czuje się źle, ma trudności w kontaktach z otoczeniem, cierpi, poczuje się lepiej, dostrzeże pozytywne strony życia, uwierzy w swoje możliwości.

Grecki filozof Bias z Prieny (VI. w. p.n.e.) zapytany o słowo najlepiej streszczające jego filozofię, odpowiedział: elpis (nadzieja). Ernst Bloch, bohater artykułu A. Nowickiego *Pejzaż nadziei*³⁶, zapytany czy i jaką formułą dałoby się streścić jego filozofię muzyki, odpowiedział: noch nicht (jeszcze nie). Jeszcze nie czyli nadzieja. Zdaniem Blocha arcydzieła muzyki ukazują nam świat, którego jeszcze nie ma W przeciwieństwie do krytyków, którzy w muzyce Beethovena dostrzegają realistyczny obraz współczesnej mu rzeczywistości³⁷, Bloch widzi w niej pejzaż nadziei.

34 G. Banaszak, O specyfice semantyki muzycznej, W: Człowiek i Społeczeństwo. T. 9, Konteksty sztuki, Poznań 1992, s.23–35.

35 P. Orlik, Pozaestetyczne wartości realizowane we współczesnej praktyce muzycznej. W: Człowiek i Społeczeństwo, t. 9, Poznań 1992, s.119–134.

36 Taki tytuł nosi artykuł Andrzeja Nowickiego, „Ruch Muzyczny”, 1985, nr 1, za którym podaję informacje o filozofii Blocha.

37 Można tu przypomnieć znane dywagacje muzykologów na temat powstania III symfonii Beethovena, zatytułowanej Eroica, którą Beethoven pierwotnie zadedykował Napoleonowi.

Dla muzykoterapeutów, dla których najważniejsze jest to, jakie uczucia w ich klientach/pacjentach budzi muzyka i jak można, przy pomocy muzyki sterować uczuciami, ciekawe może być stanowisko Blocha w kwestii treści emocjonalnej muzyki. Otóż zdaniem Blocha nie chodzi o te uczucia, które przeżywał kompozytor ani o wyobrażane sobie przez niego uczuć innych osób, lecz o nasze własne uczucia. Największym paradoksem muzyki jest to właśnie, że kompozytor potrafi swoją muzyką ukazać nam nasze uczucia, doprowadzając do naszej świadomości to, z czego sami jeszcze nie zdawaliśmy sobie sprawy. Arcydzieła muzyki nie istnieją poza nami, ale w nas rozkwitają i z naszej wrażliwości czerpią własne życie ³⁸.

Arteterapia bazująca na wartościach estetycznych sztuki – trzeba jednak zaznaczyć, że nie jest to jedyny nurt arteterapii – tworzy właśnie taki pejzaż nadziei.

Szkoda, że surowy pedagog, recenzent pracy doktorskiej zatytułowanej „Arteterapia nadzieją czasów McDonaldyzacji kultury”. Etniczność i ponowoczesność, Wrocław, 2011, który zakwestionował ten tytuł (nadzieja na co?) i domagał się jego zmiany, nie miał wyobraźni Ernsta Blocha.

Historia – tradycja – edukacja.

³⁸ Cytuję za A. Nowickim; „Muzyka jako pejzaż nadziei, op. cit.”

Moi Rodzice.

Wracając do początku mojej drogi życiowej, która doprowadziła mnie do arterapii, pragnę przedstawić osoby, którym nie tylko zawdzięczam życie, ale i uznawany system wartości, preferencji i zasad postępowania.

Moja matka, Kazimiera Fryderyka z domu Stworzyńska³⁹ (1910 – 1972), lwowianka od pokoleń, podkreślała ten fakt mówiąc, że jest Obywatelką Miasta Lwowa. Tak bowiem mówiły o sobie rodowite mieszkanki tego dumnego miasta, taki napis spotkać można na nagrobkach na cmentarzach, na których zostały pochowane, m.in. na wrocławskim cmentarzu przy ulicy Bujwida, gdzie leży. inna Obywatelka Miasta Lwowa z mojej rodziny, Włodzimiera Grzybowa, z domu Stworzyńska, którą wspominam w dalszym ciągu tego rozdziału.

Moja matka z wykształcenia była historykiem, więc ze znajomością rzeczy gromadziła różne dokumenty, zdjęcia i rodzinne pamiątki, bo znała ich wartość i odkąd pamiętam opowiadała mi najrozmaitsze historie, od biblijnych poczynając na lwowskich kończąc; czasem je ilustrowała, bo lubiła też rysować. Wielokroć słyszałam od niej herbowe hasło Lwowa: *Leopolis semper fidelis*. (Lwów zawsze wierny)⁴⁰. Nigdy nie pogodziła się z utratą tego wspaniałego polskiego miasta, nie podpisała zrzeczenia się swojego domu we Lwowie przy ulicy Rzeźbiarskiej nr 3, co było po wojnie warunkiem uzyskania rekompensaty w postaci domu lub choćby mieszkania na Ziemiach Zachodnich, nie odwiedziła ukraińskiego Lwowa, choć po 1956 roku okazje ku temu były i powtarzała, że do Lwowa wróci jej wnuk. A wnuk, cóż, urodzony we Wrocławiu rozczytuje się w Mikrokosmosie Normana Davisa i bardziej interesuje go na razie Festung Breslau, ewentualnie Cytadela Poznańska niż Wysoki Zamek.

Mój ojciec – Wawrzyniec Bronisław Szulc (1908 – 1990) urodzony w Śniatynie też był od czasu studiów na Uniwersytecie Jana Kazimierza związany ze Lwowem. W naszym domu opiekował się rodzinnym archiwum i księgozbiorem: wszystkie książki były skatalogowane i opatrzone skromnym znakiem własności – pieczętą o treści:

Ze zbioru Wawrzyńca Szulca

Lwów

³⁹ Oryginalna metryka chrztu mojej matki, wystawiona 10. maja 1915 roku przez parafię św. Antoniego (kościół stoi przy ulicy Łyczakowskiej prowadzącej do Cmentarza Łyczakowskiego) wymienia nie tylko nazwiska ale i zawody jej rodziców oraz chrzestnych, a nawet stanowisko męża chrzestnej – radca kancelarii, chyba notarialnej, co pozwala na uszczegółowienie historii rodzinnej.

⁴⁰ Wiedząc jak wiele ono znaczy, zamieściłam je w dedykacji książki, którą poświęciłam Pamięci moich Rodziców, por. W. Szulc, Łacina medyczna, wyd. AM w Poznaniu, Poznań, 1995.

Zbiory gromadzone w Poznaniu, od roku 1949 opatrzone są pieczętą o treści:

Ze zbioru Wawrzyńca Szulca

Poznań

Mój księgozbiór nie jest skatalogowany ale ekslibris mam artystyczny, zaprojektowany przez Czesława Wosia, artystę plastyka z Ostrowa Wielkopolskiego, specjalizującego się w grafice i ekslibrisach. Przedstawia otwartą księgę, w niej nuty i napis: *Habent sua fata libelli* (mają książki swoje losy). Oj, mają. Prawie o każdej, należącej do mnie, mogłabym coś powiedzieć, jak do mnie trafiła, od kogo ją dostałam (na wielu są dedykacje od autorów lub darczyńców) lub gdzie ją kupiłam i dlaczego. Elementem zdobniczym ekslibrisu są narcyzy, miały być podobne do tych jakie rosły w ogrodzie moich dziadków w Śniatynie, ale te śniatyńskie były mniejsze niż na ekslibrysie, zwyczajniejsze, pół dzikie.

Do rarytasów domowej biblioteki zaliczam pierwsze wydania książek Heleny Radlińskiej, która nadal wymieniana jest na pierwszym miejscu wśród polskich pedagogów społecznych, drugie wydanie „Teorii względności” Alberta Einsteina w tłumaczeniu prof. Stanisława Lorii, sławnego matematyka z UJK, no i *leopoliana* – wydawnictwa opowiadające i ilustrujące przedwojenne i powojenne dzieje Lwowa.

Punktem zwrotnym w życiu mojego ojca była niewątpliwie wojna. Dużo opowiadał nie tylko o kampanii wrześniowej, podczas której walczył z bronią w rękę ale i o polityce, przedwojennej, wojennej i powojennej, która – odkąd pamiętam – była stałym tematem dyskusji w moim domu. Tym co najczęściej przewijało się we wspomnieniach ojca dotyczących Września 1939 roku, było poczucie bezsilności i rozpacz, że dowództwo wydało rozkaz złożenia broni i ucieczki na własną rękę, chociaż żołnierze chcieli dalej walczyć. Ojciec z szacunkiem i żalem wymieniał nazwisko swojego dowódcy kompanii, który nie chcąc wykonać tego rozkazu zastrzelił się⁴¹.

Dzień Zwycięstwa, maj zielony, białe kwitną bzy

Dziadek usiadł zamyślony, wspomniał wojny dni–

Ten wiersz, jeden z wielu jakie recytowałam na szkolnych akademiach, kojarzy mi się z wielokrotnie słyszonym opowiadaniem ojca o dniu 9. maja 1945 roku, w którym na wieść o kapitulacji Niemiec z entuzjazmem – jak wszyscy na ulicach Lublina i innych miast Polski – w huku fajerwerków i oddawanych na vivat salw karabinowych

⁴¹ Sprawdziłam w Internecie skład jednostki KOPu, w której służył ojciec: przy nazwisku tego kapitana jest informacja „zginął tragicznie 8. IX. 1939”.

witał pierwszy dzień wolności. Rozczarowanie co do charakteru tej wolności przyszło później.

Przedmiotem domowych dyskusji na tematy polityczne były nie tylko osobiste przekonania i opinie moich rodziców, które wymieniali z przyjaciółmi, ale i treść czasopism oraz audycji radiowych. Prenumerowali "Tygodnik Powszechny" i "Przekrój", o zupełnie innym profilu niż obecny, bo wieloletni redaktor naczelny, Marian Eile nadawał mu niepowtarzalny, powiedziałabym – subtelny klimat intelektualny. Tytuły wojskowe – pamiętam dwa – "Żołnierz Polski" i "Polska Zbrojna" ojciec przynosił z jednostki wojskowej. Lubiałam je oglądać, na przemian z książeczkami i czasopismami przeznaczonymi dla dzieci. Dla mnie prenumerowano "Świerszczyk" a później "Płomyczek". Interesowały mnie również opracione roczniki przedwojennych "Iskier", pisma o bardzo patriotycznym charakterze, przeznaczonego dla młodzieży.

Coniedzielne, poranne, piętnastominutowe audycje prezesa Radiokomiteu, Włodzimierza Sokorskiego doprowadzały moją mamę do *białej gorączki*, czemu się nie dziwię po przeczytaniu całej jego spuścizny, co uczyniłam przygotowując do druku moją pracę doktorską w formie książki pod tytułem *Kultura dla mas Polski Ludowej*. Osobliwa retoryka tego dygnitarza, pełniącego w różnych okresach także funkcję przewodniczącego Centralnej Komisji Związków Zawodowych i Ministra Kultury, podobnie jak przemówienia Jakuba Bermana, którego faktyczna władza wykraczała daleko poza tę wynikającą z zajmowanego stanowiska podsekretarza stanu w Radzie Ministrów są najczystszy przykładem nowomowy obowiązującej w okresie socrealizmu i stalinizmu ⁴².

Przeciwwagą dla tej oficjalnej propagandy było Radio Wolna Europa i BBC. Mam jeszcze w uszach trzask zagłuszaczy, przez który z trudem przebijał się głos Jana Nowaka Jeziorańskiego i basowy głos spikera radia BBC towarzyszący uderzeniom Big Bena. *Tu mówi Londyn. Nadajemy wiadomości dobre czy złe, ale zawsze prawdziwe*. Z toczących się w mojej obecności rozmów wiedziałam, że w referendum w 1946 roku – o którym teraz powszechnie wiadomo, że było sfałszowane – moja mama głosowała – wbrew nakazom propagandy – 3x NIE!! Bynajmniej się z tym nie kryła, więc mój ojciec, od roku 1945 oficer LWP miał podstawy, by narzekać, że naraża go na niebezpieczeństwo represji ze strony przełożonych i, niestety, nie mylił się ⁴³. Wiedziałam, kto wymordował polskich oficerów w Katyniu, choć wydaną w Londynie broszurę na

⁴² Przykłady podaję w książce „Kultura dla mas Polski Ludowej”. Wizje ideologów, twórców i publicystów z lat 1944–1956, Wrocław, Wyd. Atut, 2008, passim.

⁴³ Do wątku tego wróć w rozdziale: Poznań – moje miasto.

ten temat rodzice trzymali w wielkiej tajemnicy, ale i tak ją znalazłam, wiedziałam, kiedy jeszcze się o tym oficjalnie nie mówiło, że w Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie pochowany jest bezimienny obrońca Lwowa, przewieziony do Warszawy z Cmentarza Orląt Lwowskich, wiedziałam, co to były gułagi i AK (w tym kontekście wspominano kapitana Kopisto, męża siostry mamy, Janiny Stworzyńskiej – Kopistowej), widziałam na własne oczy propagandowe ulotki, pisane łamaną polszczyzną, wzywające do opuszczenia Zachodniej Ukrainy (czyli polskich Kresów Wschodnich) z uwagi na brak gwarancji bezpieczeństwa dla tych, którzy tam pozostaną

Ojciec swoje wojenne wspomnienia spisał i przekazał do zbiorów Ossolineum we Wrocławiu. Na ich podstawie w lokalnej (kieleckiej) prasie ukazał się raz artykuł o ojcu zatytułowany jego słowami: *Wolność jest darem natury* ⁴⁴. Nawiązał do tych słów p. Marcin Jaruzelski, z pochodzenia krajan ⁴⁵ i znajomy z Towarzystwa Miłośników Kresów Południowo – Wschodnich, w pięknej *laudatio funebris*, wygłoszonej na pogrzebie ojca, 25. września 1990 roku na Cmentarzu Junikowskim w Poznaniu. Pogrzeb, na rozkaz komendanta Wyższej Szkoły Wojsk Kwatermistrzowskich, w której ojciec kiedyś służył, generała doc. dr hab. Krzysztofa Pajewskiego zorganizowany był z ceremoniałem wojskowym. Myślę, że na te honory ojciec patrzył z góry z pobłażliwym uśmiechem, bo z natury był człowiekiem skromnym, pogodnym, nie rozpamiętywał doznanych krzywd, rozumiał, że *Życie nie wszystkich hołubi* ⁴⁶, ale że honor żołnierza cenił najwyżej, na pewno czuł się zaszczycony, podobnie jak my, jego najbliżsi, wdzięczni Panu Generałowi za ten gest.

Oboje moi rodzice byli harcerzami – mama przed wojną, ojciec po wojnie (ja niestety nie). Ojciec zwolniony z wojska w roku 1953, bez prawa do emerytury wojskowej ⁴⁷, przez wiele miesięcy bezskutecznie poszukujący jakiegokolwiek pracy, zatrudniony w końcu na urzędniczym stanowisku w Zakładach Przemysłu Gumowego Stomil wyżywał się w pracy społecznej. Świadczą o tym najrozmaitsze dyplomy i odznaczenia, m. in. Honorowa Odznaka Miasta Poznania. Był instruktorem harcerskim i uczył młodzież samoobrony. Był honorowym krwiodawcą i szerzył wśród starszej młodzieży ideę honorowego oddawania krwi. Działał w TOPL czyli późniejszej Po-

⁴⁴ S. Jedynek, *Wolność jest darem natury./ Rozmowa z Wawrzyńcem Szulcem*, "Słowo Ludu", Kielce – Radom, 8, 9, 10.10.1982, nr 1205.

⁴⁵ Majątek rodzinny Jaruzelskich znajdował się w Książach pod Śniatynem i w Załuczu Górnym. W Książach urodził się też znany aktor – Zbyszek Cybulski. Na peronie 3. wrocławskiego dworca PKP, z którego, pracując na Uniwersytecie Wrocławskim co tydzień odjeżdżałam do Poznania, znajdowała się wmurowana tablica informująca o tragicznej śmierci aktora na tym peronie.

⁴⁶ W.T. Babiarz, *Życie nie wszystkich hołubi*, "Żołnierz Wolności", 1987 nr 277.

⁴⁷ Wróć do tego wątku w rozdziale: Poznań – moje miasto.

wszechnej Samoobronie, do której i mnie wciągnął, gdy zaczęłam pracować, podobnie jak on, w resorcie chemii, a konkretnie w Fabryce Kosmetyków Lechia (jako kierowniczka fabrycznej świetlicy).

Uzyskałam tam nawet uprawnienia Instruktora Powszechnej Samoobrony, a *Działalność propagandowo – informacyjna Zakładowych Oddziałów Powszechnej Samoobrony* była tematem pracy dyplomowej, jaką napisałam pod kierownictwem doc. dr hab. Stanisława Pietraszki na zakończenie podyplomowego Studium Kulturalno – Oświatowego Uniwersytetu Wrocławskiego (1965 – 1967).

Dla moich rodziców edukacja, najpierw ich własna, a później moja miała ogromne znaczenie, i to taka edukacja, która obecnie nosi angielską nazwę *Life Long Learning*. Zachował się komplet świadectw mojej matki od szkoły podstawowej, którą była Szkoła ćwiczeń C.K. (Cesarsko – Królewskiego) Seminarium Nauczycielskiego we Lwowie, przez Gimnazjum Królowej Jadwigi, po dyplom *Magistra filozofii w zakresie historii* nr 1226, wydany przez Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie w roku 1935. Pierwsze szkolne świadectwo mojej matki, na druku wykonanym w lwowskim Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich nosi tytuł, podobnie jak wszystkie następne ze szkoły podstawowej: *Zawiadomienie szkolne i mówi, że Stworzyńska Kazimiera, urodzona 5. marca 1910 we Lwowie w Galicji religii katolickiej obrządku rzymskokat., rozpoczynając naukę szkolną w roku szk. 1916/17 uczęszcza do tut. Szkoły od 15 września 1916. Wykaz przedmiotów z ocenami otwierają: Zachowanie się – chwalebne, Pilność – wytrwała, a zamyka coś, czego nie spotkamy już w latach późniejszych: Porządek zewnętrzny ćwiczeń piśmiennych z notą: bardzo staranny.*

Po wojnie zapisała się na Korespondencyjny Kurs Bibliotekarski organizowany przez Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich w Warszawie, ten sam który ja ukończyłam dziesięć lat później (1965), i który dał mi solidne przygotowanie do wykonywanego przez kilka lat zawodu,. Do biblioteki zapisała mnie bardzo wcześnie, kiedy miałam zaledwie cztery lata, czyli natychmiast po tym, jak przyjechaliśmy ”zza Buga” do Lublina. W jej indeksie uniwersyteckim znalazłam dowód wpłaty wpisowego do biblioteki z datą 8. XI. 1945 na moje imię i nazwisko z adresem: *Biblioteka dla dzieci. Lublin, Konopnicka 4.*

Zależało mi, by odwiedzić to miejsce, bo zapamiętałam pochyloną nade mną uśmiechniętą twarz pani bibliotekarki, która witała mnie jako nowego czytelnika. Od tamtego dnia biblioteki stały się moimi ulubionymi instytucjami, które odwiedzam wszędzie, gdzie tylko jestem. Dzięki pani prof. Andrei Jaworskiej, będąc niedawno w

Lublinie na ulicę Konopnicką trafiłam, ale biblioteki już tam nie ma.

Uczyła się też przez radio angielskiego od podstaw i francuskiego, który znała jeszcze z gimnazjum, bo takie kursy prowadziło Polskie Radio w latach 50. i 60 XX w. i wydawało broszurki z tekstami każdej lekcji. Zgromadziła komplet zeszytów *Wszechnicy radiowej* (była to taka forma popularnej edukacji dla wszystkich, w warunkach powojennych, w kraju z wysokim odsetkiem analfabetyzmu), mimo, że treść historyczno – polityczna tych Zeszytów, w duchu ideologii leninowsko – stalinowskiej strasznie ją denerwowała.

Uniwersyteckie indeksy mojej matki, studentki Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie i mojego ojca, studenta Wydziału Matematyczno – Przyrodniczego mają inny kształt niż obecne indeksy, bo są w formie książeczek i tak też się nazywają. Strona tytułowa indeksu ojca, w języku łacińskim, rozpoczyna się od uroczystych słów: ”*Nos Rector et Decanus Facultatis Scientiarum in Universitate Ioanneo-Casimiriana Leopoliensi lecturis salutem a Domino!*” Najciekawsze z punktu widzenia historii nauki są niewątpliwie nazwiska, nazwy wykładanych przedmiotów i zaliczenia podpisane przez profesorów, z których wielu figuruje dziś w encyklopediach, podręcznikach historii nauki i na tablicach z nazwami ulic, i tak w indeksie nr 274 wydanym w roku 1928, a należącym do mojego ojca, Wawrzyńca Bronisława Szulca znajdują się takie oto wpisy: **Stefan Banach** – *Matematyka ogólna*, **Hugo Steinhaus** – *Teoria wyznaczników i równań liniowych* oraz *Geometria analityczna*, a są to przecież twórcy słynnej lwowskiej szkoły matematycznej! Inne znane nazwiska to **Stanisław Loria** (*Fizyka eksperymentalna*), **Stanisław Tołłoczko** – *Chemia ogólna*, **Roman Ingarden** (*Poglądy epistemologiczne D. Hume’a*), **Kazimierz Ajdukiewicz** (*Główne zasady nauk filozoficznych*). Te dwa ostatnie nazwiska są dobrze znane także współczesnym humanistom, a *Logika* Kazimierza Ajdukiewicza długo po wojnie była jedynym podręcznikiem do tego przedmiotu dla szkół średnich, więc i ja jeszcze z niego uczyłam się w II Liceum Ogólnokształcącym w Poznaniu.

Wpisy do indeksu Wydziału Humanistycznego nr 24657 z roku 1929, należącego do mojej matki, otwiera nazwisko prof. **Kazimierza Twardowskiego** – twórcy lwowskiej szkoły psychologicznej. A zaraz po nim figuruje prof. Kazimierz Ajdukiewicz. Ciekawie brzmią nazwy takich przedmiotów, jak np. *Dwór królewski jako ośrodek kultury w dawnej Polsce* (Stanisław Łempicki, Dr prof. nadzw.), *Dyplomacja papieska* (Karol Maleczyński, Dr doc), *Dzieje Zakonu Krzyżackiego ze szczególnym uwzględnieniem jego spraw wschodnich*. (Stanisław Zajączkowski, dr doc.); prócz indeksu za-

chowała się także legitymacja przynależności jej właścicielki do Koła Studentek UJK i Koła Historyków UJK; jest także legitymacja, która w pośredni sposób potwierdza fakt służby mojego ojca w Korpusie Ochrony Pogranicza: to legitymacja wydana dla jego żony, czyli mojej mamy.

W okresie okupacji niemieckiej we Lwowie, nazywającym się wtedy Lemberg, moja mama pracowała w ogrodnictwie, w charakterze "Arbeiterin" (robotnica) i, jak mi się przyznała, szmuglowała, jak się udało, marchewki, chowając je pod bluzką. Dzięki dowodowi zatrudnienia miała też prawo do kartek żywnościowych, między innymi na masło, 600 gramów na miesiąc. Widoku kartek wydawanych niemal na wszystko, z okresu stanu wojennego w latach 80. już nie doczekała.

Ja zaś pamiętam kostkę masła, jaką dostałam w najgorszych, pierwszych dniach stanu wojennego. Masłem podzieliła się ze mną i moim dzieckiem jedna koleżanka z Biblioteki AM i nie był to dar z Zachodu.

Życie codzienne zwykłych ludzi w stanie wojennym - temat nie do końca jeszcze opisany, zawiera w sobie problem natury ogólniejszej: sprawy bytowe ważne dla zwykłych ludzi. Bez ich uwzględnienia nie ma co mówić także o uniwersalizmie arteterapii. W rozdziale "Wojna i pokój" poruszyłam temat stosowania terapii przez sztukę wobec ofiar wojen. A co ze sztuką podczas wojny? Wiadomo, że wbrew łacińskiej sentencji *Inter arma silent Musae* (W czasie wojennego zgiełku milczą Muzy) artyści mimo wszystko w podziemiu tworzyli sztukę i mieli publiczność, ale hierarchia ludzkich potrzeb została zachwiana. Spróbuję dowieść, że przypadkowa rozmowa, jaką prowadziłam w stanie wojennym w kilometrowej kolejce po mięso, przed sklepem na ulicy Garbary, vis a vis Wojewódzkiego Centrum Onkologii, miała coś wspólnego z *kulturoterapią*.

Stojąca obok mnie starsza pani, ale nie na tyle starsza by korzystać z kolejkowych przywilejów (te miały w pierwszym rzędzie matki z dziećmi na ręku) poskarżyła się na silny ból nóg. Okazałam zrozumienie i zainteresowanie tematem, i tak od słowa do słowa pani opisała mi swoją pracę w wodociągach miejskich, w oczyszczalni, wymagającą wielogodzinnego stania po kolana w wodzie. Zaciekało mnie to, bo z autopsji znałam warunki pracy na stanowiskach produkcyjnych w fabryce proszku do prania („Ixi”), w której bezpośrednio po ukończeniu studiów pracowałam sześć lat. Pytałam więc o szczegóły, pani wyjaśniała, a kiedy wreszcie po około trzech godzinach dotarliśmy do lady, powiedziała: *dziękuję, że mogłam to opowiedzieć, bo moja praca nikogo nie interesuje*.

Na obozach rehabilitacyjnych z eksperymentalnym programem zajęć kulturoterapeutycznych, organizowanych w latach 1986–1991 przekonałam się, że tym co najbardziej interesowało uczestników, była ich praca zawodowa. O wynikających stąd wnioskach dla koncepcji arteterapii, napiszę w podrozdziale "Medycyna, sztuka i kulturoterapia".

A teraz jeszcze o dokumentach i innych pamiątkach zachowanych po rodzicach. Nie jest to wykaz sporządzany dla celów muzealnych ale refleksja nad tym, co było ważne dla posiadaczy tych dokumentów i co ważne może być po latach, w zależności od tego, kto te pamiątki pokazuje i komu. Dla historyka indeksy i dyplomy uniwersyteckie mogą być przyczynkiem do historii polskiego szkolnictwa wyższego na terenie Kresów Wschodnich, ale w państwowych archiwach z pewnością jest wiele innych, może bardziej kompletnych tego typu zbiorów, podobnie przedstawia się sprawa z przedmiotami o charakterze etnograficznym, opisanymi w rozdziale "Magia Huculszczyzny". Świadectwo maturalne mojego ojca z Gimnazjum Matematyczno – Przyrodniczego w Śniatynie i tableau przedstawiające abiturientów tego gimnazjum z lat 1927–1937, podobnie jak zdjęcia członków Cechu Rzemiosł Drzewnych, na których rozpoznałam mojego dziadka, Kazimierza Szulca, mogą być ilustracją do historii galicyjskiego miasteczka Śniatyn, którą od jakiegoś czasu zajmuje się pewna niemiecka fundacja, ale dla mnie stanowią spoiwo historii rodzinnej i tradycji.

Ze zbiorów rodzinnych, na przykład, szczególnie, i zrozumiałe znaczenie ma dla mnie zdjęcie wykonane w Zakładzie fotograficzno-portretowym Kazimierza Skórskiego, Lwów, Kopernika 22, po uroczystości zaślubin moich rodziców w kościele św. Elżbiety we Lwowie, 30. października 1937 roku. Przedstawia uśmiechniętych nowożeńców; pannę młodą, z bukietem kalii, (tak, kalii) otulonym mgiełką welonu i towarzyszącego jej pana młodego w oficerskim mundurze. W klapie munduru widoczny jest znaczek, na którym można odczytać litery K.O.P. – Korpus Ochrony Pogranicza.

Służba wojskowa dla mojego ojca była sprawą wyboru zawodu przynoszącego zaszczyt, a nie tylko wojenną koniecznością, o czym świadczy dyplom potwierdzający fakt, że w roku 1932 w Rawie Ruskiej ukończył Kurs oficerów rezerwy piechoty. W latach 1938-39 był pracownikiem cywilnym Korpusu Ochrony Pogranicza, co wynika z zachowanych legitymacji służbowych, ale nie jego (bo wszystkie dokumenty świadczące o związkach z KOPem zniszczył) ale jego żony, czyli mojej mamy. Chyba ze względów bezpieczeństwa powinna była też je zniszczyć ale, jak widać, nie zniszczyła. Zmobilizowany został w sierpniu 1939 roku. We wrześniu 1939 roku żołnierz

Wojska Polskiego walczyli pod sztandarami z napisem: *Bóg. Honor i Ojczyzna*. Zastanawiam się, co znaczyły te słowa dla mojego ojca, który przechował szkaplerz noszony pod mundurem i obraz – kawałek deski z namalowanym na nim wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, który niewiadomo skąd znalazł się w pierwszych dniach września 1939 roku w okopie podczas bitwy pod Końskimi i – jak ojciec opowiadał – uratował mu życie, bo zatrzymał pocisk lecący w jego stronę? *Si non e vero*. Ktoś nie znający tej historii, patrząc na ten obraz, odrestaurowany w Muzeum Archidiecezjalnym w Poznaniu, z certyfikatem stwierdzającym, że to autentyk XIX. wieczny widzi w nim po prostu dzieło sztuki.

Dopiero po wielu latach zrozumiałam, jakim cudem był fakt, że mojego ojca ominął Katyń. Wiem, że po klęsce wrześniowej, zgodnie z rozkazem dowództwa 163 pułku piechoty, w którym służył, zdjął mundur (zakopał w lesie), zniszczył wojskowe dokumenty, ogolił głowę, by w razie złapania uchodzić za szeregowego żołnierza i ukrywał się. Podobno pomogło mu to, że w rodzinie i wśród sąsiadów w Śniatynie znany był jako Bronisław, więc kiedy raz przyszli Niemcy pytając o porucznika Wawrzyńca Szulca, wszyscy szczerze odpowiadali, że takiego nie znają. A ojciec podczas okupacji pracował najpierw jako robotnik tartaczny a potem w sowieckiej gorzelni wyrabiał *duchi*, czyli perfumy. Do wojska wstąpił ponownie pod koniec 1944 roku, najpierw zajmował się uruchamianiem na Lubelszczyźnie wytwórni chemicznych produkujących mydło i proszki do prania na potrzeby wojska i ludności cywilnej a później współorganizował w Lublinie, jako zastępca dyrektora nauk Oficerską Szkołę Intendentury i był w niej wykładowcą⁴⁸. Z tą jednostką wojskową przeprowadzaliśmy się później do Zgierza, Łodzi i w końcu do Poznania, w którym nieprzerwanie mieszkam do dzisiaj.

Zdjęcia z rodzinnego albumu. Sekrety fotografoterapii.

W zbiorach rodzinnych zachowało się sporo zdjęć, także bardzo starych, uroczystych, robionych z namysłem, ze specjalnych okazji; te najstarsze są w albumach, czasem z podpisami, robionymi ręką ojca komentującego przedstawione wydarzenie. Bo czym właściwie jest zdjęcie? Krytyk muzyczny Bohdan Pocij nazwał fotografię

⁴⁸ Zachowały się fragmenty konspektów do wykładów z chemii, jakie prowadził dla słuchaczy tej szkoły przyszłych kwatermistrzów, czyli – mówiąc współczesnym językiem – specjalistów od zaopatrzenia i logistyki, zapisane starannym pismem, poczynawszy od roku 1945. Inne zeszyty z kolei zawierają notatki z kursu Naukowej Organizacji i Kierownictwa, na jaki ojciec zapisał się w Poznaniu w roku 1949.

Śladem życia”⁴⁹. O takim ”śladzie życia” myślę, gdy oglądam jedną z najciekawszych dla mnie kartek z rodzinnego albumu. Są na niej naklejone dwa zdjęcia w formacie pocztówkowym. Zdjęcie po prawej wykonane w znanym jeszcze przed I wojną światową atelier fotograficznym *Kordyan. Lwów, ul. Kilińskiego, róg Hetmańskiej* (w dolnym rogu zdjęcia widoczna jest wytłoczona pieczętka z tą nazwą) przedstawia małą dziewczynkę siedzącą na fotelu przykrytym futrzakiem. Dziewczynka ubrana w białą elegancką sukienkę ozdobioną mazureczkami, haftowane skarpetki i białe skórzane trzewiczki, ma na szyi zawieszony złoty medalik na długim łańcuszku. Patrząc na medalik przez lupę można zobaczyć wypukły wizerunek Matki Boskiej Anielskiej. Dziewczynka ma założone rączki i poważną minę. Z historii rodzinnej wiadomo, że dziewczynka nazywała się Kazimiera Fryderyka Stworzyńska, a zdjęcie wykonane zostało z okazji jej drugich urodzin. Na rewersie medalika, który ja teraz noszę, wygrawerowana jest data: 4.III. 1912 r. Ta dziewczynka to moja matka.

Zdjęcie po lewej stronie kartki także przedstawia dziewczynkę w podobnym wieku, łudząco podobną do pierwszej. Stoi na zwykłym drewnianym krześle. Ubrana jest w skromną sukieneczkę i szmaciane, niezbyt foremne, bo ręcznie szyte pantofelki. Ufnie, z uśmiechem patrzy w stronę fotografującego. Był nim mój ojciec. Zdjęcie zostało zrobione w Monasterku, na terenie obecnej Zachodniej Ukrainy w roku 1943.

Każdy kto wie, co się wtedy działo w tej części świata nie będzie się dziwił, że aranżacja wnętrza w którym wykonano tę fotografię przedstawia się tak ubogo. Mógłby ewentualnie się dziwić, że zdjęcie w ogóle zostało zrobione. Między te dwa zdjęcia małych dziewczynek wkleiłam trzecie, wykonane w roku 1972, przedstawiające mojego syna, który miał półtora roku, gdy umarła moja mama, a jego babcia. A teraz pytanie: czy opisane zdjęcia mogą mieć coś wspólnego z terapią? Jak najbardziej. Znając ich historię, i historię powszechną, można bowiem domniemywać, że były terapią dla mojego ojca po traumie wojennej, kiedy robił z ocalałych zdjęć album w prezencie dla swojej żony a mojej matki z okazji rocznicy ich ślubu; że były terapią dla mojej matki, która swojemu dziecku urodzonemu podczas wojny nadała imię Vita (życie), które miało je ocalić, bo stanowiły ślad, dokument i dowód uratowanego życia. Są wreszcie terapią dla piszącej te słowa. Czy jednak wspomnienia osobiste mogą też mieć walor naukowy? Zastanawiam się nad tym od lat uczestnicząc w międzynarodowych konferencjach terapeutów zajmujących się stosowaniem sztuki – malarstwa, muzyki, literatury i fotografii – w charakterze narzędzia terapeutycznego. Na każdej

⁴⁹ B. Pocij. Próby utrwalenia. Stare fotografie,”Ruch Muzyczny”, b.r.

takiej konferencji przynajmniej jedna osoba wygłaszająca referat o wpływie sztuki na osobowość, powołuje się na własne doświadczenia. O swoich osobistych zdjęciach pisze i pokazuje je w podręczniku fototerapii najbardziej znana w świecie arteterapii kanadyjska fototerapeutka, Judy Weiser.⁵⁰

Mówienie o fotografiach dla nas najważniejszych jest sprawą bardzo intymną, porównywalną do mówienia o własnych wierszach. Potwierdziła to angielska arteterapeutka Marian Liebmann w recenzji książki autorstwa Judy Weiser zatytułowanej *Techniki fotografoterapii: odkrywanie sekretów fotografii osobistych i albumów rodzinnych*, zauważając jednocześnie, że pokazanie w tej książce fotografii z rodzinnego albumu autorki było z jej strony aktem prawdziwej odwagi. Myślę jednak, że w publikowaniu własnych zdjęć rodzinnych nie tylko o odwagę chodzi.

Jeszcze w głąb rodzinnej historii.

Niewiele wiem o moich dziadkach. Dziadek ze strony matki, Roman Stworzyński w latach 20. XX w. był wyższym urzędnikiem w Dyrekcji wodociągów lwowskich. Na zachowanych zdjęciach wygląda bardzo nobliwie, podobnie jak jego żona, Kazimiera, z domu Śliwińska, moja babcia, choć trudno mi o niej tak myśleć, zważywszy, że umarła młodo, w wieku 38 lat. Ubierała się i czesała modnie, co można stwierdzić porównując jej zdjęcia np. ze strojami aktorek występujących w przedstawieniach z epoki, to jest z lat dwudziestych XX w. Chorowała na płuca i leczyła się wraz z mężem, również gruźlikiem w sanatorium w Zakopanem, istniejącym do dzisiaj tyle że o zmienionym profilu na szpital rehabilitacyjny. Rozpoznałam ten gmach, na tle którego sfotografowali się moi dziadkowie, gdy byłam w nim w roku 2002 na konferencji na temat muzykoterapii. W albumie rodzinnym jest kilkanaście zdjęć zrobionych w lwowskich zakładach fotograficznych przedstawiających Romana i Kazimierę Stworzyńskich samych i z córkami z okazji ich kolejnych urodzin i uroczystości Pierwszej Komunii św., są zdjęcia najmłodszej Janki z jej opiekunami, którymi po śmierci rodziców zostali siostra ojca, Włodzimiera Grzybowa, z domu Stworzyńska i jej mąż Daniel Grzyb, inżynier noszący tytuł "budowniczy miasta Lwowa". Ciotka Władka Grzybowa przyjechała po wojnie ze swoją wychowanicą, czyli moją cicią Janinką,

50 J. Weiser, *Phototherapy Techniques, Exploring the Secrets of Personal Snapshots and Family Albums*. Second Ed. 1999. Do sprawy plagiatu tej książki popełnionego przez autorów włoskich nawiązałam w artykule "Plagiaty i media", "Forum Akademickie", 2010 nr 10 zastanawiając się nad proveniencją artykułu „Muzyka w medycynie a muzykoterapia”, "Przewodnik Lekarza", 2002 nr 8, opublikowanego bez mojej zgody, choć z moim nazwiskiem jako pierwszego autora.

do Wrocławia, gdzie mieszkała do końca życia. Pamiętam jej dystygowaną sylwetkę, a także arcydzieła sztuki kulinarnej, na przykład wigilijnego karpia po żydowsku i strudel z jabłkami z płatów ciasta cieniutkich jak bibułka, delikatniejszy nawet od tych serwowanych w wiedeńskich kawiarniach.

Dziadek ze strony ojca, Kazimierz Szulc był stolarzem, w latach 30. XX w. Starszym Cechu Grupy Drewno – Metalowej w Śniatynie; członków cechu na uroczystych grupowych zdjęciach utrwał fotograf L. Schmitzler, jak głośzą pieczętki na odwrocie zrobionych fotografii, ostatecznie zdjęcie nosi datę 10.04. 1938 r. Babcia Stefania – drobna brunetka, była bardzo ładna, co widać na zdjęciach i co zapamiętałam, bo widywałam ją co roku, ale żadne z jej dzieci ani wnuków nie było do niej podobne, nad czym, myśląc o sobie, ubolewałam. Nie ma zdjęć mojego ojca z dzieciństwa i wczesnej młodości spędzonej w Śniatynie, choć jest kilka studyjnych fotografii jego młodszej siostry, Ziuty robionych z okazji jej I Komunii św. i zabaw karnawałowych, przedstawiających ją w różnych wymyślnych strojach, w tym w stroju krakowianki (Śniatyn to była Galicja, a Galicja to przede wszystkim Kraków) Najmilszym wspomnieniem z dzieciństwa mego ojca była dla niego – jak opowiadał – podróż z mamą, gdy miał 7 lat czyli ok. roku 1915 do Maria Zell, austriackiego sanktuarium maryjnego (pamiętajmy, że wtedy Śniatyn wraz z całą Galicją znajdował się pod zaborem austriackim). Odwiedziłam je w latach 90. i przekonałam się, że jest tam przepięknie, a górską sceneria sprzyja modlitewnemu podziwowi dla Stwórcy.

W cieniu żałoby.

Przyglądając się raz świadectwom szkolnym mojej mamy zauważyłam, że powtarzała czwartą klasę, a jej pilność z wytrwałą w klasie trzeciej stała się tylko zadawałką. Epizod w gruncie rzeczy banalny, ale nabiera innego wymiaru w zestawieniu z innym zachowanym dokumentem z tego czasu – klepsydrą o treści: *Za spokój duszy ś.p. z Śliwińskich Kazimierzy Stworzyńskiej odprawioną zostanie w wigilię pierwszej rocznicy jej śmierci t.j. dnia 6 marca 1922 o godz. 7.30 rano w kościele O.O. Bernardynów Msza św. żałobna, na którą najuprzejmiej zaprasza Roman Stworzyński z Dziećmi*. Bo moja matka w wieku 11 lat została pól sierotą, a w niecałe cztery lata później w dzienniku, jaki prowadziła od dwunastego roku życia, pod datą 22.stycznia 1925 znalazł się lakoniczny zapis mówiący o śmierci jej ojca, a mojego dziadka, Romana Stworzyńskiego:

Rano o siódmej wstała babcia i z przerażeniem zobaczyła, że tato kona. Wstałyśmy zaraz, Marysia poszła po księdza ale tato był już nieprzytomny. Biedna Janusia, taka mała a już nie ma ani ojca ani matki.

Marysia to młodsza o rok siostra mamy, Maria Orzęcka, skończyła polonistykę na UJK, podobnie jak jej rodzice zmarła na gruźlicę, podczas wojny, wkrótce po urodzeniu jedyne go syna, Wiesława, zaś Janusia, druga, młodsza o 8 lat siostra mamy to późniejsza mgr Janina Stworzyńska-Kopistowa, w latach 60. ub. w. sędzia Sądu Rejonowego we Wrocławiu. Przechowuję jej maturalne tableau, odznakę szkolną gimnazjum Królowej Jadwigi we Lwowie, i Odznakę Honorowego Obywatela m. Wrocławia.

Jej wrocławskie mieszkanie przy ul. Damrota było pełne przedmiotów, które budziły moją ciekawość i podziw, należała do nich cytra – rzadki instrument muzyczny i nocna lampka w formie porcelanowego kotka, która gdy się świeciła, wydawała delikatny zapach. Ciocia Janinka – elegancka, pachnąca kosmetykami kupowanymi w Pewexie za bony (specyficzny środek płatniczy w czasach PRL-u), była ideałem mojego dzieciństwa. Chciałam jak ona studiować prawo, a jeśli nie prawo, to przynajmniej łacinę renesansową (w Poznaniu była tylko klasyczna), ale koniecznie we Wrocławiu.

Mama jednak się nie zgodziła. Pozostało mi więc wyczekiwanie na rzadkie wizyty cioci w Poznaniu i okazjonalne, przeważnie wakacyjne pobyty u niej. Chodziłam wtedy z nią do Sądu na Podwale, a wieczorami do teatru lub opery. Zaliczyłam wówczas chyba wszystkie premiery, bo ciocia była namiętną teatromanką. Kupowała też wszystkie nowości książkowe, więc i ja przy okazji byłam czytana we współczesnej literaturze.

Babka osieroconych starszych dwóch sióstr Stworzyńskich, Maria Śliwińska, która je wychowywała po śmierci rodziców, mieszkała we Lwowie przy ulicy Domsa, w sąsiedztwie domu Jana Parandowskiego. *Zegar słoneczny* – autobiograficzne opowiadania z okresu dzieciństwa pisarza ⁵¹ to była ukochana książka mojej matki, choć bliska jej była cała twórczość tego wybitnego znawcy antyku. Postarała się, by w naszym domu był komplet wszystkich jego wydań. Kiedyś, już z Poznania napisała do pisarza o emocjach, jakie wzbudził w niej *Zegar słoneczny*, na co Jan Parandowski odpowiedział uprzejmym listem, sprawiając jej tym ogromną radość; a list pisarza trafił do naszego domowego archiwum.

Zbierała też i przechowała zeszyty „Filomaty”, pisma poświęconego kulturze

⁵¹ Jedno z nich pt. „Gil” – historia zmagania pięcioletniego autora z literami, które składają się na słowo „gil” – świetnie pokazuje trud dziecka związany z nauką czytania i z tego powodu zalecam to opowiadanie jako lekturę studentom edukacji przedszkolnej i wczesnoszkolnej.

antycznej, wydawanego we Lwowie od roku 1929 i redagowanego przez znanego filologa klasycznego Ryszarda Gansińca ⁵², po wojnie związanego z Uniwersytetem Jagiellońskim. Czy „karmiona” od dziecka takimi lekturami mogłam nie pójść na studia filologii klasycznej?

Myszę, że życie mojej matki naznaczone było piętnem śmierci. Wcześniej straciła rodziców, później siostrę Marysię, z którą była bardzo zżyta, ale najboleśniej z pewnością była śmierć synów. Mój starszy brat, Wawrzyk, oficjalnie Wawrzyniec Iwo, noszący jedno imię po ojcu, a drugie po bośniackim nobliście Ivo Andricu, zmarł na zapalenie płuc w wieku czternastu miesięcy, w roku 1939, zanim ja się urodziłam. Wyobrażam sobie jaką to była tragedia dla rodziców. Ojciec nigdy go nie wspominał, choć widać ze zdjęć robionych w Czortkowie tuż przed wybuchem wojny jak bardzo się nim cieszył (pułk, do którego powołany został mój ojciec jako porucznik rezerwy właśnie z Czortkowa wyruszał na front), Później miłość i dumę z męskiego potomka przełał na jedyne go wnuka, którego – jak większość dziadków – kochał bezgranicznie, Zaznaczyć należy, że z wzajemnością.

Mama swojego pierworodnego synka wspominała często. Zachowała kawałek materiału, którego nie pozwoliła wyrzucić. Patrząc kiedyś na wiszące na ścianie duże zdjęcie w owalnej, pozłacanej ramce przedstawiające uśmiechniętego bobaska, bardzo podobnego do mojego ojca zauważyłam, że jest ubrany w kaftanik z takiego właśnie materiału (mama sama szyła ubrania sobie i dzieciom). Pewnego dnia w roku 1964 powiedziała do mnie: od dzisiaj mogę już jeść truskawki; bo ślubowała, gdy Wawrzyk był ciężko chory, że zrezygnuje na 25 lat z czegoś, co bardzo lubiła – z truskawek. We wszystkim, co mówiła i robiła była konsekwentna, honorowa i szczerza aż do bólu, zarówno w sprawach prywatnych jak i publicznych, o czym jeszcze będzie mowa. Mój drugi brat, Marek urodził się w Łodzi w roku 1947 i po trzech dniach umarł. Widziałam go w szpitalu, był cały żółty, a jak dowiedziałam się że umarł, żarliwie modliłam się by żył, nie rozumiejąc, że to niemożliwe. Wśród pamiątek rodzinnych była gazeta – „Dziennik Łódzki” z dnia 25. kwietnia 1947 z zaznaczoną na czerwono datą i napisem wykonanym ręką ojca *Imieniny Marka*.

Mama była osobą niezwykle czytaną, właściwie stale czytała, nawet kosztem zajęć domowych (mam to po niej!). Preferowała literaturę historyczną, a wśród niej twórczość Ivo Andricia, choć na drugim biegunie jej upodobań literackich były klasyczne kryminały Conan Doyle’a i Agaty Christie. Kiedy jeszcze chodziłam do szkoły

⁵² W „Filomacie” opublikowałam jedne z pierwszych moich tekstów: były to artykuły na temat pieśni weselnej w starożytności i o przyjacielu Cicerona, Tytusie Pomponiuszu Attyku.

dała mi do czytania powieść *Most na Drinie* (za którą Andrić dostał nagrodę Nobla), dziejącą się w czasach, kiedy Bośnia znajdowała się pod jarzmem tureckim, ale było to chyba za wcześnie, bo długo prześladowały mnie opisy tortur, jakim poddany został bohater powieści, bośniacki budowniczy mostu na rzece Drinie. Od czasu do czasu powtarzała zdanie z jakiejś powieści Andricia, ale nie doszłam z której: *Wszystkie nasze uczucia i взгляды to tylko nasza słabość, dlatego staraj się, w miarę możliwości, aby nic co twoje nigdy ani przez chwilę nie zależało od fanaberii innych*. Nie wiem, czy to było proroctwo czy zrządzenie losu, ale faktem jest, że jej jedyny wnuk po swoim ojcu Ismecie⁵³ Fazlagiciu jest Bośniakiem. Wybrała też dla wnuka imię Amir, do którego ja dodałam chrześcijańskie Jan.

Znała i lubiła także literaturę skandynawską i marzyła, by pojechać do Norwegii. Prawdopodobnie chciała zobaczyć ojczyznę Edwarda Muncha i Edwarda Griega; znałam dzięki niej, prócz suity *Peer Gynt* Griega z chwytającą za serce *Pieśnią Solweigi*⁵⁴, także treść poematu *Peer Gynt*. Myślałam o tym, kiedy przy okazji wizyty w roku 2005 w ukrytym wśród norweskich fiordów Sandane, jednej z najlepszych w Europie uczelni kształcących muzykoterapeutów pod kierunkiem profesora Brynjulfa Stige⁵⁵, w drodze powrotnej zatrzymałam się w Oslo i zwiedzałam muzeum Muncha. Życiorys malarza wyjaśnia dlaczego w jego obrazach jest tyle smutku, przedstawień śmierci i umierania.

Była bardzo refleksyjna i różne prawdy życiowe przekazywała mi w formie sentencji łacińskich i aforyzmów poetyckich, między innymi Robindranatha Tagore (też noblisty), np. *Kiedy przelewasz łzy dlatego, że nie widzisz słońca, nie dostrzegasz również i gwiazd. Uczeń twierdzi, że wasze światło któregoś dnia zgaśnie – mówiły robaczki świętojańskie do gwiazd. Gwiazdy nie odpowiadały. Quisquid agis, prudenter agas et respice finem* (cokolwiek czynisz, czyń roztropnie i patrzaj końca).

Mogę stwierdzić, że moja mama chorująca całe życie na serce (w historii jej choroby powtarzała się diagnoza: *fibrillatio stenosi venosi sinistri* – efekt przebytej w dzieciństwie odry) tak naprawdę umarła ze smutku i tęsknoty, bo choć czasem potrafiła być bardzo wesoła i śmiać się, to żyła przeszłością, a w jej wspomnieniach zawsze obecny był Lwów. No i Najbliżsi, którzy odeszli.

53 Imię Ismet jest odpowiednikiem semantycznym imienia Felix czyli szczęśliwy – po polsku Szczęsny, a po bośniacku Sroczko.

54 Bardziej znany jest inny fragment tej suity Poranek.

55 Prof. Stige od wielu lat jest redaktorem naczelnym jednego z najważniejszych na świecie czasopism naukowych poświęconych muzykoterapii "Nordic Journal of Music Therapy". Czasopismo ma grono stałych współpracowników reprezentujących kraje nadbałtyckie, mnie powierzono reprezentowanie Polski, co uwidoczniło się w redakcyjnej stopce.

Arteterapia paliatywna.

Palium – z greki, znaczy płaszcz. Płaszczem św. Marcin okrył biedaka. Scena ta jest tematem obrazów autorstwa kilku sławnych artystów, między innymi Goyi. Opieka paliatywna to pomaganie ludziom najbardziej potrzebującym, znajdującym się w sytuacji beznadziejnej. Istnieje też wyspecjalizowana forma arteterapii – **arteterapia paliatywna**. ukierunkowana na pomoc umierającym i pacjentom w stanie terminalnym, przebywającym w hospicjach lub we własnym domu, pod opieką rodziny i/lub wolontariuszy, ale nie tylko, bo jest arteterapia przeznaczona dla osób cierpiących z powodu śmierci osób najbliższych. Ta forma arteterapii polega na umożliwieniu wyrażenia bólu w formie artystycznej, najczęściej plastycznej ale również literackiej. Są osoby, zwłaszcza kobiety, które piszą pamiętniki i w nich zamieszczają najszybsze myśli i uczucia, z którymi nie chcą, nie mogą lub nie potrafią podzielić się z innymi. Zachęcanie do pisania pamiętników i opisywania swoich uczuć też może być formą arteterapii⁵⁶.

Kiedyś dobre wychowanie wymagało powściągliwości w demonstrowaniu uczuć, nie pozwalało opowiadać o swoim cierpieniu; skarżyć się, żalić się po prostu "nie wypadało". Psychologia jednak dowiodła, że umożliwienie wyrażenia swego bólu i cierpienia, także w formie artystycznej, przynosi ulgę, i na tej zasadzie działa też *arteterapia paliatywna*.

Arteterapia stara się pomóc ludziom we wszystkich trudnych, nawet dramatycznych sytuacjach życiowych; była już mowa o muzykoterapii ofiar wojen, znane są konsolacyjne programy muzykoterapeutyczne ale mniej znana jest *Arteteka* czyli zbiór obrazów zgromadzonych na wzór książek w bibliotece szpitalnej. Przykładem jest *Arteteka* znajdująca się w szpitalu w Oslo, z której pacjenci leżący w łóżkach mogą sobie wypożyczać do pokoju obrazy, które im się podobają.⁵⁷

Wszystko to są to całkiem nowe formy pomocy, wcześniej nieznane.

56 Jedną moją studentką z kierunku "Edukacja wczesnoszkolna i arteterapia" na własną prośbę napisała pracę promocyjną pt. "Tren na śmierć mojego dziecka" Trudno mi było oceniać taką pracę, ale uznałam że w takim wypadku ważniejszy jest cel terapeutyczny niż poprawność metodologiczna.

57 Informację o tej Artecie otrzymałam od p. mgr Anny Borowskiej, pielęgniarki pracującej w Oslo, mojej doktorantki, a wcześniej absolwentki Akademii Medycznej w Poznaniu, autorki jednej z pierwszych prac magisterskich (1988) poświęconych arteterapii, prowadzonych przeze mnie na tamtejszym Wydziale Pielęgniarskim.

Dwa rodzinne kręgi: śniatyński i lwowski.

W dzieciństwie byłam bardzo związana emocjonalnie nie tylko z rodzicami ale właściwie ze wszystkimi członkami dalszej, choć nielicznej rodziny, rozproszonymi po całej Polsce. Oni też się mną bardzo interesowali, dając temu dowód między innymi w kartkach z życzeniami świątecznymi i imieninowymi o treści dostosowanej do wieku dwu-, cztero-, pięcio- i tak dalej -letniego dziecka. Pierwsze życzenia świąteczne, na okolicznościowej pocztówce, zaadresowane do mnie, do Monastyrka, przysły od cioci Janki, siostry ojca, gdy miałam zaledwie dwa i pół roku! Później od czasu do czasu jeździłam z wizytami do kuzynów rodziców mieszkających w Warszawie, Krakowie, Gliwicach, ale najczęściej jeździłam na Lubelszczyznę i spotykałam się z jedyną babcią, jaką miałam, mamą ojca, Stefanią, z domu Szczerbanowską, dwoma mieszkającymi z nią ciociami, wujkiem, i kuzynami: Maćkiem, Józikiem i najmłodszą Małgosią. Słabo pamiętam mojego dziadka Kazimierza Szulca (to imię u nas jest rodzinne), bo zmarł gdy miałam 6 lat. Leży pochowany na cmentarzu w Turobinie.

Lato na Lubelszczyźnie. Upał. Spaceruje ścieżkami wśród falujących zbóż albo turobińskich mokradeł (zmeliorowano je bodajże w latach 60.XX w.) Wyprawy furmankami do lasu – raz spotkałam na polanie maciorę dziką z warchlakami – były śliczne, pasiaste, chciałam z nimi pobawić się, ale w porę ktoś mnie stamtąd odciągnął. Wieczory przy lampie naftowej, wspólne śpiewy przy akompaniamencie mandoliny, fortepianu lub akordeonu, na których grał wujek. Wizyty i rewizyty sąsiadów – sędziego, aptekarza, dyrektora szkoły, lekarza z rodzinami. I Święta Wielkanocne. Stoły uginające się pod półmiskami pełnymi wędlin, bab, tortów, jednakże najbardziej charakterystyczne były *paski*, paska to jest coś pośredniego między bułką a wielkanocną babą, z dekoracją z pasków ciasta ułożonych w kratkę, o smaku słodko-kwaskowatym, jadło się ją z szynką, wędzoną domowym sposobem, pachnącą..Wszystko to święcił zaproszony do domu ksiądz.

O moim bracie ciotecznym Józiku, od dawna poważnym panu Władysławie, emerytowanym wojskowym (zjawiskiem powszechnym w mojej rodzinie jest używanie drugiego a nawet trzeciego imienia, jak w wypadku kuzyna Maćka, zamiast pierwszego), mieszkającym od lat ze swoją rodziną we Włodawie nadal myślę z czułością jak wtedy gdy były jego chrzciny w pięknym barokowym kościele w Turobinie, a jego matka chrestna, żona lekarza z Wysokiego, przywiozła w prezencie tort, taki szczególnie, nieduży ale wysoki i posmarowała czymś – wydawało mi się, że masłem –

czarne włoski chrzczonemu niemowlakowi, by nie sterczały. Jego starszy brat Maciek był bardzo zdolny, od dziecka grał na akordeonie, potem fortepianie, skończył konserwatorium i studia z weterynarii, rozpoczął pracę naukową w Instytucie Weterynaryjnym w Puławach ale w przededniu wyjazdu na zagraniczne stypendium naukowe, w wieku 33 lat zmarł po operacji w warszawskim szpitalu. Osierocił trzyletnią Izabelkę. Najdzielniejsza jest Małgosia. Wyszła za mąż mając 17 lat. Studiowała po kolei trzy kierunki nauczycielskie, wychowując trójkę dzieci. Bardzo dba o zachowanie tradycji rodzinnych, wszystko dokumentuje i fotografuje, więc ja nie będę już opisywać nowszej historii tej części rodziny, wywodzącej się ze Śniatyna.

Wspomnieć jednak muszę o cioci Jance, drugiej, młodszej siostrze mego ojca, mieszkającej od urodzenia w Śniatynie najpierw z rodzicami czyli moimi dziadkami, a później na Lubelszczyźnie z siostrą Ziutą i jej rodziną. Janka w wieku 15 lat zachorowała na dziecięcy paraliż (nie znano jeszcze wtedy nazwy choroba Heinego–Medina), potem długo leżała w śpiączce i w efekcie została ciężko sparaliżowana, paraliż dotknął prawej połowy ciała. Mówiła i poruszała się z największym trudem, prawą rękę miała zgietą w łokciu i dłoń zaciśniętą, z największym trudem wymawiała słowa, a mimo to posługując się tylko tą sparaliżowaną ręką pisała – pisała wiersze, pisała listy. Pisała też do mnie pamiętając o wszystkich imieninach i świątach. Pierwszą kartkę z życzeniami zaadresowaną moim imieniem i nazwiskiem wysłała 30.12.1943. Na stemplu pocztowym jest nazwa miejsca nadania: Śniatyn-Ost Galizien, stąd wiem, gdzie wówczas przebywałam – w Monasterku. Nikt tak jak ona nie okazywał zainteresowania tym, co się u mnie dzieje, gdzie byłam, co widziałam. Interesowała się światem, czytała książki, gazety. Lubiła dzieci i dzieci też ją lubiły, i te z rodziny i te z sąsiedztwa, choć początkowo podchodziły do niej z rezerwą, z uwagi na jej wygląd. Była bardzo religijna, należała do Sodalicji Mariańskiej. Nigdy nie narzekała na swój los. A po śmierci zdarzył się cud, chyba mogę tak powiedzieć, bo gdy leżała w trumnie jej sparaliżowane mięśnie wyprostowały się i okazało się, że złożone dłonie mają długie, smukłe palce, a spokojna twarz jest po prostu piękna.

W losie cioci Janki, jej tęsknocie za wielkim światem, relacjach z ludźmi i stosunkiem ludzi do niej było coś, co trochę przypominało historię Anielki, bohaterki opowiadania Elżbiety Szadury *Dawno temu Anielka*, na jakie trafiłam przypadkiem w "Wysokich Obcasach" z 2003 r. Opowiadanie to wykorzystuję w ćwiczeniach z biblioterapii, by sprowokować do dyskusji nad stosunkiem ludzi "zdrowych" do niepełnosprawnych.

Kontynuowanie historii rodziny lwowskiej jest trudniejsze, bo nie ma już nikogo z kim mogłabym skonfrontować swoje wspomnienia. Do tej gałęzi rodziny należał m.in. kuzyn mamy, Bogusław Stworzyński, znany w okresie powojennym jako poeta Mikołaj Bieszczadowski, (przyjął nazwisko panieńskie swojej matki). Związany był z katolickim wydawnictwem "Pax" i gazetą "Słowo Powszechne", w której ukazywały się recenzje jego wierszy i książek. Mam tom tłumaczonych przez niego wierszy poetów chrześcijańskich z Europy Zachodniej, wydany pod jego redakcją, zawierający też jego wiersze *Smak winnic Twoich*. Ten poetycki zwrot zawsze przypomina mi się, gdy spaceruję w różnych porach roku wśród winnic otaczających austriackie, podwiedeńskie Gumpoldskirchen, słynne z licznych winiarni, gdzie górujący nad miasteczkiem neogotycki kościół pod wezwaniem św. Michała otoczony jest przyklasztornymi winnicami. Boguś, bo tak go nazywaliśmy, przebywał po wojnie we Francji i pisał do mnie listy, całkiem serio, o obrazach z paryskich muzeów, choć miałam tylko siedem, osiem lat. Jakiś czas mieszkał w Krakowie ze swoją matką, jej siostrą i bratem Igusiem; oni wszyscy też pisywali do mnie, a Iguś podarował mi z okolicznościową dedykacją Baśnie Andersena, kiedy miałam 6 lat i przyjechałam z rodzicami w odwiedziny do Krakowa. Wizyty w ich niewielkim, niezwykle schludnym mieszkaniu, pełnym różnych ciekawych rzeczy to kolejne radosne wspomnienie dzieciństwa. Jako pamiątkę po wizytach u tych wujostwa mam też wykonane przez kuzyna Adasia akwarele przedstawiające Wawel. Prezentem szczególnym i cennym, jaki otrzymałam od nich z okazji Pierwszej Komunii Św. był "panieński" pierścionek, bardzo pod względem pracy jubilerskiej skomplikowany, oczko turkusowe na rozetce otoczone wianuszkami z maleńkich perełek, niestety, pierścionek uległ zniszczeniu, gdy dałam go do naprawy nie dość biegłemu rzemieślnikowi.

Szczególne miejsce w moich rodzinnych wspomnieniach zajmuje Łucja, druga żona mego ojca. Trudno mi o niej pisać, bo właściwie dopiero po jej śmierci uświadomiłam sobie, ile jej zawdzięczam, ile trudu i wysiłku wkładała w to, by po śmierci mojej mamy nadal podtrzymywać rodzinne tradycje. Razem z ojcem porządkowała materiały archiwalne dotyczące miejsc, z których wywodziły się nasze rodziny, ze szczególnym uwzględnieniem Śniatyna. Pracowała w Cechu Ślusarzy przy ul. Świętosławskiej. Wymieniam nazwę ulicy, bo tak się przypadkiem złożyło, że przy Świętosławskiej, między Starym Rynkiem a Farą miał też swoją pierwszą siedzibę Wydział Pielęgniarski Akademii Medycznej, a na poddaszu znajdował się mój pierwszy Gabinet Kulturoterapii, z widokiem na Koziołki na wieży ratuszowej. Drugi, późniejszy

gabinet, w którym prowadziłam ze studentami zajęcia z "Kulturoterapii" i dla celów dydaktyczno – naukowych pracowałam nad metodą arteterapii dzieci dyslektycznych, mieścił się w baraku przy ul. Grunwaldzkiej ⁵⁸.

Łucja, podobnie jak moja mama Kazika, umiała dobrze szyć, haftować i robić na drutach (nie opanowałam niestety żadnej z tych umiejętności), czego dowodem były okolicznościowe prezenty, jakimi mnie obdarowywała; miała ładny głos i lubiła śpiewać - przy okazji spotkań świątecznych akompaniowałam jej na pianinie, znała biegle niemiecki, więc przy moich rozległych kontaktach zagranicznych "podrzucalam" jej nie tylko niemieckie teksty do tłumaczenia, ale i gości niemieckojęzycznych. Razem z moim ojcem uprawiała ogródek działkowy, a posadzone przez nich drzewa rzucają cień, w którym nadal lubię siedzieć, odczuwając zalety **hortikuloterapii** (terapii ogrodowej). Łucja pisała też wiersze – "dla siebie", jak mówiła, ale niektóre, o wątkach patriotycznych czasem głośno nam czytała. Doceniał ją mój syn, dla którego była jedyną babcią jaką znał i robił dla niej zabawne laurki.

58 Szulc W., Twardowski A.: Arteterapia jako metoda pracy z dzieckiem dyslektycznym. XIII Ogólnopolskie Sympozjum Medycyny Psychosomatycznej "Ku lepszemu Funkcjonowaniu w Zdrowiu i Chorobie" i V Bałtyckie Sympozjum Balintowskie, Kołobrzeg, 5-17 maja 1997. Kiedy Gabinet zlikwidowano w roku 2001, studenci napisali w jego obronie petycję, opisując jego wyposażenie i atmosferę sprzyjającą zapoznawaniu się z metodami terapii przez sztukę.

Spośród wielu różnych funkcji **arteterapii** wyróżniam – jak można zauważyć – szczególnie jedną, mniej znaną, funkcję **konsolacyjną** czyli pocieszającą ale by pocieszać innych trzeba być empatycznym i mieć predyspozycje do odpowiedniego zachowania się wobec ludzi smutnych, zatroskanych. Bagatelizowanie czyjegoś zmartwienia nie jest postawą najwłaściwszą, choć nam powody czyjegoś smutku, zwłaszcza smutku dziecka, wydawać się mogą błahe, tak jak - być może - opisane niżej powody moich dziecięcych lęków i smutków.

Nie płacz, Wituszko.

Jest kilka wydarzeń z najwcześniejszego dzieciństwa, które pamiętam z niezwykłą wprost wyrazistością. Mam je przed oczyma, tak jakbym oglądała fotografie lub nakręcony przez kogoś film. Wśród fotografii z rodzinnego albumu przedstawiających mamę i mnie w ogrodzie dziadków w Śniatynie jest zdjęcie przedstawiające następującą scenę: w ogrodzie na leżaku, wśród narcyzów, siedzi młoda kobieta i tuli w ramionach zapłakaną dziewczynkę z kokardą we włosach. Dziewczynka, jak głosi opowieść rodzinna, przybiegła ze skargą: *mamo, kura się na mnie patrzy!* Zabawne to i pozornie nic nie znaczące, ale – zastanawiając się nad tym epizodem z najwcześniejszego dzieciństwa uświadomiłam sobie, że jako osoba dorosła też często analogicznie się zachowywałam, zamartwiałam drobiazgami, nad którymi inni przechodzili do porządku dziennego, martwiłam się, że ktoś niechętnie na mnie spojrzeł i natychmiast wycofywałam się. Taka cecha bardzo utrudnia życie, ale przynajmniej tak mi się wydaje, że zarazem wyostreza spojrzenie i pozwala dostrzec symptomy smutku i cierpienia u ludzi, którzy się nie skarżą i nie okazują bólu, ale cierpią i potrzebują pocieszenia.

Drugi, poważniejszy incydent, który wywołał mój płacz i który naprawdę pamiętam a nie tylko znam z relacji świadków, to widok małych prosiaczków uciekających z kwikiem z gabinetu weterynaryjnego i krwi rozprysniętej na białych ścianach korytarza. Gabinet mieścił się w domu dziadków w Śniatynie. Przyczyną zdarzenia był mój wujek, który szczepiąc świnki jedną lekko zranił, powodując jej krwawienie i panikę wśród pozostałych. Zdarzenie to zapisało się w mej pamięci wraz z melodią śpiewanej po rosyjsku piosenki *Wychadila na bierieg Katiusza*. Skojarzenie właściwe, bo działo się to wiosną 1945 roku, kiedy piosenkę o Kasi, która wychodziła na brzeg rzeki śpiewać piosenkę o kwitnących jabłoniach i gruszach, śpiewały wojska radzieckie podążające w pogoni za Niemcami przez tereny Polski wschodniej. Melodia należała do tych "łatwo wpadających w ucho", więc piosenka szybko stała się popularna.

Lęki, smutki i radości dzieciństwa.

Ekspatriacja. Niespokojny czas po wojnie.

Prawdziwie dramatyczna scena – w moim odczuciu dziecka – rozegrała się nieco później na stacji kolejowej w Śniatynie: tłum ludzi nawołujących się i biegnących w różne strony, deszcz, błoto i ja zagubiona w tym tłumie. Ludzie mnie poszturchują, nikt nie zwraca na mnie uwagi. *Mamo!* krzyk rozpaczy i nagle ją widzę, biegnę i już jestem bezpieczna w jej ramionach. Wsiadamy do wagonu - węglarki, deszcz rozmazuje sadze na pierzynach. Transport repatriacyjny ze Śniatyna jedzie w głąb Polski. Już się nie boję. Siedzę na piernatach wtulona między mamę i babcię, a jest jeszcze dziadzio, wujek, dwie ciotce i mały kuzyn Maciek. Dobrze mi z nimi. Spokojna zasypiam.

Dość dokładny czas tej ekspatriacji (niesłusznie nazywanej repatriacją, bo nie był to powrót do ojczyzny ale przymusowy wyjazd z rodzinnych od pokoleń miejscowości na terenach historycznie polskich) dokumentuje kartka pocztowa napisana przez mamę do mojego ojca a zaadresowana na numer poczty polowej 84312 o treści: *Śniatyn 20.VIII.1945. Kochany – dzisiaj otrzymałam kartę ewakuacyjną wyjazd ma nastąpić w dniach najbliższych. Pakujemy się od tygodnia. Teraz jedzie cała inteligencja śniatyńska. W każdym domu pakowanie. Z granicy zatelegrafujemy. Do widzenia.*

Ka

Chciałabym zwrócić uwagę na słowo *pakujemy się*. Ekspatrianci mieli możliwość zabrania ze sobą określonej, limitowanej ilości rzeczy, słyszałam, że nie wolno było zabierać mebli, dlatego wyposażenie naszego mieszkania jeszcze kilka lat po wojnie stanowiły jedynie dwie skrzynie, rozkładane żelazne łóżko (było moje), solidna metalowa siatka wyjęta z tapczanu, kiedy dorobiło się do niej zbitą z desek ramę służyła rodzicom jako prowizoryczny tapczan, stół, kilka krzeseł i taboret z jednostki woskowej tak solidny, że mam go do dzisiaj. Zachował się też pakowany wówczas niekompletny ale i tak liczący ponad dwadzieścia sztuk serwis ze znakiem firmowym umieszczonym tylko na niektórych naczyniach: "Kazimierz Lewicki Lwów" i numerem 3595 na naczyniu, w którym podawało się ćwikłę. Nigdy nie zastanawiałam się, czy jest cenny, po prostu wydawał mi się, bo też jest, bardzo piękny, w duchu secesji, z motywem fiołków i złoconiami na obrzeżach. Miło na niego popatrzeć, gdy zdobi serwantkę i postawić na stół wigilijny.

W Lublinie mamę i mnie odbiera tata, reszta rodziny jedzie do Turobina Zawozi nas na kwaterę należącą do Oficerskiej Szkoły Intendentury; adres domu w Lublinie, w którym mieszkaliśmy – *Narutowicza 52* – widoczny jest na kartce z życzenia-

mi świątecznymi dla rodziców i mnie, z datą 13. kwietnia 1946. Zapamiętałam pokój – duży, zimny salon, pod oknem fortepian, na fortepianie bochenki chleba, ciemne, podłużne, płaskie, rąbkowane, o zaokrąglonych brzegach: to tygodniowy "fasunek" czyli przydział otrzymywany z jednostki wojskowej. Jestem ubrana w wyleniały kożuszek i wełnianą czapeczkę czerwoną w białe kropki, nadgryzioną przez mole. Skulona ze strachu siedzę pod fortepianem i słyszę, jak mama patrząc w moją stronę mówi do sąsiadki, z którą rozmawia przy stole: "ona tak zawsze, gdy słyszy samolot". Samolotu nie pamiętam.

Pamiętam za to jak się bałam, gdy jechaliśmy pociągiem, chyba z Lublina do Zgierza, dokąd przeprowadzała się później jednostka wojskowa, też wagonem towarowym: drzwi wagonu z obu stron otwarte, a w nich karabiny maszynowe zwrócone w dwie przeciwne strony, gotowe do strzału na wypadek, jak się obawiano, ataku "band". Ten sam strach przed bandami towarzyszył podróży rozklekotaną ciężarówką, po wyboistej polnej drodze z Lublina przez Piaski do Turobina. W ciemnościach samochodu nagle podskoczył i siedząca w sfoerce mama, ja siedziałam na jej kolanach, zraniła się w głowę. Z płaczem patrzyłam na strużkę krwi ciekącą po jej szyi. Znowu ta krew. Powód do strachu wtedy naprawdę był, tyle że współczesna historiografia i polityka, odnosząc się do wydarzeń z lat 1946/47 inaczej je interpretuje i w konsekwencji posługuje się innym nazewnictwem na określenie zbrojnego Podziemia, ja zaś opisuję autentyczną, incydentalną sytuację z roku 1946 i towarzyszące jej wówczas emocje.

Otrocki "Olin" i inne sanatoria.

Co jeszcze w dzieciństwie napawało mnie lękiem i smutkiem? Samotność, rozłąka z rodzicami. Przeżywałam ją bardzo dotkliwie podczas pobytów w sanatoriach. Najbardziej samotna czułam się przebywając trzy miesiące w Otrocku, na przełomie 1946 i 1947 roku, w szwedzkim sanatorium "Olin", bo pielęgniarki, Szwedki nie znały polskiego. Obchody dnia świętej Łucji⁵⁹ (13 grudnia), ważne święto w Szwecji, celebrowane w tamtejszy sposób wcale mi się nie podobały: korowód postaci w białych szatach z koronami ze świeczek na głowach podobny był do duchów, którymi straszły mnie starsze dzieci. Sanatorium "Olin" to był dar od rządu szwedzkiego dla polskich dzieci zagrożonych gruźlicą.⁶⁰ Tylko raz odwiedziła mnie tam mama, bo aby to zrobić

59 Całe szczęście, że dzieciom się nie mówi, czego symbolem są świece na głowie św. Łucji!, bo jej męczeństwo było wyjątkowo okrutne

60 Historia Sanatorium Olin sięga roku 1926 a jego nazwa pochodzi od imienia Aleksandry Piłsud-

musiała przejść pieszo całą zrujnowaną Warszawę, pozbawioną regularnej komunikacji miejskiej, co było i bardzo męczące i przygnębiające, a mama była wówczas w ciąży z Markiem. Rodzice wysyłali więc do mnie kartki z zabawnymi obrazkami i ważnymi dla mnie informacjami np. o tym, żebym się nie martwiła, bo pamiętają o moich wróbelkach i sypią im okruszki na parapet okna. Smutna i samotna w Otwocku podczas Świąt Bożego Narodzenia 1946 roku wpatrywałam się w kartkę z życzeniami od rodziców. Obrazek na odwrocie przedstawiał aniołka stojącego na balkonie i zagląającego przez okno do oświetlonego pokoju. Na ośnieżonym parapecie okna stał mały pluszowy miś, zupełnie taki jak mój, z noskiem przyklejonym do szyby. Aniołek trzymał w jednej ręce choineczkę, a w drugiej konika na biegunach. Z tyłu za aniołkiem stał koszyk pełen smakołyków i zabawek. Dwa pajacyki zaciekawione wyszły z koszyka i usiadły na balustradzie też zagląając do okna. Obracałam w ręku tę karteczkę na wszystkie strony i całowałam w miejscach zaznaczonych kółeczkami poinformowana przez kogoś, kto mi kartkę doręczył, że to są pocałunki od mamy i taty, bo jeszcze nie umiałam czytać.

A gdy się nauczyłam, co wkrótce nastąpiło, mogłam przeczytać taki opis Warszawy zamieszczony jako ostatnia czytanka w moim *Elementarzu* Mariana Falskiego, z roku 1947:

Powrót Tadzia

Tadzio pamięta dawną Warszawę. Tadzio urodził się i zawsze mieszkał w Warszawie. Kiedy w Warszawie wybuchło powstanie, Tadzio z rodzicami był na wsi pod Warszawą. Dopiero po wyzwoleniu Warszawy ruszyli z powrotem. Z daleka zdawało się Tadziovi, że nic się nie zmieniło, że domy stoją jak dawniej i że to nieprawda, co ludzie mówili, że cała Warszawa spalona. Ale jak podjechali bliżej, Tadzio zobaczył, że stoją tylko ściany domów, bez dachów, bez okien, bez drzwi. Wewnątrz domów nie ma nic. Wszystko wypalone. Gdzieś tam były jeszcze barykady na ulicach, zrobione z cegieł, z kamieni, z worków z piaskiem, z przewróconych tramwajów. – Tu się bronili powstańcy – powiedział tato. Całe ulice zasypane były gruzami. Ani przejść ani przejechać. Taka była teraz Warszawa... Było głodno i chłodno. Nie było wody w wodociągach. Trzeba było nosić wodę wiadrami z daleka, ze studni. Nie było światła elektrycznego, a o świece i naftę też było trudno. Trzeba było siedzieć wieczorami po ciemku. Nie było tramwajów na mieście. Trzeba było chodzić pieszo po gruzach i błocie. Nie było szkół dla dzieci. Nie było

skiej, żony Marszałka, która przyczyniła się do jego powstania. Nowe budynki wybudowali po wojnie żołnierze szwedzcy, por. www.forgotten.pl Opuszczone Miejsca/Sanatorium Olin.

szpitali dla chorych. Ale chociaż było tak ciężko, coraz więcej ludzi przybywało. Bo ze wszystkich stron, z bliska i z daleka wracali do Warszawy ludzie wygnani.

Wkrótce pojawiły się naklejki, także na szkolnych zeszytach: Cały naród buduje swoją Stolicę. I budował, nawet kosztem innych miast, np. Wrocławia, skąd pociągami wywożono cegły ze zburzonych domów do Warszawy. Każdy odbudowany fragment stolicy, otwarcie każdej nowej trasy komunikacyjnej, np. W-Z było świętem obchodzonym w całym kraju, o czym mówiło się nawet w szkole. Szkoła Podstawowa Nr 33 przy ulicy Jarochońskiego w Poznaniu nie miała – podobnie jak wiele innych – auli przeznaczonej na uroczystości szkolne, akademie okolicznościowe odbywały się więc na korytarzu, na parterze, a funkcję estrady pełniły schody. Na tych schodach recytowałam raz taki oto wiersz o Warszawie, autora nie pamiętam:

Królu Zygmuncie, jak się macie

Co widać z waszej kolumny?

Widzę życie na Mariensztacie i jestem dumny

Itđ.

Tak samo jak w Otwocku tęskniłam za rodzicami w Łagiewnikach, choć były blisko Łodzi, w której mieszkaliśmy po przeprowadzce z Lublina, ale reżim w tym prewentorium był istic więzienny. Cytuję z regulaminu: *Odwiedzanie dzieci odbywa się wyłącznie w niedziele, za wyjątkiem pierwszej niedzieli po przybyciu dziecka do zakładu oraz w drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia, Wielkiej Nocy i Zielonych Świątek w godzinach od 10-ej do 12-ej. Godziny odwiedzin będą surowo przestrzegane. Widzenie odbywa się wyłącznie w świetlicy lub w ogrodzie. Do dzieci leżących wolno wejść po otrzymaniu pisemnego zezwolenia lekarza dyżurnego (nie wolno siadać na łóżku)* (Podkreślenia z oryginału. W.S.) Mimo że otrzymanie skierowania do sanatorium kosztowało mego ojca wiele trudu – musiał każdorazowo pisać prośbę czyli raport wojskowy do Szefa Departamentu Zdrowia MON (ministerstwa Obrony Narodowej), opisując mój stan zdrowia, o czym oczywiście nie wiedziałam, przy najbliższej wizycie ubłagałam rodziców, zalewając się łzami, by mnie stamtąd zabrali.

W 1950 roku w Rabce już tak źle nie było, polubiłam bardzo tamtejsze pielęgniarki i nauczycielki ze szkoły sanatoryjnej, czego namacalnym dowodem są wpisy w moim pamiętniku, który otwierają słowa pani dyrektorki Szkoły. Pozwalam sobie je zacytować, bo końcowe zdane brzmi trochę jak zapowiedź tego, czym bym miała

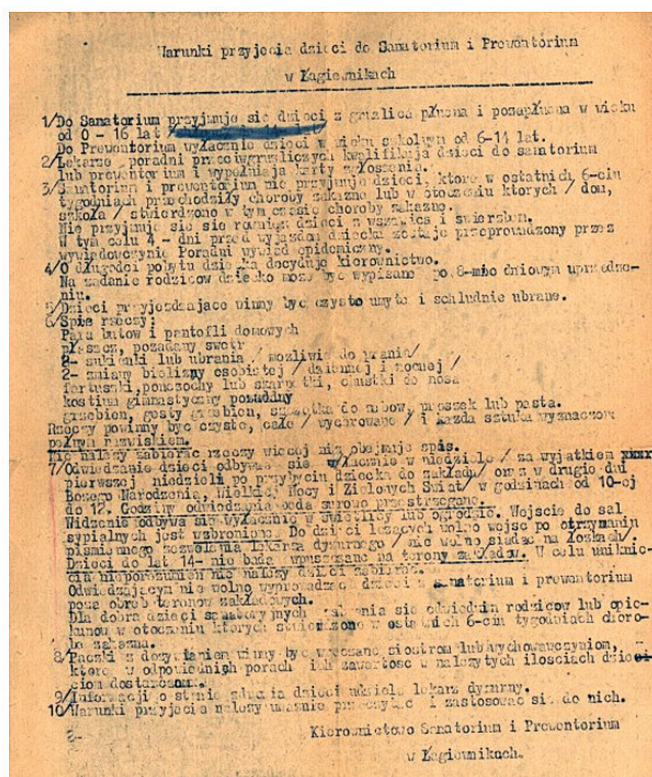
zajmować się w przyszłości, czyli terapią:

*Miej serce Polki, duszę Anioła
Hartuj swą wolę wśród życia burz.
Przed nieszczęściami nie ugnij czoła
Bądź opiekunką złamanych dusz*

*Na pamiątkę bardzo kochanej,
wyjątkowo grzecznej i milej dziewczynce
Kierowniczka sanat. Nr 5 "Granit" 2. X. 1950*

Z. Popławska:

W rabczańskim Sanatorium "Granit" musiałam przebywać dłużej niż planowano, bo wybuchła właśnie epidemia choroby Heine-Medina i była kwarantanna. Wiązało się to z zakazem odwiedzin, ale dzięki serdeczności okazywanej dzieciom przez personel tego sanatorium, po powrocie do domu – paradoksalnie – tęskniłam za nim! A czym się w sanatoriach pocieszałam? Oglądaniem widokówek i listów od rodziców, a gdy byłam starsza - czytaniem książek.



W Otwocku, dla jego klimatu, sprzyjającego leczeniu chorób płuc, bywałam jeszcze kilkakrotnie, ale już z rodzicami i czułam się wtedy – sądząc po uśmiechniętych twarzach uwiecznionych na fotografiach – bardzo dobrze.

Arteterapia na miarę każdego dziecka: Szkoła Sanatoryjna w Kiekrzu.

Wspomnienia z moich pobytów sanatoryjnych ożyły podczas uroczystości z okazji 80-lecia istnienia Szkoły w Sanatorium dla Dzieci w Poznaniu-Kiekrzu, zorganizowanych 11. XII. 2012 r. To sanatorium ma podobną historię do znanego mi i opisanego wyżej przedwojennego sanatorium Olin: też powstało po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, w II Rzeczypospolitej, z myślą o dzieciach biednych, zaniedbanych, chorych na płuca. W tej Szkole, noszącej obecnie numer 109, kierowanej przez p. dyrektor Hannę Smoczek od wielu lat prowadzone są wzorcowe wręcz zajęcia z różnych dziedzin arteterapii. Prowadzi je zgrany zespół w składzie: Ireneusz Lesicki i Dorota Lesicka oraz Małgorzata Głowacka – muzykoterapeuci i Ewa Lisowska – artysta plastyk. Cała czwórka posiada Certyfikaty Arteterapeuty nadane przez Stowarzyszenie Arteterapeutów Polskich „Kajros”. Arteterapeuci współpracują z nauczycielami a także z lekarzami, co widać w organizowanych co roku Jasełkach – teksty tych przedstawień, pisane przez utalentowanych członków zespołu pedagogiczno – leczniczego (scenariusz przedstawienia w roku 2012 napisała sama pani Dyrektor Szkoły!) co roku są inne, bo dostosowane do możliwości dzieci aktualnie przebywających w sanatorium. Celem tych przedstawień nie jest tylko jakość artystyczna występu – choć jest ona więcej niż bez zarzutu – ale poczucie sprawstwa i sukcesu małych aktorów: dziewczynka z trudem poruszająca się otrzymuje rolę, w której jej chód jest tą rolą uzasadniony a chłopiec siedzący na inwalidzkim wózku czuje się jak król, z koroną na głowie, bo wózek ustawiony na środku sceny, przykryty królewskim płaszczem, wskazuje na ważną rolę chłopca. Dowodem na to, że mali pacjenci dobrze wspominali pobyt w Kiekrzu są nadsyłane kartki z życzeniami a także, co się zdarza, późniejsza współpraca przy organizowaniu imprez sanatoryjnych. Sukcesem terapeutycznym – pedagogicznym pani Ewy Lisowskiej jest na przykład pani mgr Małgosia F., kilkakrotna pacjentka sanatorium, która skończyła później Akademię Sztuk Pięknych i obecnie pomaga w pracy pani Ewie a także prezentuje swoje prace na wystawach organizowanych w sanatorium.

Radosne chwile dzieciństwa.

Dokonując bilansu wydarzeń smutnych i radosnych muszę przyznać, że wbrew okolicznościom i trudnym warunkom, w jakich upływało mi dzieciństwo, zapamiętałam zdecydowanie więcej wydarzeń radosnych, niż smutnych i chętnie wracam do nich myślami.

Z cukru był król, z piernika paż, królewna z marcepana.

Pierwsza zapamiętana scena z mego życia ma bardzo sielski charakter, zupełnie nie korespondujący z tym, co się działo wtedy w okolicy (zima 1943 roku na Wołyniu). Siedzę w zdezelowanym ceratowym wózku, pozbawionym opon, tata usypia mnie poruszając wózkiem tam i z powrotem, tam i z powrotem. Wychylając się w bok przyglądam się z zainteresowaniem koleinom, jakie żłobią koła w klepisku podłogi; w pomieszczeniu panuje mrok, jest ciepło, pod kuchenną płytą buzuje ogień, sypią się iskry. Zасыpiając słyszę kołysankę

*Na Wojtusia z popielnika
iskiereczka mruga
Chodź, opowiem ci bajeczkę
Bajka będzie długa
Był sobie król
Był sobie paż
i była też królewna
Króla zjadł pies
Pazia zjadł kot
Królewnę myszka zjadła
Ażeby ci, nie było żal
Dziecino ma kochana
Z cukru był król
Z piernika paż
Królewna z marcepana...*

Jak to dobrze, że nic strasznego się nie stało! Wzdycham z ulgą.

Musiałam z pewnością słyszeć potem tę kołysankę wiele razy, bo skąd bym знаła słowa?

Witaj w domu!

Wspomnienie izolacji i tęsknoty za rodzicami w otwocim sanatorium "Olin" zatarł moment powitania mnie w Łodzi po powrocie stamtąd: rozradowana twarz mamy, jej rozpostarte ramiona na mój widok i uścisk, w którym zawarła całą swoją miłość, bez słów. A obok, na podłodze wspaniała prezent: kącik lalek, a w nim łóżeczko metalowe, z ozdobnym wezgłowiem – miniatura łóżek, które i obecnie są nadal modne, z pościelą, na łóżeczku lalka, "krakowianka", czarny serdaczek wyszywany cekinami, czerwona spódnica, na szyi koraliki. Lalka była uszyta ręcznie przez mamę, miała korpus wypchany trocinami, tylko główkę celuloidową i trochę niewłaściwe proporcje długości tułowia do głowy, ale przecież Barbie też ma nieproporcjonalnie długie nogi i nienaturalnie szczupłą talię. Przy łóżeczku, oparty o ścianę stał podłużny obrazek naklejony na dykcie: Disneyowska królewna Śnieżka i siedmiu krasnoludków ochotczo maszerujących z zawołaniem: *Hej ho, hej ho, do pracy by się szło!* Obok miś, w kolorze beżowo-różowym, nie szkodzi, że trochę sfatygowany, bo jeszcze przedwojenny, ale można go ścisnąć do woli.

Niewiele chwil w życiu mogę porównać z tą chwilą nieopisaną radości i szczęścia, jaką przeżyłam wtedy, gdy miałam pięć lat, w momencie powrotu do domu pewnie też dlatego było mi jeszcze bardziej przykro, przykro ze względu na mamę, gdy córka znajomych, dla których moja mama w prezencie też uszyła lalkę, odrzuciła ją, krzywiąc się, że lalka jest brzydka, bo szmaciana.

Mała Lo Ming. Dzieciństwo w kulturze angielskiej i chińskiej.

Zastanawiam się czasem jak swoje dzieciństwo wspominać będzie Lo Ming, inaczej Aleksandra, po ojcu Chinka, po matce Angielka. Poznałam ją, gdy miała niecałe dwa i pół roku, mieszkała chwilowo ze swoimi dziadkami, a moimi znajomymi, na farmie w północnej Anglii ⁶¹. Jej mama, Emma, absolwentka filologii japońskiej na Oxfor-

⁶¹ Państwa Marey poznałam przy okazji konferencji "Nursing Tomorrow" (Pielęgniarstwo Jutra) odbywającej się na Uniwersytecie Durham w roku 1998 i otrzymałam od pani Margaret zgodę na opisanie w moich publikacjach życia na ich farmie.

dzie, gdzie poznała męża, wydelegowanego na studia przez rząd ChRL i wybranego z setek kandydatów, studiującego tam prawo i ekonomię, w swoim rodzinnym angielskim domu w Park House przygotowywała córeczkę do życia w Singapurze. Od pani Emmy dowiedziałam się, że znana w Polsce i stosowana wobec dzieci z porażeniem mózgowym metoda Domana wymyślona była po to, by jak najszybciej nauczyć czytania metodą obrazkową małe, zdrowe dzieci. Tak właśnie uczona była Aleksandra. Jej dzień podporządkowany był zdobywaniu wiedzy. W czasie śniadania nikt dziecka do jedzenia nie zmuszał, ale gdy zaczynała marudzić mama lub babcia mówiły: *no breakfast, no Figaro*, i dziewczynka, łykając łyżę jadła niezbyt apetycznie wyglądające ekologiczne śniadanie. Bo zależało jej na jeździe konnej na kucyku Figaro. Potem lekcja języka chińskiego, z muzyką barokową w tle, najczęściej Bacha. Lo Ming, siedząc na podłodze w towarzystwie dwóch psów wykonywała różne czynności, na przykład chwyciła się raz za nos, raz podnosiła rączkę lewą, raz prawą, zorientowałam się, że według wydawanych po chińsku dyspozycji. Potem, niezależnie od pogody (przeważnie padał deszcz), odpowiednio ubrana dosiadała kucyka i z mamą (oraz w moim towarzystwie) szła na daleki spacer. Babcia (zajmująca się hipoterapią oraz specjalnym rodzajem usług polegających na uczeniu właścicieli koni, jak mają z nimi postępować, uwzględniając ich charakter) przygotowywała koszyk z jedzeniem i *lunch* można było spożyć po drodze, w miejscu przeznaczonym na piknik. Po obiedzie był czas na kontakty towarzyskie. W odwiedzinach przychodziły dzieci, dwoje, troje z pobliskich farm, z których najbliższa położona była w odległości chyba dwóch kilometrów. Potem nauka z książką w języku angielskim, a więc ojczystym, choć w wypadku małej Aleksandry należałoby powiedzieć – macierzystym. I wcale nie były to bajki tylko opis tego, co jest w pobliżu, co i jak funkcjonuje, np. urządzenia elektryczne. Lekcję prowadziła mama dziewczynki ale pomocą służył też dziadek, inżynier, demonstrując odpowiednie urządzenia. Wiemy, że dzieci lubią zadawać pytania w rodzaju, skąd się bierze prąd, ale to było dziecko dwuletnie! Naukę z podręcznikiem czasem zastępowała wycieczka samochodowa do ciekawych miejsc: szkoły, zamku, ogrodu, jakiegoś muzeum, skansenu, w niedzielę na zawody hipiczne dla dzieci, festyn dobroczynny. Na takim festynie pewnego razu, jak się dowiedziałam, dziadek Aleksandry kupił jej małą, szmacianą lalkę za jednego funta i poinformował dziewczynkę, że te pieniądze pomogą biedniejszym dzieciom. I do czasu ”krakowianki”, o której za chwilę, była to jedyna lalka Oli, choć jej rodzina jest bardzo zamożna.

Otóż tej małej dziewczynce nazywanej raz Lo Ming, raz Aleksandrą, a przeze mnie Olą, przywiozłam w prezencie dużą lalkę krakowiankę, prosto z Sukiennic. Na

jej widok Ola oniemiała z zachwytu. Spontanicznie przytuliła lalkę do siebie i wtedy zorientowałam się, że nie jest to jej zwykłe zachowanie. Zauważyłam, że dziadkowie i mama dziewczynki, choć ją bardzo kochają, to swoich uczuć nie demonstrują. Nie ścisną dziecka, nie obcałowują, nie zasypują prezentami ani nadmiarem słów. Ale potrzeba bliskości, kontaktu, dotyku w dziecku istnieje. Tę potrzebę zastąpił Oli bliski kontakt z lalką.

Pewnego wieczoru, kiedy Ola wyjątkowo kaprysiła i nie chciała zasnąć, zapytałam jej babcię, czy mogę posiedzieć przy dziecku (dziewczynka zwykle sama zostawała na noc w swoim pokoju). i wtedy zanuciłam Oli kołysankę o Wojtusiu, na którego z *popielnika iskiereczka mruga*.

Dziewczynka usnęła a na drugi dzień sama zaczęła nucić melodię kołysanki. Postanowiłam więc przetłumaczyć polski tekst kołysanki i opowiedzieć Oli tę *fairy tale* (bajkę). Dziecko starało się zrozumieć i powtarzało słowa za mną, ale już z właściwą oxfordzką *pronunciation* (wymową) *princess, cat, sugar, cake, page* (czyli paż – ”pazia” musiałam szukać w słowniku). Dla mnie była to najpiękniejsza lekcja angielskiego!

Siła wspomnień dobrych i złych.

Urodziny w Nowy Rok.

O tym, czy daną sytuację pamiętamy jako radosną czy też nieprzyjemną, decyduje towarzysząca jej atmosfera i/lub jakiś dominujący silny bodziec. Czytałam, że są ludzie pamiętający moment swego urodzenia. Tak też twierdzi mój syn – że *było bardzo jasno i źle*. Ja natomiast, odnosząc się do tego wydarzenia, mogłabym powiedzieć, że było radośnie, bo właśnie wybiła północ i zaczynał się Nowy Rok. Na tasiemce którą przywiązano do rączki mojego dziecka jest napis: *syn, 1.1.71, godzina 0, 10*.

We wrocławskiej Klinice na Chałubińskiego, zgodnie z panującymi w tamtych latach zwyczajami noworodki odbierano matkom i zostawiano je same w innym pomieszczeniu, tylko przywożąc na karmienie o wyznaczonych porach. Moje dziecko, urodzone w noc sylwestrową, zaraz po urodzeniu leżało kilka godzin w sali porodowej, ale z dala ode mnie, na stole przy ścianie pod silnie świecącą lampą, pewnie głodne, bo pierwsze karmienie było dopiero rano, i zanosilo się płaczem. W sali dla matek, do której mnie przewieziono, stało 19 (dziewiętnaście) łóżek, i gdy przywożono dzieci, hałas był niesamowity. Czy w takich warunkach można było choćby pomyśleć o muzykoterapii noworodków, opisywanej w światowym piśmiennictwie, od USA po Indonezję ⁶²?

62 Na okładce amerykańskiej książki na temat stosowania sztuki w szpitalach jest zdjęcie przedsta-

Przed wypisaniem ze szpitala trzeba jeszcze wypełnić *Książeczkę zdrowia dziecka*. Pani doktor przechodzi od łóżka do łóżka i wpisuje dane do odpowiednich rubryk. W rubryce „nazwisko dziecka” automatycznie wpisuje nazwisko matki. Pacjentka protestuje, prosząc o wpisanie nazwiska ojca dziecka i wyjaśnia, że dziecko to *nasciturus* (uznane przez ojca przed urodzeniem i noszące jego nazwisko) co potwierdza odpowiedni dokument z Urzędu Stanu Cywilnego, na co pani doktor odpowiada: *ojca dla dziecka będzie sobie pani szukać po wyjściu ze szpitala*.

Na akcję *Rodzić po ludzku* „Gazety Wyborczej” trzeba było jeszcze czekać ponad trzydzieści lat, bo „Gazeta” zaczęła ukazywać się dopiero w roku 1989 – roku najważniejszych powojennych wyborów; „Kulturoterapię” do programu studiów medycznych i to tylko w jednej akademii medycznej wprowadzono w roku 1984.

A ja bajki tak lubię ogromnie...

W świat bajek, baśni z różnych krajów, mitów greckich, dzięki opowieściom moich rodziców weszłam bardzo wcześnie i czułam się w nim zdomowiona bardziej niż w świecie realnym. W tym świecie królowały księżniczki i królowny, ale inne od tych kiczowatych, różowo-niebieskich z współczesnych bajek amerykańskich, bo różniły się między sobą nie kolorem sukienki ale tym, że każda z nich zakotwiczona była w innej ciekawej historii, zaczerpniętej ze skarbca kultury światowej. Była więc perska Pari Banu z *Baśni z Tysiąca i jednej Nocy*, była mitologiczna Nauzykaa z homerowej *Odysei*, którą gdy prała bieliznę na plaży, zobaczył Odyseusz i się w niej zakochał.

Po latach rozpoznałam tę scenę, uwiecznioną na obrazie wiszącym w pałacu Achilejon, należącym do cesarzowej austriackiej Sisi, na greckiej wyspie Korfu.

Była Odetta, z *Jeziora łabędziego* i oczarowany nią królewicz Zygryd, których miłość nie znalazła szczęśliwego zakończenia na ziemi; dlatego wołałam *Kopciuszka* ale w wersji *light* czyli bez obcinania pięt albo palców. Do moich ulubienic należała też swojska królowna Kasia, która wołała kartoflane placki, smażone przez kucharza Jasia od pałacowych frykasów i, niewątpliwie z tego powodu, poślubiła Jasia. Kiedy więc jako osoba dorosła zwiedzałam powozownię w wiedeńskim pałacu Schoenbrun, poczułam się, jakbym znalazła się w świecie bajek, bo zgromadzone tam karety, zwłaszcza najparadniejsza złota, którą autentyczna księżniczka bawarska Elisabeth, zwana

wiające lekarza i pielęgniarkę pochylonych nad łóżeczkiem, w którym leży niemowlę ze słuchawkami na uszkach, zob. R.R. Pratt, *Hospital Arts. A Sound Approach*. M.M.B. Music Inc. Saint Luis, MO USA, 1997.

Sisi, z rodu Wittelsbach i jak najbardziej rzeczywisty austriacki cesarz Franciszek Józef I Habsburg jechali do ślubu, wyglądają wypisz wymaluj jak te z bajkowych ilustracji.

Pamiętam, że gdy tak raz wzdychałam, marząc o życiu jak w bajce i przeniesieniu się w *dawne czasy*, w których rzecz jasna byłabym królewną, mama mnie zapytała, *a skąd wiesz, że nie byłabyś niewolnicą lub służącą?*

Przejmowałam się jednak nie tylko miłosnymi dramatami królewien, bo na przykład oglądając obrazki w książeczce *Anioł Stróż*⁶³, cieszyłam się, że tytułowy Anioł podszeptał dziewczynce Zosi, by nabrała jagódek dla chorego chłopca - Wojtusia siedzącego na kocyku przed swoim wiejskim domkiem. Współczułam zmarzniętej „Dziewczynce z Zapałkami”, że nikt nie chciał kupić od niej tych zapałek, i tak samo żal mi było biednego Piotrusia, stojącego w noc wigilijną przed wystawą sklepu z zabawkami i marzącego, by mieć chociaż jedną z nich. Z ulgą więc słuchałam happy endu tej historyjki, zawierającego informację, że zabawki ożyły na tę jedną noc i sprawiły Piotrusiowi ogromną radość, bawiąc się z nim⁶⁴. Dobrze się czułam w towarzystwie Sierotki Marysi i jej Krasnoludków, zwłaszcza Koszałka Opałka, ale lubiłam też krasnoludki towarzyszące Królownie Śnieżce.

Byłam bardzo przywiązana do swoich lalek, tym bardziej, że miałam ich niewiele. Najpiękniejsza i największa miała porcelanową główkę z zamykanymi oczkami i prawdziwymi ciemnymi włosami. Zupełnie inny był mały Golasek, który miał jednak niemowlęce niebieskie ubranko, zrobione szydełkiem przez moją mamę, a Murzynek, pierwszy czarnoskóry i długo jedyny, jakiego widziałam, nosił pstrokatą spódniczkę uszytą ze szmatek. Najmniejsza laleczka, nosząca operowe imię Amneris, zginęła śmiercią tragiczną w Turobinie, przygnieciona czyjaś nieuważną stopą. Zakopałam ją, jak to robią dzieci ze zmarłymi zwierzątkami, na podwórzu kamienicy państwa Polskich.

Doprawdy, nie rozumiem, dlaczego pamiętam ten szczegół. Może dlatego, że dziadkowie i wujostwo mieszkali w Turobinie początkowo w pobliżu tej jedynej, oprócz plebanii i gimnazjum, murowanej kamienicy w miasteczku, nieopodal której pewnej nocy wybuchł wielki pożar. Może dlatego, że w pobliżu w niedzielę, kiedy wracało się z kościoła, otwarta była budka z lodami i oranżadą, taką wściekle żółtą, szumiącą, o niezapomnianym smaku, w szklanych butelkach z charakterystycznym solidnym zamkiem (są takie w Muzeum Socrealizmu w Kozłówce). Kościół w Turo-

⁶³ S. Bańdo-Stopkova, *Anioł Stróż*, Wyd. Stefan Kamiński, Kraków (b.r.).

⁶⁴ J. Korczakowska, *Gwiazdka Piotrusia. Wesołe opowiadania dla małych dzieci*, Poznań, Księgarnia Z. Gustowskiego, 1947, Ilustracje projektował art. malarz Al. Krakowski.

binie położony na wzniesieniu, wśród drzew jest piękny, zabytkowy, w stylu barokowym, ale wówczas jeszcze to akurat mnie nie interesowało.

Lalki razem ze mną słuchały bajek, a potem ja im te bajki opowiadałam, zupełnie jak w wierszyku Ludwika Kondratowicza:

*Niech lalka będzie grzeczna,
nie płacze, nie beczy,
ładnie mi się ukloni i uszko nachyli,
a ja lalce opowiem wiele różnych rzeczy,
jak mnie rodzice mówili.*

Koniec wiary w krasnoludki, ale nie w Świętego Mikołaja.

Pamiętam okoliczności, w których zachwiana została moja wiara w krasnoludki. Po przeprowadzce z Lublina mieszkaliśmy w Łodzi w jakichś barakach, przy ulicy Napierkowskiego, jedną dużą salę zajmowały dwie nie znające się rodziny. Pewnego dnia ja w swoim kącie zaczęłam srebrnymi papierkami zdobić mysia dziurę przekonana, że tam mieszka mój ulubiony Koszałek Opałek i tak też odpowiedziałam sąsiadom na pytanie, co tam robię. A oni zaczęli zwijać się ze śmiechu. Poskarżyłam się mamie, lecz dostałam jakąś wymijającą odpowiedź. Bardzo posmutniałam. Dłużej wierzyłam w aniołki i św. Mikołaja. Przytaczam treść listu, jaki napisałam do świętego. Mikołaja, a który przechowali rodzice, bo widoczny w nim minimalizm oczekiwań, jak również umiłowanie opery, pozostały mi na całe życie.

Na kopertach listów do Świętego Mikołaja pisałam adres Niebo, i –jak widać - nie zapomniałam o końcowych pozdrowieniach, zgodnie z wpajaną mi od małego zasadą uprzejmości:

Św. Mikołaj

Niebo

Poznań, dnia 2. XII.51 r.

Kochany św. Mikołaju!

Tego roku prosiłabym Ciebie o nowe buty, bo te co mam noszę już 3-ci rok, flaszeczkę wody kolońskiej, wstażki morelowe lub pomarańczowe, cukierków nie trzeba, bo będę robiła sama. Tylko trochę pierniczków. A 6.XII.51 r. chciałabym pójść do kina lub opery.

Na tym kończę mój list i proszę Ciebie o ile możliwości spełnij moje życzenia.

Pozdrawiam Ciebie i wszystkich w Niebie

Wita

Do najradośniejszych wspomnień dzieciństwa należy również wydarzenie, jakie miało miejsce jeszcze w Lublinie w Wigilię Bożego Narodzenia. Pasterka w Kościele Garnizonowym. Kościół wypełniony po brzegi. Straszny ścisk. Siedzę na ramionach taty. Widzę rozświetlony ołtarz a przy nim ustrojone drzewka. Dym, zapach kadzideł i na zakończenie gromki śpiew kolędy: *Bóg się rodzi, moc truchleje, Pan niebiosów nieskończony...* Wracamy do domu. Tata otwiera drzwi, a w pokoju stoi wysoka do sufitu choinka z płonącymi świeczkami. Skąd się wzięła? Przyniosły ją aniołki. Nigdy nie dowiedziałam się, w jaki sposób.

W dorosłym życiu nie miałam możliwości kontynuowania tradycji opowiadania bajek. *Bajkowe popołudnia* jakie próbowałam organizować w świetlicy Zakładów Przemysłu Tłuszczowego (przejętych później przez Fabrykę Kosmetyków „Lechia”) nie miały powodzenia. Udało mi się zgromadzić co najwyżej dzieci pani sprzątającej, która miała ich siedmioro, ale większego zainteresowania nie było. Również mój syn jakoś bajek nie chciał słuchać, wołał dowiadywać się, co *człowiek* – ewentualnie *samochód* – *ma w środku* no i słuchać opowieści o wojnie, ale to już była domena dziadka.

Bajkoterapia i zabawa w piaskownicy jako terapia.

Do opowiedzenia o bajkach mojego dzieciństwa skłoniła mnie ogromna popularność bajkoterapii zainicjowanej w Polsce przez dr Marię Molicką oraz książka Katarzyny Szeligi *Historia Guziolka*. Zainspirowane tą książką ogólnopolskie konkursy pisania bajek prowadzone przez p. Kasię pokazały, że nie tylko babcie i dziadkowie lubią wracać myślami do swojego dzieciństwa, w którym królowały zabawki i bajki. Okazało się, że również rodzice przedszkolaków chętnie wracają do tego świata i piszą bajki dla swoich dzieci.

Przy okazji konferencji ECARTE w Helsinkach⁶⁵ w roku 2010, miałam oka-

⁶⁵ System wychowania przez sztukę, płynnie połączony z arteterapią w szkołach powszechnych w Finlandii, zaprezentowany na tej konferencji przez v-ce ministra Edukacji zasługuje na osobne omówienie i naśladowanie.

zję być w gabinecie *play therapy*, umyślnie nie tłumaczę tego terminu słowem *zabawoterapia*, kojarzącego się wyłącznie z dziećmi, bo to był gabinet przeznaczony dla dorosłych z zaburzeniami psychicznymi, gdzie pacjenci mogli się pobawić lalkami, bardzo małymi, właściwie maskotkami i miniaturowymi przeróżnych zabawek, wykorzystując do zabawy także małą piaskownicę (*sand therapy*). *Play therapy*, podobnie jak inne formy terapii przez sztukę jest refundowana w Finlandii przez tamtejszy system ochrony zdrowia.

O potrzebie zabawy, którą mają dorośli pacjenci psychiatryczni, tacy, którzy nie mieli okazji do zabaw, gdy byli dziećmi pisze też między innymi Joan Erikson i uważa, że rolę arteterapii jest stworzyć im taką możliwość.

Zabawki jak z Muzeum Dzieciństwa.

Prócz lalek miałam kilka innych zabawek – odpowiedniki niektórych z nich widziałam później w różnych Muzeach Dzieciństwa, m.in. w Baden pod Wiedniem, w Helsinkach, Edynburgu, ale też na wystawie sklepu z zabawkami w Augsburgu, przy ulicy wiodącej do Muzeum Leopolda Mozarta (ojca Wolfganga Amadeusza). Były tam lalki podobne do tej mojej – najpiękniejszej, z prawdziwymi włosami i całe domki dla lalek, kuchenki i maleńkie naczynia oraz miniaturowe serwisy, drewniane klocki, kółko na patyku (traktowane raczej jako zabawka dla chłopców, co widać na starych fotografiach z początków XX w.), papierowe płaskie figury różnych postaci i ubranka, które zakładało się poprzez odpowiednie zaginanie wypustek. Miałam też drewnianego pieska wielkości ratlerka, kiwającego głową ale niepodobnego do tych plastikowych, wystawianych przez niektórych kierowców przed tylną szybą w samochodzie; przekażałam go w prezencie dzieciom koreańskim, gdy w szkole organizowano zbiórkę na pomoc ofiarom wojny amerykańsko koreańskiej. toczącej się; na początku lat 50. XX w. podział tego kraju na Koreę Północną i Południową, jak wiemy, istnieje do dzisiaj.

Wojna koreańska przypominała mi się, gdy w roku 1999, będąc w Waszyngtonie na IX Światowym Kongresie Muzykoterapii miałam okazję obejrzeć pomnik żołnierzy amerykańskich poległych w tej wojnie. Pomnik robi duże wrażenie, bo jest to jakby pole bitwy z postaciami walczących i poległych żołnierzy, naturalnej wielkości. Pod względem artystycznej formy przypomina figury postaci wchodzących pod ziemię i spod niej wychodzących na ulicy Solidarności we Wrocławiu.

Na lipiec 2011 roku zaplanowany był 13. Światowy Kongres Muzykoterapii,

który miał się odbyć w stolicy Południowej Korei – Seulu. Na ten kongres rok wcześniej osobiście zapraszał uczestników VII Europejskiej Konferencji Muzykoterapii pan dr Byungchuel Choi, przewodniczący komitetu organizacyjnego, który w tym celu przyjechał z Korei, na europejską konferencję do hiszpańskiego Kadyksu w towarzystwie grupy dziewcząt w przepięknych strojach ludowych. Trudno było nie skorzystać z tak uprzejmego zaproszenia, więc kupiłam w promocji bilet lotniczy do Seulu, ale okazało się, że przez pomyłkę podałam miesiąc *Juni* a nie *Juli*. Zmiana terminu lotu okazała się niemożliwa więc na ten kongres nie polecałam, choć mój referat został przyjęty i był w programie kongresu. Żałuję bardzo, bo – jak mogłam zobaczyć na filmie pokazanym na konferencji *Mozart & Science* 9. listopada 2012 w Krems (Austria) – był to kongres najwspanialszy z dotychczasowych. Kultura koreańska – oszałamiająca: pokazy gry na bębnach, tańców folklorystycznych, sztucznych ogni, a nawet kuchni koreańskiej, zaś muzykoterapia, choć wprowadzona do koreańskich instytucji medycznych niedawno, bo w roku 1996, już popularna (1000 praktykujących muzykoterapeutów). Na kongresie w Seulu wybrano nowe władze Światowej Federacji Muzykoterapii WFMT – jej prezydentem został dr Choi, który jednak pod koniec 2012 roku zrezygnował z pełnienia tej funkcji.

Coś ładnego do zjedzenia.

Belii da mangiare („piękne do jedzenia”) – taką nazwę miały pierwsze **warsztaty z arteterapii**, z jakimi zetknęłam się zagranicą, co miało miejsce w roku 1994 na III Konferencji ECARTE w Ferrarze. Zdumiało mnie, że przyrządzanie atrakcyjnie wyglądających potraw, na przykład mozaik układanych z owoców morza może być terapią. I przypominałam sobie, jakie potrawy w dzieciństwie przyciągały moją uwagę wyglądem i smakiem. Było ich całkiem sporo, choć w domu „nie przelewało się”. Świadczy o tym, jak sędzę fakt, że np. zapamiętałam sklep mięsny w Łodzi przy drodze do przedszkola, w którym mama czasem kupowała dla mnie jeden plasterzek szynki – duży ale cieniutki, pachnący, różowy, z białą otoczką tłuszczu. Pamiętam cukiernię, przy której przystawałam podziwiając przeróżne ciasteczka na wystawie, zwłaszcza kruchą babeczkę z kremową zieloną żabką. Takie same nadal sprzedaje się w austriackich cukierniach, także w kurorcie Baden, pielęgnującym atmosferę monarchii austro-węgierskiej, ale też znanym z nowoczesnego SPA z termami nawiązującymi wystrojem wnętrza do tradycji grecko – rzymskich.

Atrakcyjności potrawom w moim domu dodawało ich wspólne przygotowywa-

nie, no i umiejętności moich rodziców. Ojciec potrafił i lubił robić różne rzeczy do jedzenia, zwłaszcza przy okazji świąt i różnych domowych uroczystości. Jako chemik był bardzo dokładny i skrupulatnie odmierzał poszczególne składniki, co mnie nawet intrygowało, na przykład na tort orzechowy, pieczony raz w roku na imieniny mamy (4. marca), brał ni mniej ni więcej tylko dwanaście i pół dekagrama mielonych orzechów. Potem cierpliwie, zwykłą ręczną trzepaczką ubijał jajka na parze do masy waniliowej. Trwało to bardzo długo. Równie starannie przygotowywał np. studeniec, po poznańsku *galart*. Dzięki tej staranności galareta była idealnie przeźroczysta, a mięso pozbawione najmniejszych nawet chrząstek. Czasem przygotowywał swój śniatyński przysmak: boczek pieczony z suszonymi śliwkami podawany z mamałygą czyli kaszką kukurydzianą. Inna nazwa mamałygi to *kulesza*. Postną wersję tej potrawy stanowiła mamałyga z ovczą bryndzą i masłem, które rozpuszczając się na ciepłej kaszy tworzyło kremowy krąg na żółtym tle mamałygi lub mamałyga z powidlanką, ale to była wersja na słodko, bo powidlanka to śmietana rozmącona z powidłami ze śliwek. Jej kolor buro różowy już taki ładny nie był. Wigilijną kutię ojciec robił samodzielnie od początku do końca, a więc najpierw pichał, czyli w dość skomplikowany sposób pozbawiał łusek ziarna pszenicy, było z tym sporo zamieszania, bo wysuszone plewy fruwały po całej kuchni, mak ucierał w makutrze niemal do białości, słodził kutię tylko miodem, dodawał orzechy i rodzynki a migdały dosypywał niechętnie, bo nie używano ich na Huculszczyźnie, skąd nasza kutia się wywodzi. Mama z przepisów raczej nie korzystała, miała je w *głowie*, a inklinację do kuchni austriackiej chyba we krwi, bo np. słynny wiedeński sznycel, tylko nie tak duży jak serwowane we Wiedniu, podawany z sałatką z ziemniaków, białej fasoli i cebuli, doprawianej octem był moją ulubioną pozycją w jadłospisie niedzielnych obiadów. Przykładem zwykłej potrawy, która dzięki specjalnemu przyrządzeniu, wymagającemu trochę więcej trudu, stawała się atrakcyjnym daniem, były jajka faszerowane - ich zrobienie wymagało pewnej ręki, by przy rozcinaniu na pół *surowca* czyli jajka ugotowanego na twardo nie uszkodzić skorupki. Drobną posiekana zawartość z dodatkiem cebulki lądowała z powrotem w skorupce i posypana bułką tartą smażona była na maśle na patelni. Wychodziły z tego takie małe łódeczki, do których można było wetknąć maszt z listka pietruszki. Inna ładna potrawa to torcik pieczony na moje przyjęcie imieninowe (15 czerwca), na które zapraszałam w Łodzi dzieci z podwórka, a w Poznaniu ze szkoły. Właściwie była to tarta: na kruchym spodzie truskawki zanurzone w pianie ubitej z białek. Po zapieczeniu w piekarniku piana nabierała złocistego koloru i ciepły torcik wyglądał pięknie.

Prawdziwie *piękne do jedzenia* były domowe cukierki: krówki robione z mleka

gotowanego z cukrem, z czego powstawał kajmak lub landrynki z syropu (woda z cukrem) kolorowanego barwnikami na czerwono (malinowe) lub żółto (cytrynowe) i rozlewane do zastygnięcia na tacę. W odpowiednim momencie zawartość tacy należało pokrajać na prostokąci, poczekać aż wystygną no i śliczne cukierki można było jeść. A przed Bożym Narodzeniem obowiązkowo należało wykrawać i lukrować pierniczki i potem zawieszać je na choince. Ta tradycja, wyrobu małych pierniczków, o średnicy ok. trzech centymetrów, o różnych kształtach, dekorowanych lukrem i różnokolorowym cukrowym piaskiem nadal kultywowana jest w Austrii, o czym można się przekonać odwiedzając ten kraj podczas Adwentu: pierniczki sprzedawane są w eleganckich cukierniach, na kiermaszach, jak i w supermarketach.

Coś ładnego do zrobienia.

Rozpisałam się o potrawach ale ładne były przede wszystkim różne rzeczy, jakie dla przyjemności i zabawy (mogę powiedzieć: do bawienia mnie) robili rodzice. O wyrobach z drewna już pisałam, ale prócz tego przed Bożym Narodzeniem ojciec robił zabawki na choinkę; cudeńka ze słomy i wydmuszek jaj no i szopki (ja potrafiłam tylko kleić łańcuchy). Mama robiła z papieru dekoracje do opowiadanych mi bajek – bardo proste, żadne tam origami – ale cieszyłam się, że np. w papierowym domku otwierają się drzwi i okna, a w sadzie stoją drzewa. Raz zrobiła mi dość wyszukany prezent, nigdy nie wykorzystany zgodnie z przeznaczeniem: była to tzw. saszetka na chusteczki do nosa. Zrobiona była z wstążek w dwóch odcieniach różowego koloru, układanych na przemian jak w szachownicy, na jaśniejszych polach wyhaftowane były kwiatki. Podziwiałam, jak ją robiła, bo sama do prac ręcznych talentu nie miałam.

Coś ładnego do ubrania.

Coś w tym musi być, że wszystkie małe dziewczynki lubią się stroić i przebierać Nie byłam wyjątkiem. Zapamiętałam szczególnie dwie swoje sukienki. Pierwsza była różowa, z mięciutkiego, ale połyskującego materiału, z pikowanym karczkiem i rękawkami bufkami. Przypominała tę, w jaką ubrana była jedna z dwóch dziewczynek z kartki z życzeniami *Wesołego Alleluja*, którą kiedyś dostałam od jednej z cioć. Była to dość oryginalna kartka wielkanocna z motywem, z jakim nigdy później nie spotkałam się: przedstawiała duże jajo, wysokie niczym choinka bożenarodzeniowa,

które trójka dzieci, bo był jeszcze chłopczyk, usiłowała przewiązać niebieską szeroką wstążką, zawiązując na czubku kokardę. Jedna z dziewczynek, na oko trzy-czterolet-nich, ta w różowej krótkiej sukieneczce i z różową kokardą we włosach wspięła się na stołeczek i stojąc na paluszkach instruowała stojące niżej dzieci. Podobną do tej, w którą ubrana była dziewczynka z kartki świątecznej sukienkę miałam na sobie w dniu szóstych urodzin, co widać na kilku zrobionych z tej okazji fotografiach w Zgierzu, a później tego samego lata w Turobinie. Druga sukienka to był tak zwany *dirndel*, tak na nią mówiła mama, a ja tę nazwę powtarzałam. Niedawno, w jakimś austriackim niedzielnym magazynie zobaczyłam reklamę zupełnie tak samo wyglądających sukienek, o specyficznym kroju, inspirowanych austriackim folklorem, z podaną po niemiecku nazwą: *Dirndl*! Mój *dirndl* to była spódniczka z serdaczkiem wykończonym czerwoną lamówką, dłuższa od tej różowej sukienki, uszyta z granatowego, prawie czarnego materiału (perkalu) w drobne kwiatki, a do kompletu należała biała bluzeczka z krótkim bufiastym rękawem i biały fartuszek zawiązywany w pasie.

Zauważyłam, że współczesne *dirndle* są dość drogie, droższe od normalnych modnych sukienek, ale Austriaczki chętnie je noszą w niedziele i przy okazji rozmaitych regionalnych świąt, co widać na widokówce z Gumpoldskirchen.

Z inną sukienką związana też jest na odmianę bardzo smutna historia, która miała miejsce, gdy byłam trochę starsza, miałam prawie trzynaście lat. Dostałam właśnie nową garsonkę, z plisowaną spódnicą, z granatowej cienkiej wełenki, przeznaczoną na wyjątkowe okazje takie jak zakończenie roku szkolnego lub egzaminy w Ognisku Muzycznym, uszytą po raz pierwszy nie przez mamę, ale przez krawcową. Nie wiem czemu założyłam tę sukienkę idąc w niedzielę na stadion Warty (a może Kolejara?) na próbę układu choreograficznego, który ćwiczyły wszystkie starsze dziewczynki przed występem przygotowywanym na pochód pierwszomajowy. Po przebraniu się w szatni w strój gimnastyczny włożyłam sukienkę do szafki. Jak wróciłam, zobaczyłam, że spódnica została pocięta żyłką. Moja rozpacz nie miała granic: ktoś złośliwie zniszczył moją najlepszą sukienkę, zupełnie nową, której zakup, wiedziałam o tym, stanowił spory uszczerbek w domowym budżecie – ojciec wtedy, po zwolnieniu z wojska był bezrobotny. W domu mama, której też było bardzo przykro, pocieszała mnie i próbowała pozaszywać dziury, ale niestety, ślady cerowania były widoczne. Od tego wydarzenia jakoś przestało mi zależeć na strojach.

Uroda świata.

Przyroda i sztuka; ale o ile sztuka tak naprawdę zaczęła mnie interesować dopiero pod koniec liceum, chociaż do opery, na koncerty, wystawy w galeriach i muzeach chodziłam z rodzicami od dziecka, o tyle przyroda fascynowała mnie odkąd sięgam pamięcią. Najpierw była to przyroda występująca jako tło czy temat baśni i opowiadań przyrodniczych (*Baśń o dwunastu braciach, Z naszych pól i lasów*), następnie sukcesywnie poznawany świat roślin i zwierząt ale przede wszystkim naturalny krajobraz i pejzaż.

Ulotność chwili w pejzażach.

Czuję zapach sosnowego lasu w Zgierzu, gdzie mieściły się koszary ojca, czuję zapach konwalii, fiołków i hiacyntów – ulubionych kwiatów mojej mamy, widzę granat i bezkres morza ujrzanego po raz pierwszy w Międzyzdrojach, gdy stanęłam na wysokiej wydmy w pobliżu mola (mieszkaliśmy w pobliskiej willi WDW Bałtyk), a to co wówczas poczułam zawrzeć by można w okrzyku *Talassa, talassa!*⁶⁶, widzę połyskujący srebrzyście w zimowy poranek Giewont na tle bładoniebieskiego nieba z okna pociągu dojeżdżającego do stacji Zakopane, a na drugi dzień – Morskie Oko. Przy kolejnym, wiosennym pobycie w Zakopanem krokusy wystające ze śniegu w Dolinie Chochołowskiej. Polskę poznawałam dzięki urlopowym wyjazdom z rodzicami najpierw do Wojskowych Domów Wypoczynkowych, później dzięki zakładowym wycieczkom stomilowskim autokarem (idea *zielonych szkół* dopiero czekała na zrealizowanie, a mój ojciec, pracując w Stomilu bardzo chętnie organizował wycieczki po Polsce, i do *demoludów*). W Łodzi uprawiałam lilipuci ogródek w kącie podwórka domu przy ulicy Łomżyńskiej, do podlewania miałam śliczną kolorową koneweczkę.

Silwo – aroma – talasso – hortikulo – pejzażoterapia.

Terapia przez kontakt z lasem, zapachami, morzem, ogrodem i pięknym krajobrazem. Sens tych wszystkich pojęć uświadomiłam sobie w pełni, kiedy obejrzałam pozostałości greckich asklepiejonów – antycznych ośrodków sakralno – leczniczych

⁶⁶ Ten radosny okrzyk (Morze! Morze!) wydali Grecy stojący na szczycie góry Tectos na widok morza podczas wyprawy przeciwko Cyrusowi Młodszemu w latach 400 – 399, co opisał Ksenofont w dziele pt. „Anabazis”.

związanych z kultem boga Asklepiosa i jego mitycznej córki Hygiei. Jest ich wiele w Grecji oraz na terenie dzisiejszej Turcji, na wybrzeżu Morza Egejskiego. Założenie architektoniczne tych najstojniejszych, znajdujących się w Epidauros i na wyspie Kos mają doskonałą lokalizację, uwzględniającą górzysty charakter terenu i urodę krajobrazu, której elementem jest także las a w wypadku Kos bezkres morza otaczającego wyspę, widoczny ze szczytu schodów prowadzących do świątyni boga Asklepiosa. *Pejzazjoterapia, talassoterapia, hydroterapia, silwoterapia i estjoterapia* są tam w zasięgu wzroku i ręki i nie wymagają tłumaczenia, na czym polegają. Z perspektywy asklepiejonu na wyspie Kos oczywista i wciąż aktualna wydaje się filozofia medycyny Hipokratesa, który na Kos urodził się i który w prowadzonej przez siebie szkole medycznej sformułował zasady leczenia holistycznego. Polegało ono na traktowaniu człowieka jako całości psychosomatycznej, w przeciwieństwie do praktykowanego przez większość przedstawicieli nowożytnej medycyny akademickiej koncentrowania się tylko na chorym narzędziu. Grecy proces leczenia traktowali kompleksowo i starali się jednocześnie oddziaływać na ciało i duszę. Do rytualnych oczyszczeń służyło święte źródło, do normalnych kąpiei – baseny i wanny. Miejscem kontemplacji i modlitwy były obiekty sakralne, miejscem ćwiczeń fizycznych – rekreacyjnych – gimnazjony i palestry. W nocy, przed zapadnięciem w leczniczy sen hipnotyczny chorzy słuchali muzyki, specjalnie dla nich komponowanej. W dzień słuchali szumu drzew i szmeru wody bijącej z licznych fontann rozmieszczonych w ogrodach otaczających sanktuarium. Naturalny krajobraz upiększały rozmieszczone wśród drzew posągi i eksedry tj. kamienne nisze z wykutymi w środku ławami, służące do odpoczynku. W czasie deszczu lub upału mogli pielgrzymi-pacjenci spacerować pod dachami portyków – budowli dostosowanych do klimatu śródziemnomorskiego. Wszystko co otaczało chorych przesycone było wyrafinowanym pięknem, do którego w naszych czasach nie zawsze przywiązuje się należyłą wagę, choć trzeba przyznać, że w wielu krajach, także w Polsce spotkać też można funkcjonalne a zarazem bardzo estetycznie urządzone ośrodki lecznicze.

Inspiracje antyczne dostrzec też można w jakże popularnych obecnie ośrodkach SPA, nie tylko w ich nazwie (SPA to skrót od łacińskich słów *salus pro aqua* – *zdrowie dzięki wodzie*) ale przede wszystkim w lokalizacji i wyposażeniu. Do takich ośrodków leczniczych, pięknych i oferujących cały wachlarz różnych terapii należą także termy, poczynając od oryginalnych rzymskich, poprzez angielskie z epoki wiktoriańskiej po całkiem nowoczesne, jak w Baden pod Wiedniem. W kurorcie Bath np. na południu Anglii, który był uzdrowiskiem już w czasie panowania tam Rzymian

(II w. n.e.), nad wejściem do łaźni widnieje grecki napis mówiący, w tłumaczeniu, *nic lepszego nad wodę*. Przed wejściem do supernowoczesnego kąpieliska w austriackim Baden stoi posąg bogini Hygiei, mitycznej córki Asklepiosa, opiekunki zdrowia, zaś w środku nowoczesne jacuzzi usytuowane jest w pomieszczeniu stylizowanym na rzymskie termy.

Wywodząca się z kultury starożytnej Grecji i Rzymu idea leczenia holistycznego uwzględniającego także kontakt chorych ze sztuką widoczna jest nie tylko w architekturze niektórych luksusowych współczesnych ośrodków leczniczych, w malowidłach i rzeźbach zdobiących pomieszczenia dla pacjentów, ale przede wszystkim w zrozumieniu potrzeb człowieka, zarówno podstawowych, jak i wyższego rzędu.

Wpływ antyku przejawia się nie tylko w tym, co ocalało ze starożytności w wymiarze materialnym, bo utrwalone zostało w kamieniu lub na papirusie. Inspiracją są też mity np. mit o Orfeuszu który, jak pisze Joan Erikson, *wciąż funkcjonuje w naszej wyobraźni jako archetyp artysty, który dzięki magii swej sztuki przekracza granice osobistej tragedii, przekształcając świat pojedynczych zmiennych wrażeń w wibrującą i śpiewającą całość*.⁶⁷

Ta całość może przybrać kształt obrazu jeśli, np. podziwiając obrazy Edwarda Muncha takie jak *Chore dziecko, Śmierć w pokoju chorego* czy cykl *Fryz życia* skonfrontujemy je z przeżywaną przez malarza żałobą po śmierci najbliższych mu osób: matki i siostry. *Współczując w bólu artysty zaczniemy rozumieć bolesną rozłąkę jako coś uniwersalnego. Artysta-śpiewak i słuchacz, artysta malarz i widz stają się zdrowi, bo doznają katharsis przez opiewanie i unaocznienie straty jako części ludzkiego losu*.⁶⁸

Idziemy do szkoły.

Nie tak szybko. Kiedy miałam sześć lat i umiałam już czytać i pisać, rodzice postanowili zapisać mnie do szkoły. Musiałam jednak przedtem przejść pomyślnie badania psychologiczne. Dostałam do rozwiązania odpowiednie testy, które o ile wiem, są nadal stosowane w badaniu dojrzałości szkolnej. W teście Rorschacha, zgodnie z jego założeniem, miałam zinterpretować obrazek w formie plamy atramentu, ale na pytanie, co jest na tym obrazku, zamiast popisać się wyobraźnią, powtarzałam: *plama atramentu*. Na swoje częściowe usprawiedliwienie przypomnę, że były to czasy, kiedy

⁶⁷ J. Erikson, *The Art. and Healing*. Am. J. Art. Therapy, 1979, (18), 3, 75 - 90.

⁶⁸ Ibid.; Ten i pozostałe cytaty tekstów zagranicznych, nie wydanych w Polsce są w tłumaczeniu autorki.

plama atramentu była czymś zwyczajnym, powszechnie znanym, bo pisało się piórem ze stalówką maczaną w atramencie. Po obejrzeniu zaś obrazka przedstawiającego dwoje ludzi siedzących naprzeciw siebie przy stole, na pytanie o czym oni rozmawiają, odpowiedziałam *nie wiem*. W efekcie tych badań do szkoły przyjęta nie zostałam. Było mi trochę przykro, gdy mama relacjonowała ojcu to moje pierwsze niepowodzenie szkolne, ale ucieszyłam się, gdy zapowiedziała, że wobec tego pójdę do przedszkola.

Zamiast szkoły – przedszkole.

W przedszkolu podobało mi się wszystko, poczynając od ścieżki w ogrodzie, prowadzącej od ulicy do parterowego budynku, mieszczącego przedszkole. Przy ścieżce rosły kwiaty, których nazwy, wygląd i kolor bardzo mnie zaciękał: wysokie irysy (dotąd znałam irysy cukierki), lewkonie i lwie paszcze. Wyobrażałam sobie paszczę lwa odpowiednio naciskając kwiatek, a nazwa lewkonii była śmieszna, gdy rozbiło się ją na trzy wyrazy ”lew”, „koń” i ”ja”. Przedszkole było bardzo biedne, co mogę stwierdzić z perspektywy lat ale wówczas tego nie odczuwałam. Była tam na przykład tylko jedna duża lalka i trzeba było być bardzo grzecznym, by w nagrodę dostać ją do potrzymania, był jeden kubeczek wyglądający jak głowa kotka, też podawany w nagrodę, pozostałe kubki były zwykłe, białe, niektóre nawet wyszczerbione. Było za to kilka interesujących zabawek, jakich nie miałam w domu: kolorowe świecące koraliki do układania w płaskich pudełkach, na wzór mandali, (tę nazwę poznałam dopiero gdy zaczęłam zajmować się arteterapią) i kalejdoskopy, w których kolorowe szkiełka układały się w różne wzory i wprawiały mnie w zachwyt nie mniejszy jak później witraże w Notre Dame czy w katedrze w Seville. Rozkład dnia przewidywał południową drzemkę – czas najbardziej nie lubiany przez wszystkie przedszkolaki. Czas ten spędzaliśmy siedząc na krzeselkach z głowami opartymi na rękach na blatach stołów, bo żadnych leżaczków nie było. Przy tych samych stołach siedzieliśmy rysując, bawiąc się w różne gry i spożywając śniadania. Obiadów nie podawano. Przedszkole prowadziły zakonnice, ale nie pamiętam, by coś więcej o tym świadczyło poza ubiorami naszych opiekunek, chyba że przedstawienie Jasełek, w których grałam rolę Matki Boskiej. Rola była całkowicie niema, a wybrano mnie do niej ze względu na moje długie włosy.

Pierwsza B.

Do szkoły podstawowej (nazywała się wtedy *powszechną*) poszłam we właściwym czasie, czyli. po skończeniu siedmiu lat. Budynek szkolny był obskurny, podobnie jak cała pobliska ulica Łomżyńska, przy której pod numerem 17 mieszkaliśmy. Charakterystyczną cechą tej dzielnicy Łodzi (chyba to są Bałuty) były rynsztoki. Brrr. Na szkolnym podwórku stały drewniane wygodki. Ten szczegół jak i wyposażenie klas szkolnych przypominało skansen miasta w XIX – wiecznej Anglii, jaki pod koniec XX w. zwiedzałam w towarzystwie Lo Ming i jej rodziny. W tym skansenie była bowiem i szkoła z takimi właśnie wygodkami na zewnątrz budynku, a w środku z klasą całkiem podobna do mojej, z *oślą ławką* na końcu. Przy ulicy Łomżyńskiej znajdowała się fabryka makaronu, do której odbyłam, wraz z całą klasą, pierwszą wycieczkę szkolną. Podziwiałam różne wydobywające się z maszyn makaronowe muszelki i świderki, bo dotąd znałam tylko zwyczajnie wyglądające, płaskie makarony wyrobu mojej mamy. Jedyny zapamiętany epizod szkolny, z okresu chodzenia do I B w domu, w Łodzi, to wymierzanie kary za coś, czego nie pamiętam. Pan nauczyciel kilkorgu dzieciom, w tym mnie, kazał stanąć przed klasą i każdego po kolei linijką uderzał w dłoń. Bardzo delikatnie, nawet zawahał się podnosząc na mnie rękę, ale dla mnie to był szok: nie tylko nie znałam kar cielesnych ale wcześniej nikt nigdy mnie nie uderzył! W klasie stała też *ośła ławka*, leżały na niej papierowe ośle uszy na gumce do zakładania niegrzecznemu dziecku na głowę Kiedyś podczas przerwy, gdy nikogo nie było w pobliżu usiadłam w niej, by się przekonać jak to jest. Poczułam się głupio. Popołudniami jeździłam tramwajem – sama, z kartą tramwajową – do Domu Kultury, nie pamiętam jego adresu, ale pamiętam jeden wykonany tam rysunek, bo rodzice bardzo się śmiali oglądając go. Przedstawiał dwoje dzieci trzymających transparent z napisem *Pięć lat mija*. Obok karuzela, w tle ognie sztuczne czyli wielkie święto z okazji rocznicy ogłoszenia Manifestu PKWN. Pewnie się śmiali ze skuteczności indoktrynacji światopoglądowej prowadzonej wśród najmłodszych w ramach zajęć artystycznych⁶⁹. Do tej szkoły chodziłam tylko rok, i jeden miesiąc, bo jesienią przeprowadziliśmy się do Poznania Ostatni zapamiętany widok z Łodzi to wielki transparent powiewający u wylotu ulicy Łomżyńskiej z napisem: *Niech żyje Polska Zjednoczona Partia Robotnicza*. Właśnie powstała. Był rok 1949.

⁶⁹ W. Szulc, Co nam zostało z tych lat? Upowszechnianie kultury w Polsce Ludowej – jego metody, funkcje i skutki oceniane z perspektywy bliższej i dalszej. W: Edukacja i kultura.(red.) J. Grzesiak. Wyd. WPA UAM, Kalisz, 2002.

Poznań – moje miasto.

Do Poznania jechałam pełna radosnych oczekiwań. To, że Poznań od pierwszej chwili bardzo mi się spodobał też jest zasługą moich rodziców, bo jeszcze przed przeprowadzą opowiadali, co ciekawego czeka mnie w tym mieście. Najpierw, kiedy na krótko zatrzymaliśmy się w Hotelu Garnizonowym przy ul. Kościuszki zwiedziłam centrum. Zielone poznańskie tramwaje, szerokie ulice, gdzieś tam ruiny (w Łodzi ruin nie było), zwłaszcza na Starym Rynku ale też wzdłuż ulicy Ułańskiej, na narożniku której stał nasz dom, a wśród ruin można było wspaniale się bawić, nie tylko w wojnę, co robili chłopcy. I wielkie gmachy, inne niż łódzkie pałace fabrykantów: zamek cesarski, mocno uszkodzony strzałami z Cytadeli, budynki uniwersytetu, muzeum, gmach opery.

Opera i inne muzyczne atrakcje.

Opera. To było coś, co mogło choć trochę ukoić tęsknotę mojej mamy za Lwowem. A były to czasy dyrekcji wybitnego rosyjskiego dyrygenta Bierdiajewa. Pierwsza opera, na której byłam to *Opowieści Hoffmana* z Barbarą Kostrzewską w roli Lalki. Żadna inna inscenizacja już takiego wrażenia na mnie nie zrobiła, ani wiedeńska w Volks Oper, ani wrocławska, skądinąd wspaniała. Nic dziwnego, że pójście do poznańskiej Opery było wymarzonym prezentem, o który prosiłam świętego Mikołaja.

W Szkole Podstawowej nr 33 na Łazarzu, do której zaczęłam uczęszczać od drugiej klasy nic specjalnego się nie wydarzyło, co by utkwilo w mojej pamięci. No może kulig, zdjęcie przedstawia dzieci na sankach a obok stoją pan Marciniak, nasz wychowawca i mój ojciec, który z ramienia Komitetu Rodzicielskiego załatwił w CWKwacie (Centrum Wyszakolenia Kwatermistrzowskiego) *podwoły* do tej imprezy. Szkolne lekcje wyglądały mniej więcej tak: pani od historii siadała na ławce i czytała nam fragment podręcznika, poczym go zadawała mówiąc: tego macie się nauczyć. Miałam z tym duży kłopot, bo zupełnie innej historii uczyła mnie w domu mama Lekcje, zwłaszcza rysunków i śpiewu, odpowiednik dzisiejszego Wychowania plastycznego i Muzycznego, wyglądały równie żałośnie. Pani od rysunków kolorowymi kredkami rysowała na tablicy kaczkę a my ten rysunek odwzorowywaliśmy w blokach rysunkowych. Pani się dziwiła, dlaczego wszystkie dzieci narysowały kaczkę z głową zwróconą w tę sama stronę, co na tablicy. Pan od śpiewu usiłował nas uczyć piosenek, grając przy tym na skrzypcach, ale chłopcy skutecznie mu w tym przeszkadzali. Mimo wszystko nauczyliśmy się melodii i tekstów, które nadal pamiętają ci, co w tamtych czasach chodzili do szkoły, np.:

po rosyjsku, bo to był hymn Związku Radzieckiego, ale jego piękną melodię, skomponowaną przez Aleksandra Aleksandrowa, (założyciela chóru, którego występy nadal zachwycają świat) już bez słów, można i teraz usłyszeć, np. na Olimpiadzie, bo pozostała ona hymnem Rosji. No i pieśni masowe, z tą najładniejszą, ze słowami Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego: *Ukochany kraj, umiłowany kraj, ukochane i miasta i wioski*. Czy tym akurat słowom można coś zarzucić?

Chodziłam z rodzicami do muzeów, co wówczas, przyznam szczerze, mnie nudziło i do Filharmonii, ale koncerty, w przeciwieństwie do muzeów, od razu mi się spodobaly. podobnie jak tańczenie w dziecięcym zespole folklorystycznym, który miał swoją siedzibę w Klubie Garnizonowym, najpierw w obecnym kinie: Grunwald, później w budynku Klubu przy ulicy Szylinga. Krok mazura jest dość trudny a poloneza, którego też się wtedy nauczyłam znają wszyscy polscy maturzyści ale np. na balu w pewnej instytucji charytatywnej w Bremie, na który zaprosiła mnie pani Ilse, dobra znajoma z Europejskiego Komitetu Muzykoterapii i jej mąż, należałam do nielicznych którzy ten prosty właściwie krok i różne figury poloneza znali, co zauważył nawet wodziarz. Była to niewątpliwie zasługa owych lekcji tańca.

Zapisana też zostałam na naukę gry na fortepianie, z wyraźnie, choć żartobliwie sprecyzowanym oczekiwaniem ze strony mamy: *chcę żebyś mi zagrała Humoreskę Dworzaka*⁷⁰. Były to najpierw lekcje prywatne, później regularna nauka w ramach Ogniska Muzycznego z programem szkoły muzycznej. Poziom techniczny jaki udało mi się osiągnąć – niezbyt wysoki, muszę przyznać, bo w ćwiczeniach brakowało mi wytrwałości – pozwolił mi na granie oprócz owej *Humoreski* jeszcze kilku innych znanych utworów m.in *Marsza tureckiego* Mozarta i *Dla Elizy Beethovena*⁷¹. Najchętniej jednak grałam fugi i menuety Bacha (w tzw. szkolnym opracowaniu, zaznaczam) ku radości ojca, który muzykę Jana Sebastiana szczególnie sobie upodobał, choć specjalnie muzykalny nie był. Mimo to bardzo lubił śpiewać, dla żartu podśpiewywał, gdy miał szczególnie dobry humor arię Jontka z *Halki* z refrenem *Oj Halino, oj jedyna, dziewczyno moja, dziewczyno moja*, co przy zbyt częstotliwości tych występów budziło protesty mamy ale już nie wiem czy z powodu niezbyt czystej linii melodycznej

⁷⁰ Fragment żartobliwej *Humoreski* Dworzaka jest jednym z muzycznych motywów zapowiadających pojawienie się pani Alutki w serialu *Rodzina zastępcza*.

⁷¹ Na konferencji pod hasłem *Mozart i Nauka* 8 – 10.11. 2012 r. w Krems muzykoterapeuci z Hamburga zademonstrowali wyniki badań nad wykorzystaniem tego popularnego utworu Beethovena do wyprowadzania ze stanu depresji pacjentów uniwersyteckiego Szpitala Psychiatrycznego w Hamburgu.

czy imienia bohaterki arii. Przy stole śpiewaliśmy, zależnie od okazji kolędy i pastorałki, także te mniej dzisiaj popularne, np.

*Bracia, patrzcie jeno,
jak niebo goreje
Znać, że coś dziwnego
w Betlejem się dzieje*

z wszystkimi zwrotkami, i pieśni patriotyczne, zarówno *Pierwszą Brygadę* jak i *Okę: Szumi dokoła las, czy to jawa czy sen?*

Wielką radość sprawił ojcu, i mnie oczywiście też, pewien koncert szczególny, bardzo kameralny, trochę w stylu salonowych koncertów z epoki Romantyzmu. Był to prywatny koncert w mieszkaniu naszej profesorki z Ogniska Muzycznego, znakomitej pianistki pani Janiny Thomasówny. Duży salon z tak zwanym wykuszem w secesyjnej kamienicy przy ul. Słowackiego. Podniosła atmosfera. Odświętnie ubrane dziewczynki i ich mamy, ja w aksamitnej szafirowej sukience z białym koronkowym kołnierzykiem i tylko jeden tata – mój ojciec, w galowym mundurze. Przy fortepianie siada nasza mistrzyni, w sukni do ziemi. I zaczyna grać Chopina. Etiudy, mazurki. Na zakończenie: *Grande valse brillante*. Bijemy brawo. Pierwszy gratulacje pianistce składa mój ojciec, szarmancko się kłania i całuje ją w rękę. Coś mówi. Oboje są wzruszeni. A ja – zachwycona i szczęśliwa. Mam jedenaście lat i jestem w siódmym niebie! Na estradzie Filharmonii Poznańskiej, mieszczącej się w auli Uniwersytetu Adama Mickiewicza występowałam kilka razy, towarzysząc wraz z chórem Ogniska Muzycznego, zawodowemu chórowi Poznańskiej Filharmonii. Najbardziej podniosły nastrój panował na koncercie, podczas którego śpiewaliśmy *Ave Verum* Mozarta

Mozart skomponował ten utwór w Baden pod Wiedniem. W tamtejszym kościele parafialnym wisi tablica informująca, że wykonania *Ave verum* wysłuchał tam, odwiedzając Austrię, kardynał Ratzinger – późniejszy papież Benedykt XVI. Wiadomo, że Benedykt XVI jest biegłym pianistą i – jak podają papiescy biografowie – grał też koncerty Mozarta. Pewnie nie zwróciłabym uwagi na tę tablicę, gdybym kiedyś sama nie miała okazji do zaśpiewania cudownego *Ave verum*. W teorii muzykoterapii zaś frapuje mnie tak zwany *efekt Mozarta*. Mówi się o nim między innymi na konferencjach z cyklu *Mozart i nauka* organizowanych co dwa lata w Austrii w Krems nad Dunajem przez Stowarzyszenie Muzyka i medycyna, zrzeszające, prócz zawodowych

muzykoterapeutów, takich jak prof. Dileo z USA i prof. Tucek z Austrii także. lekarzy anestezjologów stosujących do znieczulania muzykę.

Przed popisami solowymi paraliżowała mnie trema i dlatego zakończyłam naukę w Młodzieżowym Ognisku Muzycznym, choć profesor Witalis Dorożała namawiał ojca, by wpłynął na mnie i namówił na kontynuowanie nauki na poziomie wyższym, na kierunku nauczycielskim. Piszę o tym, bo lata nauki w Ognisku Muzycznym były najjaśniejszym fragmentem mojej edukacji – czułam wtedy życzliwość ze strony nauczycieli, radość z uczestnictwa w zajęciach zbiorowych (solfeż, rytmika, próby chóru), a zależność między pracowitością a efektami nauki, w postaci biegłości w grze na fortepianie, była oczywista.

Epizody i koleżanki oraz kolegów z Ogniska Muzycznego, a są wśród nich tacy, którzy porobili prawdziwe kariery sceniczne, wspominamy podczas spotkań towarzyskich w gronie filologów klasycznych, bo Marysia W., którą wtedy poznałam studiowała później filologię klasyczną, była lektorką języka łacińskiego w Akademii Medycznej w Poznaniu i wraz z mężem, profesorem Ignacym L. należy do grona moich najbliższych przyjaciół.

Okres stalinizmu i Poznański Czerwiec 1956.

Spokój a nawet radość pierwszych miesięcy i lat mieszkania w Poznaniu przewały dwa wydarzenia. Na początku 1953 roku ojciec, w stopniu majora w wieku 45 lat został zwolniony z wojska, nie nabywszy prawa do emerytury wojskowej. Pamiętam, jak to przeżywał, jakim to było dramatem dla naszej rodziny. Ustne uzasadnienie brzmiało: *nam magistrów nie nada. (nie potrzebujemy magistrów)* wypowiedziane po rosyjsku, bo komendantem Wyższej Szkoły Wojsk Kwatermistrzowskich był wówczas dowódca sowiecki. Dalszy ciąg uzasadnienia brzmiał groźniej: *na was wróg może liczyć*. Nie był to przypadek incydentalny bo właśnie trwała wielka czystka polegająca na zwalnianiu z wojska oficerów, którzy służyli w wojsku przedwojennym i w ogóle byli *niepewni*, czego widomym znakiem było między innymi to, że – podobnie jak ojciec – nie zapisali się do PZPR.

Znałam z widzenia wszystkich po kolei dowódców Oficerskiej Szkoły Intendentury, późniejszego CWKwat (Centrum Wyszkożenia Kwatermistrzowskiego, mieszczącego się przy obecnej ulicy Bukowskiej), niektórych osobiście, bo lubiłam towarzyszyć ojcu podczas wojskowych uroczystości takich, jak promocje oficerskie.

W Zgierzu raz byłam nawet świadkiem następującego wydarzenia. Ówczesny dowódca, pułkownik Łuczkowski (pierwsi dowódcy byli Polakami, a pułkownik Łuczkowski bywał u nas w domu), zgodnie ze zwyczajem na zakończenie promocji miał wznieść okrzyk *niech żyje Marszałek Polski* (i tu nazwisko marszałka), na który żołnierze powinni odkrzyknąć: *Niech żyje*. No i płk Łuczkowski zawołał *Niech żyje Marszałek Śmigły Rydz!* W odpowiedzi zapadła martwa cisza, bo Marszałkiem Polski był wtedy Rola Żymierski. Pułkownik Łuczkowski zaś wymienił nazwisko marszałka sanacyjnego, naczelnego wodza Wojska Polskiego w roku 1939. Chyba po tej kompromitacji podał się do dymisji, ale pewna nie jestem. Dowódcę CWKwat, generała Kienasowa, już w Poznaniu, zapamiętałam z takiej oto scenki. W niedzielę czynu społecznego, w ramach którego żołnierze sprząтали teren przed wojskowym blokiem, w którym mieszkaliśmy, stałyśmy z mamą przy oknie i zza firanki obserwowałyśmy, co się dzieje. W pewnym momencie ów generał, który przyjechał na inspekcję, zamaszyście, bez użycia chusteczki oczyścił sobie nos i wytarł go rękawem jasnogranatowego munduru (pamiętam ten kolor, bo różnił się od polskich mundurów), co mama skomentowała następująco: *zobacz jak się zachowuje sowiecki generał*. Kolejny dowódca, generał Bondar, w przeciwieństwie do swego poprzednika był kulturalny, starał się mówić poprawnie po polsku i chyba był lubiany, bo kiedy spotkała go osobista tragedia – śmierć córki, niewiele starszej ode mnie, na jej pogrzeb na poznańską Cytadelę przyszło mnóstwo ludzi, ja byłam z mamą.

Przedwojenne wyższe wykształcenie u oficerów faktycznie mogło przeszkadzać w Polsce Ludowej, gdy głoszone hasło: *Nie matura lecz chęć szczerza robi z ciebie oficera*. Towarzyszący zwolnieniu tzw. wilczy bilet powodował, że ojciec długo nie mógł znaleźć żadnej pracy. W końcu wyjechał do Zielonej Góry. Pod jego nieobecność do dwupokojowego wojskowego mieszkania, które zajmowaliśmy przy ul. Grunwaldzkiej 32 narożnik Ułańskiej, dokwaterowano drugą wojskową rodzinę, sierżanta J. Rozkaz komendanta o konieczności opuszczenia jednego pokoju zakomunikował nam żołnierz, pod nieobecność ojca, waląc kolbą karabinu do drzwi. Po tym nastąpiła eksmisja naszych rzeczy. Przez kolejne pięć lat mieszkaliśmy, podobnie jak na początku w Łodzi na Napiórkowskiego 211, w mieszkaniowym *kołchozie*. Na biurku, pochodzącym z *demobilu* stała szafka, a druga, wyższa postawiona na skrzyni w poprzek pokoju, oddzielała mój kącik od reszty 20 –metrowej powierzchni mieszkalnej. Nasz współlokator był myśliwym i czasem, zwłaszcza przed świętami dzielił się z nami upolowaną zwierzyną. Widok oprawianego zajęcia nie był przyjemny ale smak pieczeni z

combra i pasztetu – tym mama częstowała sąsiadów – niezapomniani.

W czerwcu 1956 roku ojciec nadal pracował w Zielonej Górze, a my z mamą z niepokojem obserwowałyśmy, to co się dzieje w mieście. Ulicą Grunwaldzką jechały czołgi przygotowane do walki – nie było wiadomo z kim – z demonstrantami czy może z Sowietami? Tego nie wiedziałyśmy. Na dachu naszego budynku umieszczono karabin maszynowy. 28. czerwca szliśmy z mamą na Jeżyce do kina Rialto. O ile sobie przypominam, miał tam być wyświetlany film z Gerardem Philipem. Na ulicy Zeylanda, blisko głównego wejścia na Targi Poznańskie zastała nas strzelanina. Schowałyśmy się w bramie. Ślady po kulach w tej kamienicy widoczne są do dzisiaj. Oczywiście do kina już nie doszłyśmy. A wieczorem 29. czerwca, jak cała Polska, ze zgrozą słuchałyśmy nadawanego przez radio przemówienia premiera Józefa Cyrankiewicza z pogroźką *że kto się ośmieli podnieść rękę na władzę ludową, temu władza ludowa tę rękę odrąbie*.

Jako ciekawostkę przytoczę list, w którym mój dziesięcioletni syn w roku 1980 tak opisał tzw. wypadki poznańskie, które miały miejsce 24 lata wcześniej w liście do swojego ojca, nie znającego historii Polski, mieszkającego we Wiedniu; list pisany był w listopadzie 1980 r., też w bardzo burzliwym okresie politycznym (powstanie i działalność Solidarności):

Poznań, dnia 9.XI. 1980 r.

Tato!

W Poznaniu dużo mrozów i trochę śniegu.

Papuga żyje i świetnie się czuje. W Polsce dużo się dzieje. Sowietów się boją.

Mają budować pomnik dla tych, którzy zginęli w czerwcu 1956. Jeśli nie wiesz co tam było to zaczęło się w czwartek robotnicy z Cegielskiego (H. Cegielski duży zakład przemysłowy w Poznaniu) rano wyszli z transparentami i zaczęli strajkować. Zaczęli do nich strzelać ale powiem ci dokładniej jak przyjedziesz czego się spodziewam.

Dużo mówi się o tym, że młodzież nie zna historii, zwłaszcza historii najnowszej, winiąc za to programy szkolne, a przede wszystkim redukcje godzin nauczania tego przedmiotu. Myślę, że nie jest to jedyny powód. Winne jest temu małe zainteresowanie sprawami publicznymi, społecznymi, wykraczającymi poza krąg rodzinny i osobisty interes; sprawy wielkie, które potem tworzą historię, rzadko są tematem rozmów przy rodzinnym stole.

Zamoyszcanki.

II Liceum Ogólnokształcące w Poznaniu, do którego uczęszczałam w latach 1954 – 1959, w owym czasie nie miało patronki, ale odwoływało się do patronki przedwojennej czyli zasłużonej dla kultury Poznania Generałowej Zamoyskiej, później otrzymało imię Heleny Modrzejewskiej. Liceum za moich czasów było elitarne i, zgodnie z tradycją, żeńskie. Działo się w nim dużo, nauka stała na wysokim poziomie, mimo braku dzisiejszych programów kontroli jakości, niektórych przedmiotów uczyli doktorzy – pracownicy naukowcy Uniwersytetu Poznańskiego, panie dr Janina Jakubiś (biologia) i dr Irena Czygrinowa (geografia). A łaciny uczył „Dyzio”, czyli prof. Dionizy Przykucki tak skutecznie, że i maturę z języka łacińskiego i egzamin wstępny na filologię klasyczną na UAM zdałam na piątkę. Na powitanie profesora przed każdą lekcją recytowałyśmy powiedzenie, którego sens był mi po latach pociechą w momentach niepowodzeń, nazwijmy to akademickich: *Non scholae sed vitae discimus* (Nie dla szkoły lecz dla życia uczymy się)., podobnie jak fragment wiersza Horacego: *Aequam mentem, rebus in arduis servare mentem* (Pamiętaj zachować równowagę ducha w trudnych sytuacjach.)

Do szkoły chodziłyśmy w granatowych, satynowych fartuchach z rękawami, dokładnie przykrywających *prywatne* ubranie, na rękawie musiała być przyszyta bordowa tarcza z numerem 2. Tarcze trzeba też było nosić poza szkołą, na wierzchnim ubraniu.

Próba wprowadzenia szkolnych mundurków przed kilku laty skończyła się wielkim społecznym protestem i kompromitacją ministra oświaty. Szkolne mundurki są jednak obowiązkowe w wielu krajach, nie tylko w egzotycznej dla nas Turcji (tam są czarne) ale też w bardzo bliskiej nam pod pewnymi względami Irlandii w mieście Cork w roku 2007 zauważyłam na ulicy idące parami dziewczynki w jednolitych kolorowych, konkretnie – zielonych fartuszkach, innym razem widziałam dziewczęta w granatowych mundurkach, pewnie z innej szkoły ale wszystkie nosiły do tego jednokolorowe czarne grube pończochy i czarne półbuty.

Doroczne zabawy karnawałowe w *Zamoyskiej*, na które zapraszałyśmy chłopaków z pobliskiego *Marcinka* (czyli I LO) miały charakter balów przebierańców. Byłam dwa razy w stroju łowiczanki, raz kolombiny ale na zdjęciach, muszę z żalem przyznać, nie wyglądałam tak pięknie jak ciocia Ziuta na podobnych balach w Śniatynie, w latach 30. ub. wieku. Z kilkoma koleżankami z liceum, z Ewą, polonistką, niezwykle uzdol-

nioną językowo i artystycznie, która poświęciła się pracy w charakterze nauczycielki w szkole podstawowej, w Warszawie, z Mirką A., prawniczką, Hanką L., profesorem AR specjalizującą się w gerberach i Mirką K., polonistką, redaktorką pewnego prestiżowego wydawnictwa, do której nieraz zwracałam się z prośbą o konsultację w kwestiach językowych (także w wypadku wyrazu *nadzieja* ma określenie arteterapii!) do dziś utrzymuję kontakt. Do naszej klasy chodziła też autentyczna księżniczka, której uroda mogłaby, moim zdaniem, przyćmić urodę znanej aktorki o tym samym nazwisku, ale że Izabela nie eksponowała swego arystokratycznego pochodzenia, a tabloidów jeszcze wtedy nie było, więc zapamiętałam ją jako Izę, która pewnego razu odpytywana z matematyki przez HaBetę (bardzo przez nas lubianą i szanowaną profesorkę i wychowawczynię, Helenę Bartecką) na środku klasy zemdląła, robiąc tym wielkie wrażenie na nas i na pani profesor. Z inną koleżanką, R.S. wiąże się historia mogąca być przyczynkiem do problemu wychowania za pomocą kontaktu ze sztuką, który jak się chce, można organizować w domu, nawet bez nakładu środków finansowych (choć trzeba zauważyć, że w czasach PRLu uczestnictwo w kulturze było nieporównanie tańsze niż obecnie). R-, z którą spotykałam się częściej niż z innymi koleżankami, zapytana pewnego dnia, czy przyjdzie wieczorem do mnie odpowiedziała, że nie może, bo będzie z tatusem słuchać przez radio symfonii Beethovena, ale jeśli chcę, mogę przyjść do niej i też posłuchać. Gdy przyszłam, zastałam całą rodzinę siedzącą w salonie; o 19.00 ojciec R. włączył radio no i razem z koleżanką, jej rodzeństwem i rodzicami wysłuchaliśmy w skupieniu tego koncertu. Brzmi to egzotycznie w epoce DVD, iphonów i muzyki słuchanej na *okrągło* przez młodzież z nieodłącznymi słuchawkami na uszach, ale tak kiedyś bywało, po prostu słuchało się muzyki klasycznej nadawanej przez radio. Obecnie wybór radia nadającego muzykę poważną, programu II Polskiego Radia, TV Kultura nie wspominając o telewizyjnej stacji Mezzo, z przebogatej oferty wielu innych stacji radiowych i telewizyjnych też budzi zdziwienie, przynajmniej takie odnoszę wrażenie z rozmów ze studentami pedagogiki.

Milczenie jest złotem czyli jak to było na studiach filologii klasycznej.

Studia filologii klasycznej, trwające pięć lat, wspominam przede wszystkim jako czas wielkiej swobody, bo w porównaniu z liceum, wolnego czasu miałam dużo. Wakacje były dłuższe a sobotnie wieczory atrakcyjniejsze. Wypełniały je ubawy w aka-

demikach na Winogradach – (muzycznym *identyfikatorem* tego okresu może być szlager pt. *Petit fleur* (*Mały kwiatek*), grany na saksofonie, no i piosenki Elvisa Presleya) i domowe prywatki, głównie u mnie, bo tylko Madzia K. i ja mieszkaliśmy z rodzicami w Poznaniu. Madzia, wychodząc za mąż niestety przerwała studia, choć była najlepsza na roku, no może z wyjątkiem Jurka D., ale on był bezkonkurencyjny, co potwierdziła jego późniejsza kariera naukowa.

Mimo, że wspomnienia z lat studenckich rozpoczęłam od *otium*, czyli czasu wolnego, to *negotium*, czyli czasu pracy, związanego z uczeniem się, bynajmniej nie lekceważę. Przygotowywanie się do zajęć po prostu wymuszała sytuacja, w jakiej studiowaliśmy: było nas mniej na całym roku niż obecnie liczy połowa jednej grupy seminaryjnej na studiach pedagogicznych, więc każdy student był traktowany indywidualnie. Do wielu przedmiotów nie było jeszcze podręczników, więc trzeba było uważnie słuchać, tego co mówią wykładowcy i notować, bez pomocy notebuków, slajdów i odpowiedzi z Internetu. Profesor Jan Sajdak, który na pierwszym roku wykładał *Wstęp do filologii klasycznej* był, przy całej swej ogromnej wiedzy gawędziarzem, co czasem prowokowało słuchaczy, a zwłaszcza kolegę Z. (późniejszego najmłodszego w historii burmistrza jednego z podpoznańskich miasteczek) do rozmów "nie na temat" a wtedy profesor upominał go słowami: *Si tacuisses philosophus mansisses* (gdybyś milczał, byłbyś filozofem) Mądrość tego porzekadła zrozumiałam w pełni dopiero, gdy byłam w wieku Profesora, czyli całkiem niedawno. Niemal wszyscy wykładowcy, jacy mieli zajęcia z naszym rocznikiem, jeden kolega z roku oraz dwóch naszych nieco starszych kolegów z rocznika poprzedniego zostało profesorami tytularnymi: profesor Kazimierz Liman, specjalista od łaciny średniowiecznej, profesor Andrzej Wójcik, znawca poezji Horacego (jego książka "Talent i sztuka" zasługuje na dużo szerszy krąg czytelników, niż tylko filologów klasycznych, bo z racji choćby tytułu mogła by zainteresować także arteterapeutów), prof. Jan Wikarjak, doskonały metodyk i znawca łaciny klasycznej, zwłaszcza Cyserona, prorektor UAM, profesor Jerzy Kmita, wybitny teoretyk kultury, drugi, obok profesora Pietraszki, prekursor kulturoznawstwa w Polsce, jako magister i asystent profesora Kaczmarka, uczył nas logiki, mojego ulubionego przedmiotu

Ci *nieco starsi koledzy* to: profesor Ignacy Lewandowski, specjalizujący się w łacinie renesansowej, profesor Sylwester Dworacki, hellenista, znawca greckiego dramatu, prorektor UAM w latach 1996 – 2002 i kolega o przezwisku Dżius, który został wprowadzić *tylko* doktorem, ale za to świetnym pedagogiem, o ogromnym poczuciu

humoru, co wśród tej profesji normą nie jest, potwierdza to m.in. jego książka dla nauczycieli traktująca o ich bezradności wobec uczniów zatytułowana "Klasa biega po klasie i nie zwraca uwagi na moje uwagi".

Jednego roku, 30. listopada prof. dr hab. Wiktor Steffen wygłosił wykład z liryki, bardzo ciekawy, przerywany deklamacją własnych przekładów liryków greckich tylko do mnie, bo reszta kolegów – na roku było nas ośmioro – odsypiała Andrzejki i tylko ja, jako gospodyni tej imprezy, poczuwałam się do obowiązku pójścia na wykład.

Drugie takie indywidualne spotkanie z Profesorem - bo nie było żadnej Komisji - miało miejsce 13. maja 1964 i rangę egzaminu magisterskiego. Jego zapis w archiwach uczelnianych niestety nie odpowiada prawdzie, o czym mogliby poświadczyć świadkowie tego wydarzenia, czekający wówczas na mnie z kwiatami pod drzwiami gabinetu, ale czym to wydarzenie – niezdanie egzaminu magisterskiego, mimo średniej ocen powyżej 4, 4 - było dla mnie, wiem tylko ja. Tak wysoką cenę zapłaciłam za to, że zapomniałam zdać przed tym egzaminem zaległego kolokwium (Dramat Ajschylosa "Persowie"). Stąd moja skłonność w późniejszej pracy pedagogicznej do dużej wyrozumiałości wobec studentów, czasem – mam tego świadomość – przez zainteresowanych nadużywana.

O przyjaźni.

Traktat Cyserona *De amicitia* (O przyjaźni), przerabiany na studiach, zaciekawił mnie bardzo osobiście i spowodował, że zjawiskiem przyjaźni zajęłam się naukowo, w stopniu na jaki pozwalał mi posiadany poziom kompetencji. Jako temat pracy magisterskiej wybrałam przyjaźń łączącą Marka Tuliusza Cyserona z Tytusem Pomponiuszem Attykiem. W literaturze, w różnych encyklopediach T.P. Attyk występuje zawsze z określeniem "przyjaciół Cyserona". Życiorys Marka Tuliusza Cyserona jest powszechnie znany z racji tego, że była to "sztandarowa" postać ostatniego okresu republiki rzymskiej; wybitny mąż stanu, konsul, filozof, prawnik, znakomity mówca – całe pokolenia maturzystów w krajach wywodzących się z europejskiego kręgu kulturowego uczyły się retoryki na podstawie "katylinarek" czyli mów Cyserona przeciwko Katylinie, wygłoszonych w Senacie, z tą najsłynniejszą na czele, zaczynającą się od słów: "Qousque tandem, abutere, Catilina, patientia nostra?" (Jak długo, Katylinie, będziesz nadużywał naszej cierpliwości?). Attykiem natomiast historycy zainteresowali się ze względu na to, że Cyseron uważał go za swego najserdeczniejsze-

go przyjaciela. Wiemy o tym z listów, jakie Cyseron pisał do Attyka, a zachowało się ich ponad czterysta (przeczytałam wszystkie, wraz z komentarzami Tyrrela i Pursera, angielskich wydawców korespondencji Cyserona, uwzględniając również dostępne wówczas publikacje francuskie, włoskie i polskie dotyczące Cyserona), ale listy Attyka do Cyserona zaginęły. Cyseron pisał do Attyka o sprawach publicznych i prywatnych, radził się, jak ma postąpić w konkretnej sytuacji, i co? Attyk milczał, choć Cyseron w kolejnych listach ponawiał pytanie. Attyk nie zabierał głosu w sprawach, od których, bez przesady, zależało życie przyjaciela. Po śmierci Tulii, ukochanej córki Cyserona radził mu, by się zajął filozofią, i tak powstały *Tusculanae disputationes* (Rozmowy tuskulańskie)⁷², pierwowzór późniejszych europejskich tekstów konsolacyjnych, pisanych dla pocieszenia się Cyseron, obrońca demokracji zginął zamordowany, a Attyk wiódł spokojne życie bogatego konesera sztuki i wydawcy książek. W burzliwych czasach przewrotów politycznych starał się nie angażować po żadnej stronie, a jeśli już musiał, to zawsze po stronie zwycięzcy. Był typowym konformistą i oportunistą, całkowitym przeciwieństwem Cyserona i tak też go przedstawiłam w świetle listów, jakie do niego pisał Cyseron. Pisząc o Attyku kierowałam się emocjami, a nie tylko chłodną analizą łacińskich tekstów, co jednak tak bardzo nie spodobało się mojemu promotorowi, docentowi S, że przystępując do skomentowania podczas zajęć z naszym rokiem pierwszej wersji mojego tekstu, zdenerwowany zawołał: *taka głowa nadaje się tylko do noszenia koafiury!*⁷³ Nigdy bym nie przypuszczała, że ktoś tak bez reszty - jak mi się wydawało – pochłonięty roztrząsaniem przez cały rok (wykład monograficzny) problemu, z której strony wchodzi na scenę aktor w jednej z komedii Plauta, może zwrócić uwagę na fryzurę studentki, więc nawet nie poczułam się dotknięta taką krytyką. Powiedziałabym nawet, że wprost przeciwnie.

Postać Attyka przypomina mi się od czasu do czasu, bo wciąż zastanawiają mnie kariery ludzi, którzy – tak jak on – potrafią z wszystkich *zawirowań* politycznych wychodzić obronną ręką, zaskarbiać sobie względy kolejnych władców, gromadzić i zachowywać stale pomnażany majątek w czasach gdy inni tracą wszystko, prowadzić

72 Z tego dzieła pochodzi określenie *cultura animi* – uprawa umysłu, przewijające się w podstawowych tekstach z teorii kultury.

73 Nosiło się wówczas różne koki, a że ja włosów zawsze miałam dużo, więc wychodziły z tego różne koafiury – jak wyglądały widać na zdjęciach z lat 60., a jaki był to tekst, przeczytać można w "Litterariach", wydawnictwie Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego pod redakcją prof. Jana Trzynałdowskiego (recenzenta mojego doktoratu i – między innymi – autora pierwszego polskiego tekstu przedstawiającego oryginalną teorię biblioterapii), por. W. Szulc Tytus Pomponiusz Attykus. Rozważania na marginesie korespondencji Cyserona. W: Litteraria T. 16. Prace Nauk. Wr. Tow. Nauk. Wrocław 1984, s. 7 – 20.

niejasne interesy (Attyk prowadził szkołę gladiatorów wykorzystywanych później do walki z (zmieniającymi się) przeciwnikami politycznymi) – a przy tym cieszyć się nieposzlakowaną opinią i przyjaźnią najwybitniejszych osób w państwie.

A jak to się ma do koncepcji kulturoterapii, która określiłam jako *zinstytucjonalizowaną przyjaźń*? Niezależnie od oczekiwań, jakie każdy z nas ma względem faktycznego czy też wymarzonego przyjaciela, myślę, że w przyjaźni liczy się nasze przeświadczenie, że istnieje ktoś, do kogo możemy się zwrócić w potrzebie, opowiedzieć mu o swoich smutkach, rozterkach i radościach, wiedząc że nas nie odrzuci, nie wyśmiej, będzie się cieszył naszymi sukcesami i martwił niepowodzeniami, niekoniecznie będąc na każde nasze zawołanie. Taka nieobowiązująca i tylko korespondencyjna przyjaźń łączy mnie od lat z koleżanką z roku, Kazią G., delikatną, łagodną, sumienną i mającą ongiś pod koniec studiów podobny kłopot jak ja; szczegóły pominę milczeniem.

Piękni dwudziestoletni.⁷⁴

Kajros kojarzy się z radością i szczęściem. Zostawmy więc zdarzenia, przy których Kajrosa nie było i wróćmy do *otium* czyli czasu wolnego. *Otia post negotia* – wypoczynek po pracy, jak mawiał Ciceron. Odpoczynek po roku akademickim a więc studenckie wakacje, zawsze wędrowne i pod namiotem: dwa razy dzikie Bieszczady, jeszcze bez Pętli i Zalewu Solińskiego, potem Kaszuby i pas nadmorski, Sądeckie, Zakopane. I Studencki Żniwny Ochotniczy Hufiec Pracy w PGR na Pomorzu. Nikt z nas z wyjątkiem kolegi R. do pracy się tam nie przykładał więc wstyd nam było, gdy przy rozliczeniu okazało się, że ledwo zarobiliśmy na własne utrzymanie, choć jedzenie było beznadziejne, przeważnie kasza i konserwy, spanie w kilkunastołóżkowej sali, w zdewastowanym pałacu, w dodatku codziennie padał deszcz ale atmosfera wspaniała, po prostu rozsadzała nas radość życia, wciąż modny był *rock and roll*. Poznałam wtedy między innymi Halinę, studentkę stomatologii, byłam jej pierwszą, a później wieloletnią pacjentką i choć pracując w Instytucie Stomatologii poznałam prawdziwych mistrzów w tym zawodzie, to i tak uważam ją za najlepszego lekarza tej specjalności.

Potem były listy z wakacji i listy po wakacjach. Został *List jedyny*, o którym, i o jego nadawcy, napisałam taki wierszyk:

*List bez wyznań, bez zapewnień,
wykrzykników i trzykropków*

*List z refrenem
„A ciebie nie ma”.*

*Chłopiec ponury
z rękami w kieszeniach
Ciasnych džinsów
Nazywał mnie
swoim człowiekiem.*

*Alkesti, dobrej żonie
Wielce się dziwował
Bo trucizny, nie grekę
W Chemicum studiował.*

*Dodał jej – tej”Alkestis”
Śmieszne didaskalia
Lecz ich nie czytałam
bo twista, a nie składni
z nim uczyć się chciałam.*

Złotowłose Archanioł

*Za późno zrozumiałam
Że to Kajros.
I ”Za rzekę w cień drzew”
Z nim nie pojechałam.*

⁷⁴ Marek Hłasko opublikował swoją tak zatytułowaną autobiografię w roku 1966.

Tajemnica poezjoterapii.⁷⁵

Zdecydowałam się przytoczyć ten wierszyk, napisany dawno temu, kiedy jeszcze nikt, nawet w Ameryce, nie pisał o poezjoterapii, by na jego przykładzie pokazać mechanizm tworzenia i działania wierszy pisanych *ku pokrzepieniu serca* (własnego). Takie osobiste wiersze, pisane bez ambicji aspirowania do bycia poetą, są zrozumiałe tylko dla piszącego i ewentualnie – adresata lub bohatera jego wiersza i odnoszą się do sytuacji tylko im znanych. Tak jest w tym wypadku, podobnie jak w wypadku wiersza *Taniec na trzy czwarte*⁷⁶.

Zauważmy więc, że tylko znający lub studiujący literaturę antyczną, lub im *kibicujący* mogą wiedzieć, kim była bohaterka tragedii Ajschylosa Alkestis i co to są didaskalia, tylko ci, co się orientują w nazwach kolegów akademickich wiedzą, że toksykologię studiuje się w Collegium Chemicum, tylko ci, co znają twórczość Ernesta Hemingwaya, bardzo popularną w latach 60. rozpoznają w końcowym wersie tytuł jednej z jego powieści. Co istotniejsze jednak, w takim wierszu nie ma żadnych *prawd ogólnych*, mądrości uniwersalnych, mogących zainteresować szerszy krąg odbiorców, jak to jest w wypadku prawdziwej, dobrej poezji. Co zatem można zrobić z takim wierszem? Można układając go, pocieszać się po stracie, bo strata jest konkluzją tego wiersza, ewentualnie można go wysłać jego bohaterowi, ale – tego jestem pewna – bez nadziei na satysfakcjonującą nas reakcję. Amerykańscy znawcy poezjoterapii opisują zajęcia, inaczej warsztaty pod taką nazwą, ale rozpoznają w nich metodykę prowadzenia warsztatów poetyckich prowadzonych ongiś w licznych – obecnie nie-licznych – domach kultury. Celem warsztatów poezjoterapeutycznych, prowadzonych w szpitalach, jak podają amerykańskie podręczniki, jest doskonalenie techniki pisanie, dyskusowanie o wierszach i dawanie satysfakcji piszącym poprzez umożliwianie publicznej prezentacji ich utworów na spotkaniach grupowych lub w gazetkach wydawanych przez instytucje prowadzące warsztaty.

Mam w ręku tomik wierszy, zatytułowany *Za mną, przede mną*⁷⁷ Kaliny Kowalskiej, подарowany mi przez autorkę zdjęć wykorzystanych jako ilustracja wierszy zamieszczonych w tym tomiku – Bożenę Bielską, absolwentkę Studiów Podyplomowych

Muzykoterapia z arteterapią na UMCS. Wzrusza mnie skromność i leciutka nuta autoironii zawarta w przedmowie od autorki, której fragment, za zgodą Autorki, pozwolę sobie zacytować:

Poezja nie jest jak powietrze – można bez niej żyć, chociaż, jak sędzę, trudno byłoby z niej zrezygnować tym, którzy się w niej rozsmakowali, zwłaszcza piszącym. Głęboka potrzeba tworzenia poezji bywa jednak niezwykle uciążliwa dla otoczenia – staram się o tym pamiętać. Mam świadomość, że pisanie wierszy jest ważne głównie dla mnie. Tak wyraża się moja wolność, przestrzeń powietrzna nad moim terytorium – zawsze otwarta, niechby tylko do lotu nad kukulczym gniazdem

Stwierdzenie, że pisanie wierszy jest ważne głównie dla piszącego jest podstawą poezjoterapii, w której rola poezjoterapeuty sprowadza się do pomocy piszącemu, tak by efekt w postaci wiersza był dla niego możliwie jak najbardziej satysfakcjonujący. Czytanie poezji natomiast, które koi nasz smutek, żal, tęsknotę lub przeciwnie – współgra z naszym radosnym nastrojem, chwilą szczęścia można by nazwać **poezjoterapią receptywną**, analogicznie do muzykoterapii receptywnej, bo jest to odnajdywanie w słowach poety tego, co sami czujemy, ale nie potrafimy tak trafnie wyrazić, jak on. Nic dziwnego: *Prawda odziana w fakty czuje się sztywna i skrępowana, w szacie poezji porusza się lekko i swobodnie* (R. Tagore). Ja, na przykład, z tomiku Kaliny Kowalskiej wybrałabym teraz wiersz *Mogłabym cię pamiętać godzinami* bliski mi poprzez podobieństwo doświadczeń, zawarte w pierwszych wersach:

*Tacie
siedzimy w cieniu orzecha przy stole
przebierasz ziarna gotowanej pszenicy
jak perły
z nich najcenniejsza – słucham
cykania świerszczy
będzie upał mówisz
i wiem że będzie*⁷⁸

a w *Porach roku* Sławomira Krzyński, z tego samego powodu – natychmiast dostrzegłam wiersz zatytułowany *Tajemnica*:

*Uśmiech
Niewinne spojrzenie
Spoglądam na lata minione
Zegar mój nakręciła Matka*

⁷⁵ Najwszechstronniejsze z dostępnych w polskim piśmiennictwie opracowanie poezjo terapii zawiera studium Wiktora Czernianina i Haliny Czernianin pt. *Poezjoterapia jako jedna z metod biblioterapii*, „Przegląd Biblioterapeutyczny”, 2011, r.1. nr 1, s.30 – 79.

⁷⁶ W. Szulc, *Arteterapia. Narodziny idei*, op. cit. S. 160 - 161.

⁷⁷ K. Kowalska /pseudonim/, *Za mną przede mną*. Zdjęcia Bożena Bielska. Projekt okładki Beata Golacik, ŻImmedia Studio. Wyd. 1. Lublin 2011, s. 88.

⁷⁸ K. Kowalska, op. cit., s. 37

Ojciec w tym pomógł
Milczę o kobiecie
Znikającej we mgle

Wydawało mi się, że dobrze znam dr Sławomira Krzyškę, matematyka, filozofa, pracownika naukowego Uniwersytetu, absolwenta m.in. pierwszej edycji Studiów podyplomowych Arteterapia, jakie prowadziłam w GWSHM Milenium w Gnieźnie, ale po przeczytaniu jego wierszy i obejrzeniu robionych przez niego zdjęć natury i krajobrazów (bo pan Sławomir również fotografuje) dostrzegłam coś więcej: skłonność do refleksji, rozumienie milczenia, wy(po)czucie Czasu, coś co Andrzej Zaniwski, autor przedmowy do *Pór roku* opisał następująco: *Trudno mi wyjaśnić, dlaczego właśnie przy tych wierszach, nieznanego mi dotąd poety z Gniezna poczułem nagłą potrzebę spojrzenia w przeszłość, zderzenia z czasem, zastanowienia się co zyskałem, a co straciłem przez te długie lata...*⁷⁹

Poezjoterapeuta, analogicznie jak dobrze przygotowany do zawodu muzykoterapeuta powinien umieć improwizować, czyli tworzyć wiersze *ad hoc*, odpowiadające nastrojowi i osobowości osoby, której pomaga w wyrażeniu jej myśli i emocji. Powinien też znać dużo wierszy, podobnie jak muzykoterapeuta – dużo utworów muzycznych, by wybrać odpowiednie dla osoby, wobec której stosuje poezjoterapię. Czy taka metoda się sprawdza?

Jak najbardziej! Nie znam nikogo, komu nie sprawiłby przyjemności wiersz napisany specjalnie dla niego! Sprawdziłam to też empirycznie na wspomnianych już obozach rehabilitacyjnych, gdzie na zakończenie cyklu zajęć z kulturoterapii pacjenci otrzymywali *portrety* swoich imion lub innego rodzaju wiersze specjalnie dla każdego uczestnika wybrane.

Pro musica.

Ważnym epizodem, z uwagi na późniejszą moją działalność na niwie kultury było zetknięcie się na II roku studiów ze Studenckim Ruchem *Pro Musica* tworzonym przez Norberta Karaśkiewicza. Dużym przeżyciem intelektualno – emocjonalnym okazał się letni obóz dla członków tego ruchu zorganizowany w Trzcińsku-Zdroju na Pomorzu. Tam, w oparach dymu papierosowego (niestety, nasz mistrz był nałogowym palaczem) słuchaliśmy różnej muzyki, z repertuaru z jakim nie zetknęłam się w Ogniu

79 S. Krzyška, Pory roku. LSW, Warszawa 2011, s. 5.

sku Muzycznym: był to impresjonizm (Ravel, Debussy), dodekafonia (Schoenberg), Jazz. Czytaliśmy wiersze Bodelaira, Rilkego, poznawaliśmy życiorysy i obrazy Van Gogha, Maneta, Moneta, Matisa, Picassa.

Pro Musica była odłamem europejskiego ruchu *Jeunesse Musicale*, a *Historia studenckiego ruchu Pro Musica* stała się tematem mojej pracy dyplomowej napisanej na 2 i pół letnim Studium Oświaty Dorosłych prowadzonym przez TWP w Warszawie. Moim promotorem był jeden z najsławniejszych w latach 70. polskich pedagogów, prof. dr hab. Heliodor Muszyński, nadal bardzo aktywny naukowo. Przypomniałam sobie wiedzę zdobytą na tym Studium, niedawno, kiedy przyszło mi w Legnicy prowadzić wykłady z andragogiki.

Kolejnym obszarem realizacji moich muzycznych zainteresowań było Towarzystwo Przyjaciół Opery. Założył je Sławomir Pietras, kolega studiujący prawo, spotykany w „Nurcie”, najważniejszym w latach 60. klubie studenckim w Poznaniu, późniejszy wieloletni, bardzo ambitny i działający z rozmachem dyrektor Teatru Wielkiego w Poznaniu, następnie w Łodzi i ponownie w Poznaniu.

Studium Kulturalno – Oświatowe Uniwersytetu Wrocławskiego i jego twórca prof. Stanisław Pietraszko (1928 – 2010).

Nie skończyłam jeszcze warszawskiego Studium Oświaty i Kultury Dorosłych, a już zapisałam się na studia kolejne. Było to Studium Kulturalno – Oświatowe Uniwersytetu Wrocławskiego. Informację naborze na to studium przeczytała w gazecie moja mama (bo Internetu jeszcze nie było). a ja podzielałam jej radość, że były to studia właśnie na tym Uniwersytecie. Odległość – 164 km kolejną – nie miała wtedy znaczenia. Studia niezwykle, choć pod nazwą podobną do kursów organizowanych przez CRZZ (Centralną Radą Związków Zawodowych) ale do żadnych wcześniejszych, ani późniejszych studiów niepodobne, bo też założył je człowiek niezwykle: doc. dr hab. Stanisław Pietraszko. Był wówczas najmłodszym docentem polonistą w Polsce, przynajmniej tak mówiono, i bardzo do tego stopnia przywiązany, gdyż długo wzbraniał się, choć w pełni na to zasługiwał, przed wystąpieniem z wnioskiem o nadanie tytułu profesora. Zajęcia odbywające się co miesiąc w gmachu Uniwersytetu przy Placu Nankiera, niezbyt przytulnym, w sali, w której „ginęła” garstka kilkunastu słuchaczy były dla mnie prawdziwą uczcą intelektualną. Wykłady prowadzili wykładowcy, którzy wkrótce stali się filarami polskiego kulturoznawstwa, bo to Studium Kulturalno

– Oświatowe było początkiem regularnych, pierwszych w Polsce studiów kulturoznawczych. Wykłady z teorii pracy kulturalno – oświatowej i pedagogiki społecznej prowadzili pedagodzy, którzy również zaistnieli później jako wybitne osobowości w tej dziedzinie nauki: profesorowie Dzierżymir Jankowski i Józef Kargul. Niesamowitym przeżyciem było uczestnictwo w próbach przedstawień reżyserowanych przez Krystynę Skuszanek (Calderona *Życie jest snem*) no i w przedstawieniach Teatru Laboratorium Jerzego Grotowskiego⁸⁰, dyskusje nad *Kartoteką* Tadeusza Różewicza, *Miazgą* Jerzego Andrzejewskiego i *Kulturą masową* Antoniny Kłoskowskiej, natychmiast po opublikowaniu tych epokowych tekstów, słuchanie utworów Krzysztofa Pendereckiego, którego wielka kariera właśnie się rozpoczęła od występu na Warszawskiej Jesieni i oglądanie przy tym partytury jego sławnego utworu pod tytułem *Tren ofiarom Hiroszimy*, oglądanie, bo nie jest to zwykły zapis nutowy, który się czyta; próba zrozumienia teorii względności Einsteina, bo mieliśmy też wykłady z nauk ścisłych, dyskusje nad najnowszymi, ukazującymi się na świecie publikacjami z zakresu teorii kultury, w pierwszym rzędzie francuskimi (tym językiem biegle posługiwał się prof. Pietraszko), np. nad *Duchem czasu* Edgara Morina, pierwsze wydanie akurat ukazało się w Polsce, w roku 1965, w tym samym, w którym ”wystartowało” Studium Kulturalno – Oświatowe Uniwersytetu Wrocławskiego.

Nie tracę nadziei, że jeszcze uda mi się skonstruować program studiów dyplomowych ”Arteterapia” według formuły, jaką nadał swojemu Studium Kulturalno-Oświatowemu Profesor Stanisław Pietraszko.

Jeśli zaś chodzi o wykłady samego Profesora, to odbierałam je przede wszystkim w kategoriach estetycznych (podobnie jak samego Wykładowcę, zamyślonego bruneta w przyciemnionych okularach, czasem ale to już później, podczas seminariów doktorskich, powoli ładującego pykającego fajkę, i ten jej zapach...). Podziwiałam kunsztowną polszczyznę i doskonałą konstrukcję jego wypowiedzi, bo – jakby nie było – byłam już filologiem klasycznym, ale by pojąć cały filozoficzny sens tych wykładów, musiałam samodzielnie sięgać do wielu lektur, których znajomość była dla Profesora oczywista. Ale czyż nie na tym właśnie polega studiowanie?

W okresie nauki na Studium zaprzyjaźniłam się z pochodzącą z Barda Śląskiego Danuską K. (nie pozwoliła nazywać się Danusią, chciała być Danutką). Poza zajęciami nie widywałyśmy się, tylko raz byłam z nią w pewnym ogrodzie na wrocławskich Popowicach,

80 W roku 2008, kiedy do Instytutu Pedagogiki Uniwersytetu Wrocławskiego przyjechali reprezentanci ECARTE z czternastu krajów, pierwsza rzecz o jaką poprosili, było zaprowadzenie ich do Teatru Grotowskiego, aby przynajmniej zobaczyć jego siedzibę we wrocławskim ratuszu, tak wielką sławą cieszy się Grotowski zagranicą.

cach, którym opiekowała się pod nieobecność właścicieli. Zapuszczony ogród wydał mi się bardzo tajemniczy a Danutka pielęgnująca grządki jakoś nie pasująca do autorki poetyckich listów, jakie do mnie pisała, więc tak to ujęłam:

*Ukłon przed lebiądą
Dyg przed żółtlicą
En passant między pokrzywami
Laurencjo, pochylona nad mleczem
Cóż to jest ambiwalencja?*

Danutka za temat pracy dyplomowej obrała sobie współczesną powieść kryminalną jako obraz obyczajowej rzeczywistości, ale do obrony nie przystąpiła, bo była, jak nasz Mistrz- zbyt skromna: uważała że nie zasługuje na dyplom takiego Studium.

Po trzydziestu pięciu latach od ukończenia tego niezwykłego Studium zostałam profesorem Uniwersytetu Wrocławskiego, rezygnując dla niego z zajmowanego już od ośmiu lat stanowiska profesora UAM. Powinna napisać, że spełniło się wtedy moje marzenie, bo faktycznie było to marzenie ”tłące się” we mnie od czasu studiów filologicznych, ale biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich przeszłam na Uniwersytet Wrocławski⁸¹ i ich konsekwencje, myślę, czy nie lepiej byłoby dla Alicji, gdyby pozostała w krainie czarów nie próbując szukać tego, co jest *po tamtej stronie lustra...*

Praca u podstaw nad upowszechnianiem kultury. Zderzenie teorii z praktyką, ideologii z rzeczywistością.

Pierwsze zderzenie nastąpiło w momencie, kiedy przekonałam się, że nie znajdę pracy w zawodzie filologa klasycznego. Zdecydowałam się wówczas przyjąć posadę kierowniczkę świetlicy fabrycznej w zakładzie przemysłowym średniej wielkości, na obrzeżach Poznania. Z zapalem przystąpiłam do realizacji zadań określonych przez przełożonych czyli przewodniczącego Rady Zakładowej branżowego Związku Zawodowego i przewodniczącego Komitetu Zakładowego PZPR. Taki dualizm władzy, merytorycznej i partyjnej funkcjonował wówczas we wszystkich publicznych instytucjach, akademickich również. Te zadania sprowadzały się do jednego: *zaspokajania potrzeb kulturalnych mas*.⁸² Wprawdzie nie mó-

81 Była to sprawa autorstwa i współautorstwa artykułu pt.”Medycyna muzyczna i muzykoterapia”, ”Przewodnik Lekarza” 2002 nr 8,

82 W. Szulc, „U podstaw” systemu kulturalno – oświatowego Polski Ludowej,”Kultura i Oświata”, 1986, nr 1, s.99 - 108

wiono już wówczas o ”masach robotniczo – chłopskich” ale o ”ludziach” – *ludzie chcą, trzeba coś zrobić dla ludzi* itd., bo język propagandy zmienił się trochę po Październiku roku 1956 ale dyrektywy były podobne. Byłam bardzo zaskoczona, kiedy się przekonałam, że nikt, ani zwierzchnicy, ani szeregowi pracownicy fabryki nie uważają siebie za adresata programu upowszechniania kultury, który opracowałam według partyjno – związkowych dyrektyw.

Miałam jeszcze jedną szansę realizowania ”wytycznych polityki kulturalnej”, i to na dużo wyższym szczeblu świadomości i możliwości, kiedy w roku 1968 wybrana zostałam przez Wielkopolską Konferencję Kulturalną do pełnienia funkcji Sekretarza Generalnego Wielkopolskiego Towarzystwa Kulturalnego. Nominacja na to stanowisko wymagała zatwierdzenia przez odpowiedniego sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Podczas rozmowy z tym dygnitarzem, w jego gabinecie w gmachu KW (obecnie w tym gmachu mieści się Wydział Historyczny UAM) zorientowałam się, że wcale nie chodzi o moje kwalifikacje, poświadczone dyplomami. Z tej zaszczytnej funkcji, wiążącej się z posiadaniem do dyspozycji gabinetu w Pałacu Kultury (pokój nr 52 na parterze) i sekretarki, zrezygnowałam najszybciej, jak to było możliwe, przedtem jednak miałam okazję uczestniczenia w czymś naprawdę ważnym.

Pro Sinfonika. ...Jeszcze będziesz mi orłem.

Tym ”czymś” było powstanie młodzieżowego Ruchu Pro Sinfonika. Stworzył go człowiek niespożytej energii, dalekosiężnych pomysłów i stalowej woli – Alojzy Andrzej Łuczak, (1931 – 2011) z wykształcenia socjolog, wówczas dyrektor Filharmonii Poznańskiej, a ja jako Sekretarz Generalny WTK miałam współpracować z dyrektorem Filharmonii przy realizacji społecznych inicjatyw kulturalnych. Nie znałam dyrektora osobiście, słyszałam tylko o jego surowości wobec pracowników, toteż bardzo emocjonalnie zareagowałam, widząc go po raz pierwszy w jego ogromnym gabinecie w gmachu Dyrekcji Filharmonii, naprzeciw Pałacu Kultury⁸³:

Pojechałam z panem Alojzym Łuczakiem do Warszawy przedstawić w Ministerstwie Kultury projekt Pro Sinfoniki. W gmachu Ministerstwa przy Krakowskim Przedmieściu nie ma, w każdym razie nie było wtedy, windy. Wejście na piętro po schodach człowiekowi o kulach zabiera więcej czasu niż osobie sprawnej ruchowo. W efekcie spóźniliśmy się 10 minut na spotkanie wyznaczone na godzinę 15. tą, co w niezbyt uprzejmy sposób wytknął nam urzędujący dyrektor Departamentu Upowszechniania Kultury Czesław K. Pro Sinfoni-

⁸³ Wrażenie z tego spotkania zawarłam w wierszu ”Portret Króla życia, por.”Arteterapia. Narodziny idei... op. cit. s. 162.

ka działa do dziś, tysiące dzieci i młodych ludzi z poznańskich i wielkopolskich szkół dzięki niej zbliżyło się do tzw. poważnej muzyki. O pierwszych latach działalności Pro Sinfoniki mówią książki autorstwa jej założyciela, między innymi „Pro Sinfonika. Skąd idziemy, dokąd zmierzamy?” (1978), Muzyczne Itinerarium. Bardzo ciekawa jest autobiografia A.A. Łuczaka pt. ...*Jeszcze będziesz mi orłem*, mająca w tytule słowa matki autora, która wbrew przeciwnościom losu (ciężka choroba i długa rehabilitacja, nie zakończona pełnym sukcesem) zawsze wierzyła w sukces syna.

A.A. Łuczak lubił szczególnie muzykę Beethovena. W roku 1980 zorganizował w Filharmonii cykl koncertów, na których wykonane zostały po kolei wszystkie symfonie wielkiego kompozytora. Nie zapomnę atmosfery towarzyszącej wykonaniu V Symfonii: w mieście panował strajk, stała komunikacja miejska, mimo to tłumy ludzi przyszły do Filharmonii, ja też, z Osiedla Piastowskiego.

Aura naukowości w Akademii Medycznej.

Po krótkim zawirowaniu związanym z przebywaniem ”na salonach” Pałacu Kultury⁸⁴ i powrotem na kilka miesięcy do fabrycznej rzeczywistości w pachnącej kosmetykami Lechii, znalazłam się w rzeczywistości zupełnie innej, w Akademii Medycznej im. Karola Marcinkowskiego. Tworzyły ją społeczność Biblioteki Głównej AM, z którą związana byłam strukturalnie i społeczność Instytutu Stomatologii, na rzecz potrzeb której pracowałam, prowadząc na terenie Instytutu bibliotekę naukową. Przeczytałam chyba wszystko, co tam było (biblioteka nie była zbyt duża), dzięki czemu dziś wiem na przykład, że za pokazywanymi obecnie w telewizji reklamami środków higieny jamy ustnej stoją doktoraty na temat past i szczoteczek do zębów, płytki nazębnej itp.

Praca w bibliotece nie była bardzo absorbującą, więc miałam czas na zastanawianie się nad tym, co tak mną wstrząsnęło podczas próby ”zaspokojenia potrzeb kulturalnych mas”. Popołudniami, zostawiając dziecko pod opieką mojej mamy a gdy zmarła pod opieką ojca, (rano zawoziłam je do żłobka ⁸⁵), chodziłam do Biblioteki

⁸⁴ Poznański Pałac Kultury, który swoją działalność jako centralnej instytucji upowszechniania kultury w regionie rozpoczął w roku 1962., obecnie nosi nazwę Centrum Kultury Zamek; gmach ten wybudowany został na początku XX w., gdy Poznań znajdował się pod zaborem pruskim, z przeznaczeniem na rezydencję cesarza Wilhelma II.

⁸⁵ Bardzo dobrego, funkcjonującego przy nieistniejącej już Fabryce WYROBÓW Tytoniowych, na zakończenie roku panie opiekunki przygotowywały występy tych maluchów, szczególnie uroczy był występ orkiestry trzylatków, ten pierwszy etap edukacji mojego syna oboje wspominamy bardzo dobrze,

Raczyńskich i systematycznie, rocznik po roczniku przeglądałam stojące na półkach archiwalne czasopisma społeczno kulturalne z lat 1945 – 1956, w sumie około dziesięciu metrów bieżących. Zrobiłam kilka setek fiszek, na których zapisywałam cytaty z wypowiedzi polityków, publicystów, naukowców i twórców z tego okresu na temat kształtu polityki kulturalnej i zapotrzebowania społecznego na sztukę w poszczególnych dziedzinach kultury: na literaturę, muzykę, teatr, film i architekturę. Zebrany materiał sukcesywnie konsultowałam z docentem dr hab. Stanisławem Pietraszką, jeżdżąc na indywidualne seminaria do Wrocławia ⁸⁶ Powstała z tego praca doktorska pod tytułem „Model potrzeb kulturalnych w polityce społecznej Polski Ludowej w latach 1944 – 1956”,

O opinię na temat wstępnej wersji tej pracy mój promotor poprosił profesora Stefana Żółkiewskiego, jednego z autorów koncepcji powojennej polityki kulturalnej, formułowanej z ramienia PPR a później PZPR, byłego Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego, późniejszego dyrektora Instytutu Badań Literackich. W rozmowie ze mną profesor Żółkiewski stwierdził, że mój tekst, choć zawiera cytaty z wypowiedzi przywódców państwa i partii decydujących o polityce kulturalnej, to nie oddaje ducha i intencji tej polityki, zwłaszcza jego osobiście i Włodzimierza Sokorskiego, z którym, jako swoim sąsiadem, nawet chciał mnie poznać; rozmowa bowiem toczyła się w Warszawie, w marcu 1977 roku, w rządowym budynku przy Alei Róż nr 6. Do spotkania z Włodzimierzem Sokorskim nie doszło, ale zauważyłam, że faktycznie, w publikacjach ukazujących się po 1956 roku wielu decydentów i twórców z tzw. „minionego okresu” twierdziło, że „musieli” tak pisać, choć tak wcale nie myśleli. Jakoś im nie współczułam.

Dla historii opowiadanej w tej książce znaczenie ma fakt, że przeprowadzoną na potrzeby doktoratu psychologiczno – socjologiczną analizę pojęcia „potrzeb kulturalnych” ⁸⁷, nawiasem mówiąc pochwaloną przez profesora Żółkiewskiego, wykorzystałam później w koncepcji *kulturoterapii*: kulturoterapia jak i arteterapia są przecież nastawione na zaspokojenie określonych potrzeb człowieka, potrzeby kulturalne nie są priorytetowe, ale mają swoje miejsce w hierarchii ludzkich potrzeb, zmieniające się w zależności od sytuacji życiowej człowieka.

w przeciwieństwie do dalszych – w przedszkolu np. dzieci straszono zamknięciem do piwnicy ze szczurami, o czym dowiedziałam się gdy syn zapytał mnie, co robią szczury w przedszkolu.

⁸⁶ Studia doktorskie obecnie, jak wiadomo, są bardzo sformalizowane, seminaria odbywają się w ramach regularnych studiów III stopnia, tym bardziej jestem wdzięczna za czas i uwagę poświęconą mi przez Pana Profesora Stanisława Pietraszkę w ciągu siedmiu lat pracy nad moim doktoratem.

⁸⁷ Szulc W.: Potrzeby kulturalne – potrzeby ludzkie. Litteraria T. 12. Prace Nauk. Wr. Tow. Nauk., Wrocław 1980, s. 172 – 182

W okresie pisania pracy doktorskiej aprobatę dla moich aspiracji naukowych okazywała Dyrekcja Instytutu Stomatologii, a zwłaszcza Kliniki Chirurgii, z którą sąsiadowała prowadzona przeze mnie przez kilka lat Biblioteka Instytutu Stomatologii. Szczególnie mi życzliwa była pani doc. dr hab. med. Joanna Krajnikowa, nazywana nie bez powodu przez swoich asystentów „Matką”. Kiedy z dumą pokazałam jej maszynopis rozprawy doktorskiej mówiąc: *oto dzieło mego życia*, sprostowała: *dzieło pani życia już chodzi po ziemi* – mając na myśli mego dwuletniego wówczas syna. Miałam też przyjemność współpracować z Kliniką Rehabilitacji Wydziału Lekarskiego. Sławny profesor ortopeda Wiktor Dega zachęcał mnie do napisania książki o biblioterapii ⁸⁸, do której obiecał napisać wstęp. Z rąk Profesora otrzymałam Odznakę Honorową Towarzystwa Walki z Kalectwem. W latach 1999 – 2003 na terenie Szpitala Klinicznego im Wiktora Degi prowadziłam zajęcia dla studentów medycyny z przedmiotu „Sztuka i medycyna”.

W tym stymulującym środowisku naukowym powstała również moja rozprawa habilitacyjna pt. „Kulturoterapia. Wykorzystanie sztuki i działalności kulturalno – oświatowej w lecznictwie”, nagrodzona nagrodą indywidualną Ministra Zdrowia za rok 1995.

Kultura, medycyna i sztuka czyli koncepcja *Kulturoterapii*.

Muszę teraz na chwilę opuścić „moje miasto Poznań”, by pokazać miejsce, gdzie weryfikowana była teoretyczna koncepcja „Kulturoterapii”. Działo się to w latach 1986 – 1991 w Krynicy Morskiej, na sześciu kolejnych obozach rehabilitacyjnych dla pracowników Zakładów Mechanicznych „Zamech” w Elblągu. Szczegółowy opis przebiegu zajęć nazwanych „Kulturoterapią” i ich efektów zawarty jest w książce pod takim tytułem, wydanej w roku 1994, ale z perspektywy ponad dwudziestu lat, jakie upłynęły od podsumowania zebranych na tych obozach doświadczeń ⁸⁹, chciałabym zwrócić uwagę na zjawisko wówczas niezauważalne. Na to mianowicie, że koncepcja kulturoterapii i należąca do niej arteterapia rodziły się w Polsce w momencie wielkiego przełomu społeczno – politycznego. Uświadomili mi to sukcesywnie poznawani od roku 1992 zagraniczni teoretycy arteterapii, uświadomiła też studentka z Kanady,

⁸⁸ Profesor Dega zwykł był dawać do przeczytania rodzicom niepełnosprawnych dzieci książkę Denise Legrieux „Taka się urodziłam”, by ich przekonać, że nawet z najcięższym kalectwem, przy silnej woli i pomocy otoczenia można prowadzić satysfakcjonujące życie.

⁸⁹ W. Szulc, Kulturoterapia., op.cit., cz. II Model kulturoterapii, por. W. Szulc, Arteterapia. Narodziny idei, op.cit. s.49 - 54

przebywająca w roku 2009 na stypendium w Pradze, która stamtąd specjalnie przyjechała do Polski, by uzyskać odpowiedź na pytanie: jak zmiana ustroju wpłynęła na sytuację arteterapii w Polsce? Zmusiło mnie to do zastanowienia się. Raz jeszcze przejrzałam materiały archiwalne, wykorzystane w pracy nad habilitacją (*Kulturoterapia* była moją rozprawą habilitacyjną) i stwierdziłam, że to, co potraktowałam wówczas marginalnie, czyli wypowiedzi uczestników obozu nie mające związku z zajęciami o charakterze rekreacyjno – artystycznym, to faktycznie były sprawy dla nich najważniejsze: praca i sytuacja polityczna kraju. Chcieli i lubili opowiadać o swojej pracy zawodowej. Mieli satysfakcję, mogąc pochwalić się swoimi zawodowymi kompetencjami spawacza, suwnicowej, telefonistki, inżyniera. Utratę pracy – ”Zamech” był jednym z pierwszych zakładów sprzedanych inwestorowi zagranicznemu, (szwajcarskiemu koncernowi ABB), traktowali jako realne zagrożenie.,

Czym wobec tego była **sztuka** znajdująca się w programie zajęć kulturoterapeutycznych? Była **przynętą**, pretekstem do rozmawiania na tematy naprawdę ważne dla pacjentów. Nie jest to, oczywiście sposób na arteterapię wobec wszystkich, ale wobec osób, które kiedykolwiek pracowały i miały problemy związane z zatrudnieniem, na pewno tak, przynajmniej dowodzi tego moje doświadczenie.

Wielki Świat arteterapii.

Zanim przejdę do impresji na temat kontaktów z najsławniejszymi na świecie ośrodkami arteterapii pragnę przypomnieć, że polska droga w ten wielki świat miała swój początek w poznańskiej Akademii Medycznej i szkoda ten fakt wymazywać z pamięci, późniejsze szlaki prowadziły z Kalisza, gdzie mieści się Wydział Pedagogiczny – Artystyczny UAM, następnie z Uniwersytetu Wrocławskiego oraz z PWSZ im. Witelona w Legnicy. W Akademii Medycznej w Poznaniu już w latach 80. ub. w. nawiązany został sojusz medycyny ze sztuką, najpierw na Wydziale Pielęgniarskim, późniejszym Wydziale Nauk o Zdrowiu, następnie na Wydziałach Lekarskich I i II., czego efektem było wydanie przez Akademię Medyczną książek: *Kulturoterapia* (1988/1994) i *Sztuka w służbie medycyny od antyku do postmodernizmu* (2001), przyjęcie na roczny staż z kulturoterapii finansowany przez polskie Ministerstwo Zdrowia w roku akademickim 1995/96 pani Marjan Borgers, absolwentki Wyższej Szkoły Dramaterapii z Amersfoort w Holandii, wreszcie wprowadzenie do programów studiów medycznych przedmiotów Kulturoterapia (od roku 1984) oraz Sztuka w medycynie (od roku 1997), realizowanych nieprzerwanie do roku 2003.

Holenderska stażystka studiuje polską Kulturoterapię.

Nie wiem czego tak naprawdę nauczyła się ode mnie Marjan, dyplomowana dramaterapeutka z Holandii, bo zajęcia ze studentami, w których uczestniczyła, prowadziłam po polsku, a ten język słabo знаła, więc później omawialiśmy je po angielsku. Wyjeżdżając podarowała mi angielskie wydanie *Kubusia Puchatka*⁹⁰, a w napisanych, na moją prośbę, wrażeniach z Polski stwierdziła, że najbardziej podobało się jej rodzinne Boże Narodzenie, a zdziwiły obchody Dnia Zmarłych. Ja natomiast od niej nauczyłam się bardzo dużo, przeczytałam jej pracę dyplomową na temat przebiegu arte-dramaterapii z dzieckiem, którego problem (*sexual abuse*) ujawnił się dopiero po wielu sesjach, dowiedziałam się, jak wygląda w Holandii studiowanie arteterapii, a dokładniej – terapii kreatywnych (*Creative Arts Therapy*), którymi są: arteterapia za pomocą sztuk plastycznych, dramaterapia, muzykoterapia, terapia tańcem i hortikulturoterapia (terapia ogrodowa) oraz ich praktyczne stosowanie. Z tego, co mówiła Marjan i o czym można przeczytać w holenderskich wydawnictwach na temat arteterapii wynika, że obowiązują tam następujące zasady:

90 W napisanej po angielsku dedykacji na karcie tytułowej „Winnie The Pooh” zgrabnie nawiązuje do przyznanego mi właśnie tytułu dr hab. pisząc: *To pani Wita, with all the well deserved titles* i wyraża nadzieję, że owocna przyszłość jaka się rysuje przed arteterapią (*Creative Arts Therapy*) sprawi, że każda z nas będzie mogła mieć w niej swój własny udział.

- nie jest wymagana wstępna diagnoza z poradni psychologicznej, arteterapeuta rozpoczynając pracę z dzieckiem, skierowanym przez szkołę z powodu trudności wychowawczych, jakie sprawia, sam dochodzi ich przyczyny obserwując dziecko podczas zajęć
- podstawową zasadą jest zapewnienie dziecku bezpieczeństwa, znakiem tego są zamknięte drzwi gabinetu : dziecko widzi, jak zamyka je terapeuta, na klamkę, nie na klucz, i naturalna bariera oddzielająca dziecko od terapeuty – stół
- gabinet wyposażony jest w wiele przedmiotów służących do zabawy, dziecko wybiera to, co mu się podoba, arteterapeuta proponuje zabawę z ich użyciem i cały czas sprawdza reakcje dziecka
- arteterapia, by działać, musi trwać długo, co najmniej kilka miesięcy

Międzynarodowe konferencje źródłem wiedzy o arteterapii.

Co roku w różnych krajach świata odbywają się różne konferencje na temat arteterapii, ale najwyższy poziom mają te firmowane przez wielkie międzynarodowe organizacje; EMTC, WFMT, ECArTE, International Music Medicine. W wielu takich konferencjach uczestniczyłam, zdobywając wiedzę z ”pierwszej ręki”, bo słuchałam referatów, uczestniczyłam w warsztatach, dostawałam i kupowałam książki, wymieniałam opinie z najwybitniejszymi przedstawicielami tej dyscypliny naukowej, traktując to wszystko jako najlepsze źródło wiedzy o arteterapii; prezentowałam również własne referaty i postery (plakaty), tym śmieiej, że po ”debiucie” w najbardziej nobilitującym naukowca miejscu w Europie, czyli na Uniwersytecie w Cambridge, inne fora już nie były mi straszne.

Najpierw muzykoterapia. Cambridge, 1992.

Moja przygoda ze światową arteterapią, podobnie jak z polską,⁹¹ rozpoczęła się od muzykoterapii i miała miejsce w angielskim Uniwersytecie w Cambridge, a dokładniej Kolegium Uniwersyteckim *King's College, Cambridge*. Muszę zaznaczyć, że angielskim, ponieważ Cambridge to również dzielnica Bostonu w amerykańskim stanie Massachusetts, w której znajduje się nie mniej sławny Uniwersytet Harvarda.

91 O pionierach polskiej muzykoterapii, których poznałam na przełomie lat 70. i 80. ub. wieku pisałam we Wstępie do książki ”Muzykoterapia jako przedmiot badań i edukacji. UMCS Lublin, 2005.

W Bostonie również byłam, w Instytucie Muzykoterapii, w Berklee College - kierowanym przez prof. dr Susanne Hanser, ale po kolei.

O planowanej międzynarodowej konferencji muzykoterapeutów w King's College, Cambridge dowiedziałam się od profesora Tadeusza Natanson, który na ostatnim "Spotkaniu Współpracowników Zakładu Muzykoterapii" Akademii Muzycznej im. K. Lipińskiego we Wrocławiu, w jakim uczestniczył tuż przed swoją niespodziewaną, przedwczesną śmiercią w 1991 roku dał mi ulotkę z przetłumaczonym przez siebie tekstem pt.: "Muzykoterapeuci dla pokoju". Była tam m.in. zapowiedź konferencji pt.: "Muzykoterapia dla zdrowia i edukacji Unii Europejskiej", która miała się odbyć w jednym z najsłynniejszych uniwersytetów na świecie, czyli w Cambridge właśnie, w dniach od 1. do 4. kwietnia 1992 r. I tak, choć nigdy przedtem nie byłam na żadnej zagranicznej konferencji, postanowiłam zaryzykować i wysłałam zgłoszenie wraz z opisem plakatu pt.: "Arts in medicine in ancien Greece". Wywiązała się ożywiona korespondencja (listowna, nie e-mailowa!) z panią Denise Christopher, pełniącą funkcję administratora konferencji. Denize, która spotykałam później jeszcze kilkakrotnie na innych konferencjach bardzo się ucieszyła, że przyjedzie ktoś z byłego obozu socjalistycznego. I rzeczywiście, byłam tylko ja i wzbudzałam sensację jako osoba "zza żelaznej kurtyny".

W Cambridge przyjęto mnie bardzo życzliwie, a nawet wylewnie. Dr Anne Sloboda (córnka Johna, autora książek o muzykoterapii, przetłumaczonych także na język polski, specjalizująca się w muzykoterapii osób cierpiących na anoreksję) proponowała gościć u siebie. Podchodziły do mnie, aby się przywitać panie i panowie o nazwiskach znanych z książek, artykułów i pełnionych funkcji. Poznałam więc wtedy przedstawicielki Stanów Zjednoczonych AP: prof. dr Cheryl Dileo Maranto z Temple University, pełniącą wówczas funkcję vice Prezydenta Amerykańskiego Stowarzyszenia Muzykoterapeutów, a kilka lat później już Prezydenta Światowej Federacji Muzykoterapii, specjalizującą się w medycynie muzycznej, panią dr Barbarę Wheeler i pana dr Kennetha Bruschię, , autorów najważniejszych książek poświęconych metodologii badań naukowych w muzykoterapii. Podczas konferencji dr Kenneth Bruschia mówił o definiowaniu muzykoterapii, wkrótce potem zaczęły ukazywać się jego teoretyczne artykuły w książkach pod redakcją prof. Barbary Wheeler, wyjaśniających metodologię badań naukowych w muzykoterapii, z podziałem na badania ilościowe i jakościowe.^{92:} "Poznałam prof. dr Barbarę Suzanne Hanser, późniejszą przewodniczącą Światowej Federacji Muzykoterapii, dyrektorkę Instytutu Muzykoterapii w Bostonie,

92 B. Wheeler (Ed.), *Music Therapy Research. Quantitative and Qualitative Perspectives*.

obecną również w Krems (Austria) w listopadzie 2012 r. na kolejnej konferencji na temat zastosowań muzyki w medycynie z cyklu konferencji organizowanych przez International *Music Medicine*, podobnie jak prof. dr Cheryl Dileo należącą do grona najwyższych na świecie autorytetów w tej dziedzinie.

Wybitni europejscy muzykoterapeuci, obecni na tamtej konferencji (ogółem na konferencji było 240 uczestników z całego świata, z wszystkich kontynentów poza Arktyką i Antarktydą) to m.in. :dr Tony Wigram (1953 – 2011), profesor muzykoterapii jednocześnie na Uniwersytetach Londyńskim i duńskim, w Aalborgu, specjalista w zakresie muzykoterapii osób z głębokimi deficytami rozwojowymi, późniejszy prezydent Światowej Federacji Muzykoterapii, prof. dr Dawid Aldridge z Niemiec, wówczas dyrektor Instytutu Muzykoterapii Psychosomatycznej w Uniwersytecie Witten-Herdecke, z żoną Gudrun, też muzykoterapeutką, autor dziesiątek artykułów i kilku książek, z których najbardziej znaną, o badaniach naukowych i praktyce muzykoterapeutycznej w medycynie⁹³ podarował mi wraz z miłą dedykacją na kolejnym Światowym Kongresie Muzykoterapii w Hamburgu w roku 1996. Inni "wielcy obecni" to. prof. dr Even Ruud, dyrektor Instytutu Muzyki, Teatru i Literatury Uniwersytetu w Oslo i prof. dr Brynjulf Stige z Wyższej Szkoły Pedagogiki Specjalnej i Muzykoterapii w Sandane, obecnie w Bergen. Szybko się przekonałam, że poglądy tych uczonych norweskich są mi szczególnie bliskie – chodzi o koncepcję jakości życia, w której muzyka odgrywa ogromną rolę i teorię muzykoterapii skoncentrowanej na kulturze, bliską mojej koncepcji kulturoterapii⁹⁴. Dzięki tej zbieżności poglądów zaproszona zostałam kilka lat później do wygłoszenia wykładu o "Kulturoterapii" w Oslo i do zapoznania się z funkcjonowaniem programu nauczania muzykoterapii, dostępnego wówczas bezpłatnie dla studentów z Europy wschodniej, a realizowanego w Sandane. Z programu skorzystali m.in. studenci i pracownicy Uniwersytetu Pedagogicznego w Wilnie, z Polski kandydatów nie było.

Sandane to małe miasteczko położone malowniczo nad fiordem, 12 godzin jazdy autobusem na północny zachód od Oslo. Nie mogłam się nadziwić, znając polskie realia, że uczelnia ta zatrudniała tylko 5 pracowników (nie miała odrębnej administracji), którzy zajmowali się nie tylko dydaktyką ale również wydawaniem jednego z najważniejszych czasopism muzykoterapeutycznych na świecie pod tytułem

93 D. Aldridge, *Music Therapy Research and Practice in Medicine. From Out of the Silence*. Jessica Kingsley Publ. London and Bristol, Pennsylvania, s.326 Cenię sobie bardzo tę książkę, z osobistą dedykacją od Państwa Dawida i Gudrun Aldridge i uważam, że koniecznie powinna być przetłumaczona w całości na język polski.

94 B. Stige, *Culture Centered Music Therapy*. Barcelona Publ. Gilsum NH, 2002, s. 361

”Nordic Journal of Music Therapy” (NJMT).

Pozostańmy jednak jeszcze w Cambridge.”Gwiazdą” wspomianej konferencji był niewątpliwie dr Clive Robbins, współtwórca znanego już także u nas Centrum Muzykoterapii Kreatywnej. Nie ja jedna ocierałam łzy oglądając na wielkim ekranie uniwersyteckiej auli film pokazujący krok po kroku, jak wspólne muzykowanie dwojga znakomitych muzykoterapeutów, Cliva Robbinsa i jego żony w roli pomocnika terapeuty, z małą dziewczynką z mózgowym porażeniem dziecięcym, z największym trudem poruszającą się, w dodatku ociemniałą i głuchą (!) powoduje, że dziecko dosłownie odżywa: prostuje się, rytmicznie, w takt muzyki porusza się i głośno, radośnie śmieje się. Clive Robin też okazał zainteresowanie Polską, mówił, że zna muzykoterapeutów z Krakowa tylko nazwisk nie pamięta i że chętnie do Polski przyjechałby (bo w Cambridge był przejazdem z Nowego Jorku do Australii). Jak wiadomo – przyjechał ale dopiero 3 lata temu, no i dopilnował wydania swojej książki o muzykoterapii dzieci specjalnej troski przetłumaczonej na język polski. A z Australii uczestniczyły w konferencji panie Ruth Bright, specjalistka w zakresie muzykoterapii geriatrycznej⁹⁵, była Przewodnicząca Światowej Federacji Muzykoterapii, mówiąca w swoim referacie o kulturowych aspektach muzyki w terapii oraz przyznająca się do polskich korzeni Felicity Baker, często publikująca we wspomnianym periodyku norweskim. Z Republiki Południowej Afryki przyjechała prof. Mercedes Pawlicević (Serbka z pochodzenia), dla której odległości najwyraźniej nie mają znaczenia, sądząc po licznych konferencjach europejskich i amerykańskich, w jakich uczestniczy. Jej teksty również często goszczą na łamach NJMT.

Konferencja była perfekcyjnie zorganizowana; nikt ani o minutę nie przedłużał swojego wystąpienia, i nikt też się nie spóźniał. Pamiętam, jak na wykład profesora Kimmo Lehtonen z Finlandii nieco ekscentrycznego, specjalizującego się w bardzo ciężkich zaburzeniach psychicznych leczonych muzyką (np. Hektora Berlioza) spóźniłam się naprawdę o tę jedną minutę, i byłam ostatnią osobą, która weszła na salę. Prof. Lehtonen w roku 2004 jako jeden z współorganizatorów Europejskiej Konferencji Muzykoterapii na swoim macierzystym Uniwersytecie w Jyväskylä przewodniczył sesji, na której wygłaszałam wspólny referat z panią Ilse Wolfram z Niemiec pt.”Muzykanci z Bremy jako bajka muzykoterapeutyczna”. Ku memu zdziwieniu mnie poznał i przypomniał spotkanie w Cambridge – czyżby z powodu tego spóźnienia...?

95 R. Wright, Music in Geriatric Care. Wahroonga, 1991. Autorka osobiście wytłumaczyła mi różnice między pojęciami ”pacjent” i ”klient” i specyfikę sytuacji ludzi starych w Australii, co powtórzyłam w książce pt. :”Muzykoterapia jako przedmiot badań i edukacji”, UMCS, Lublin, 2005, na s. 89.

Byłam później na wielu zagranicznych konferencjach, ale tę w Cambridge zapamiętałam szczególnie. Powód przyjemny to atmosfera tego historycznego, miejsca; przecież zdjęcie dostojnych gmachów Kolegium z przepiękną gotycką kaplicą z charakterystyczną smukłą wieżą widnieje we wszystkich przewodnikach turystycznych. Mieszkanie w starym gmachu Kolegium (to też był dowód szczególnego wyróżnienia, bo większość uczestników konferencji zakwaterowana została w nowoczesnym hotelu) też miało swój urok, no i wytworne posiłki serwowane w średniowiecznym refektarzu, urządzonym bardzo skromnie – drewniane długie stoły i ławy, chyba te same, na których, zgodnie z respektowanym od początku istnienia Kolegium zwyczajem siedzieli i przy których jadali profesorowie wraz ze studentami.

Niestety, z Cambridge, prócz tych miłych wspomnień przywiozłam jedno bardzo przykre. W drodze powrotnej z Anglii skradziony został mój samochód, którym nieopatrznie wybrałam się w tę daleką podróż z dwudziestojednoletnim synem w roli kierowcy., ale też uczestnika konferencji, w charakterze osoby towarzyszącej, co zostało odnotowane w *Proceedings book* czyli w Materiałach konferencyjnych. Kierowca w ruchu lewostronnym spisywał się świetnie, ale wystarczyło kilka godzin postoju w Londynie, w drodze powrotnej, w spokojnej, wydawałoby się dzielnicy Ealing, by zaparkowany tam samochód w samo południe po prostu zniknął. Zostało po nim kilka odłamków szkła z wybitej szyby i dokumenty, bo te zawsze noszę przy sobie. Samochód marki Audi100 miał wprawdzie ponad 10 lat ale prezentował się całkiem dobrze, bo po ostatniej próbie włamania do niego w Polsce (a było ich kilka, może więc należało to potraktować jako ostrzeżenie?) został pięknie odmalowany na białło i mógł cieszyć oczy. W samochodzie został cały nasz bagaż, w tym plakat (ale w torbie miałam aparat fotograficzny, więc po powrocie mogłam wywołać zdjęcia z tej konferencji) i bilety na prom *Stena Line*. Policja angielska ograniczyła się do przyjęcia zawiadomienia o kradzieży, a policja polska sprawą w ogóle nie chciała się zająć, bo kradzież miała miejsce poza jej terytorium. Równo rok później dostałam zawiadomienie, że w Polsce znalazła się tablica rejestracyjna mojego *Audi* przyczepiona do starego, porzuconego ”Żuka”. I tyle. ”Zielonej karty” przed podróżą nie wykupiłam więc żadnego odszkodowania nie dostałam. Czy zatem ten mój wyjazd na pierwszą konferencję muzykoterapii o zasięgu światowym wart był takiej cen? Z perspektywy lat oceniam, że mimo wszystko tak.

Co oznaczają skróty ECArTE, EMTC, WFMT, IMM?

Są to skróty nazw najważniejszych organizacji międzynarodowych, z którymi współpracowałam, zrzeszających osoby, stowarzyszenia lub uczelnie zajmujące się różnymi dyscyplinami terapii przez sztukę i tak ECArTE czyli *European Consortium for Arts Therapies Education* to jest Europejskie Konsorcjum Edukacji w Arteterapii., Skróć EMTC *European Music Therapy Confederation* to Europejska Konfederacja Muzykoterapii i/lub bo skróć jest taki sam: *European Music Therapy Committee* czyli Europejski Komitet Muzykoterapii, WFMT (*World Federation of Music Therapy*) to Światowa Federacja Muzykoterapii. Skróć IMM (*International Music Medicine*) dotyczy organizacji międzynarodowej, zrzeszającej najwyższej klasy specjalistów z dziedziny muzykoterapii oraz lekarzy, w większości anestezjologów, zajmujących się włączaniem muzyki do procedur medycznych.

Medycyna muzyczna a muzykoterapia.

Dziwne losy referatu Profesor Cheryl Dileo.

Następną po Cambridge wielką konferencją muzykoterapeutów był VIII Światowy Kongres Muzykoterapii w Hamburgu w roku 1996. Pojechałam tam z p. dr Kingą Lewandowską z Gdańska, od lat specjalizującą się w muzykoterapii dzieci. Z warszawskiej Akademii Pedagogiki Specjalnej przyjechał prof. Andrzej Stadnicki, który ten ogromny kongres (ponad tysiąc uczestników) „rozruszał”, prowadząc w ostatnim dniu niesamowite warsztaty taneczne; miło było w rytm polskiego poloneza kroczyć w korowodzie ponad setki par przemierzając korytarze i schody hamburskiego World Trade Center.

A w pierwszym dniu w skupieniu, a momentami i ze wzruszeniem wszyscy wysłuchali referatu pt. „Nowe kierunki i badania naukowe w medycynie muzycznej i muzykoterapii”, który wygłosiła prof. dr Cheryl Dileo Maranto (dyrektor Instytutu Muzykoterapii) w Temple University, PA ⁹⁶, największy do dziś autorytet na świecie w kwestii stosowania muzyki w medycynie. Referat ten mnie szczególnie zaniepokoił i poruszył z następujących względów:

- było to wyraźne i jasno wytłumaczone rozróżnienie między profesjonalną muzykoterapią, prowadzoną przez wykształconego w tym zawodzie muzykoterapeutę a stosowaniem muzyki przez lekarzy i innych pracowników medycznych w szpitalach do wywoływania

⁹⁶ Tytuł oryginału: „New direction and research in music therapy and music medicine”. Tłumaczenie dostępne w internecie, od roku 2010, na stronie www.arteterapia.pl, Prof. Dileo od roku 2012 jest kierownikiem studiów doktorskich z muzykoterapii na Uniwersytecie Temple, PA (USA).

korzystnych zmian fizjologicznych w organizmie pacjenta i zmniejszenia odczuwania bólu, - autorka referatu otwarcie mówiła o swoich bardzo osobistych odczuciach związanych ze śmiercią najbliższej osoby,

- rzeczowy wykład, świadczący o posiadaniu przez autorkę odpowiedniej specjalistycznej wiedzy z zakresu immunologii, biologii i fizjologii człowieka zakończony został poetycką metaforą, zaczerpniętą z książki Barascha: ⁹⁷, której odpowiedni fragment pozwoliłam sobie przetłumaczyć tak: *z ciemnego labiryntu życia nie ma prostej drogi ucieczki. Na każdej stacji tej podróży jest wybór, punkt zwrotny. I niezależnie od tego, czy nasze Życie jest pełne bólu czy różnych możliwości, nawet jeśli czujemy, że nasze nogi prowadzą nas do labiryntu, nie powinniśmy zaciskać oczu, ale mieć je szeroko otwarte, a wówczas z pewnością dostrzeżemy drogę twórczej odpowiedzi* ⁹⁸

Zależało mi na dokładnym przestudiowaniu tego tekstu więc poprosiłam prof. Cheryl o przysłanie mi go, i w ten sposób trafił on do moich rąk. Problem różnicy między medycyną muzyczną a muzykoterapią omówiłam w książce „Sztuka w służbie medycyny...”⁹⁹ powołując się na teksty prof. Maranto. Tymczasem w roku 2002 ukazał się w czasopiśmie medycznym artykuł podpisany czterema nazwiskami (moim na pierwszym miejscu, choć artykułu nie autoryzowałam ani nie dostarczyłam do redakcji) bez odsyłaczy do wcześniej wydanej książki i referatu prof. Dileo. Wydawca przeprosił mnie i prof. Dileo po dziesięciu (!) latach, a o tym, co się działo w tzw. międzyczasie pisały gazety codzienne i naukowe czasopisma prawnicze⁹⁹.

Temedia sp. z o.o. – wydawca „Przewodnika Lekarza” – niniejszym przeprosza dr hab. Witę Szulc za dokonaną bez jej zgody publikację nieautoryzowanego artykułu „Muzyka w medycynie a muzykoterapia”, który ukazał się w „Przewodniku Lekarza” nr 8 (44)/2002 .
Opublikowanie tego artykułu w takim kształcie stanowiło naruszenie jej słuszných praw i godziło w jej dobra osobiste, narażając na szwank jej dobre imię i dorobek naukowy. Opublikowany tekst nie zawierał przypisów m.in. do wcześniejszej publikacji dr hab. Wity Szulc (tj. książki „Sztuka w służbie medycyny. Od antyku do postmodernizmu” – s. 83–86, 111–115 oraz w zakresie bibliografii s. 93–94, 124) oraz publikacji autorstwa prof. dr. Cheryl Dileo („New direction and research in Music Therapy and Music Medicine”) wykorzystanych w tym artykule.

⁹⁷ M.I. Barasch, *The healing path: A soul approach to illness*. Arkana, New York 1993 Cytuję za” C. Maranto, *New direction...* op.cit.

⁹⁸ W. Szulc, *Sztuka w służbie medycyny...* op.cit. s. 115.

⁹⁹ or. m.in.: S. Stanisławska – Kloc, *Prawo do autorstwa i współautorstwa (Uwagi na tle orzecznictwa Sądu Najwyższego z dn. 25. Maja 2011 II CSK 527/10)* W: *Transformacja prawa prywatnego*. 2012 nr 2 JSSU 1641 - 1609.

Co robi Europejski Komitet Muzykoterapii EMTC?

Europejski Komitet Muzykoterapii zrzesza delegatów organizacji muzykoterapeutów z krajów należących do Unii Europejskiej, oraz przedstawicielstwa krajów kandydujących do Unii (m.in. Chorwacji) a także Izraela i Cypru, ogółem 27 krajów. Działalność EMTC opiera się na konstytucji i postanowieniach przyjętych oficjalnie przez organizacje muzykoterapii w krajach należących do EMTC. EMTC zastrzega, że członkowie Komisji nie reprezentują swoich krajowych stowarzyszeń ale Europejski Komitet Muzykoterapii jako całość.

W roku 1996, na VIII Światowym Kongresie Muzykoterapii w Hamburgu zaproszona zostałam do tego Komitetu i odtąd nieprzerwanie do roku 2011 uczestniczyłam, w jego spotkaniach (General Assembly), reprezentując Polskę i od czasu jego powstania - Stowarzyszenie Arteterapeutów Polskich Kajros .

Europejska Konfederacja Muzykoterapii w roku 2005 uzyskała oficjalny status organizacji międzynarodowej w Unii Europejskiej i działa w oparciu o prawo belgijskie. Zadaniem delegatów EMTC jest ustalać i zacieśniać więzi między EMTC a krajowymi organizacjami muzykoterapii. Europejski Komitet Muzykoterapii działa jako forum dyskusyjne w kwestii kształcenia muzykoterapeutów, badań naukowych, praktyki klinicznej, tożsamości zawodowej i uznania (legalności) zawodu muzykoterapeuty przez władze państwowe.

Ilse Wolfram reprezentująca w EMTC Niemcy i zajmująca się Europejskim Rejestrem Muzykoterapeutów EMTR (*European Music Therapy Register*) w liście z dnia 16.03. 2010 r. do prezesa SAP „Kajros” przedstawiła wymagania, jakim musi sprostać reprezentant krajowego stowarzyszenia muzykoterapeutów, musi mianowicie

- mieć europejskie spojrzenie na kwestię zawodu muzykoterapeuty i orientować się w polityce europejskiej
- umieć wzniesić się ponad indywidualne interesy własnego kraju
- znać historię i proces tworzenia Rejestru i śledzić kolejne ustalenia w tej kwestii
- mieć motywację i czerpać radość z pracy w Komisji
- interesować się zagadnieniami prawnymi i mieć świadomość zasad demokracji
- reagować na komunikaty przysyłane pocztą elektroniczną
- znać język angielski
- mieć możliwość i umiejętności gromadzenia informacji w formie dokumentów
- umieć dobrze posługiwać się komputerem

- dobrze sobie radzić z rejestracją danych i mieć doświadczenie w sprawach edukacji
- być zdolnym do dialogu i dyskusji
- mieć zdolności organizacyjne i umieć logicznie myśleć
- nie obawiać się mówić tego co myśli
- dobrze sobie radzić w sprawach społecznych (sc. relacji międzyludzkich)

Przez lata współpracy z EMTC starałam się sprostać tym wymaganiom.

Prace Europejskiego Komitetu Muzykoterapii przebiegają w kilku komisjach, są to Komisje Superwizji, Edukacji, Etyki oraz Komisja Badań Naukowych. W latach 2003 – 2010, za kadencji prof. Josa DeBackera (Belgia) pracowałam w Komisji Edukacji, efektem tej pracy jest książka pt.”Muzykoterapia jako przedmiot edukacji i badań naukowych”, Wyd. Naukowe UMCS, Lublin 2005.W roku 2011, na spotkaniu Europejskiego Komitetu Muzykoterapii we Wiedniu, złożyłam akces do Komisji Badań Naukowych.

Co trzy lata EMTC organizuje konferencje europejskie, do chwili obecnej odbyło się osiem, (uczestniczyłam w sześciu): 1989 w Wielkiej Brytanii, 1992 w Hiszpanii, (Vittoria-Gastez), 1995 w Danii, w 1998 w Belgii, w 2001 we Włoszech, w 2004 w Finlandii, w 2007 w Holandii, w 2010 w Hiszpanii (Kadyks), następna ponownie w Finlandii, na Uniwersytecie w Jyväskylä.

Regularnie, co kwartał publikowane są w internecie Biuletyny EMTC („Newsletter”), a po corocznych posiedzeniach EMTC, nazywanych *General Assembly* publikowane są raporty, z których można się dowiedzieć, czym jest muzykoterapia i jak należy ją prowadzić, według standardów wypracowanych przez EMTC, o czym nie wszyscy w Polsce wiedzą, choć gabinetów i kursów z ”Muzykoterapią” w nazwie jest coraz więcej. Na posiedzeniu Zgromadzenia Ogólnego EMTC w Jerozolimie w roku 2000 przyjęto, że:

Muzykoterapia jest ogólnie uznaną i stosowaną metodą terapii artystycznej, która znajduje zastosowanie zarówno w klinikach jak i otwartym systemie opieki zdrowotnej. Uznana została przez Światową Organizację Zdrowia za zawód medyczny ”zasługujący na promocję”. Muzykoterapia jako zawód medyczny uznana jest w wielu krajach europejskich przez państwowe i prywatne uniwersytety i szkoły muzyczne na poziomie uniwersyteckim, z możliwością uzyskiwania stopnia doktora filozofii, doktora sztuki muzycznej i doktora nauk humanistycznych, a także przez prywatne szkoły zawodowe. Podstawy teoretyczne, metody i programy (koncepcje) kształcenia są różne. Oficjalny raport EMTC mówi, że:

Muzykoterapia jest niezależną dyscypliną naukową, która ściśle współpracuje z kilkoma innymi dyscyplinami naukowymi, w szczególności z medycyną, muzykologią, psychologią, pedagogiką, psychoterapią oraz naukami humanistycznymi i społecznymi.

W myśl bio-psycho-społecznego rozumienia choroby, muzykoterapia jest naukowym sposobem leczenia z użyciem środków psychologicznych i muzycznych.

Uznaje się i zastrzega wielość metod muzykoterapeutycznych. Mają one charakter psychoterapeutyczny w przeciwieństwie do terapii farmakologicznej i fizycznej.

Każda metoda muzykoterapeutyczna musi być dobrze zdefiniowana i mieć wyraźną podstawę teoretyczną w naukach humanistyczno – społecznych i musi opierać się na etyce. Teoria musi być zintegrowana z praktyką, mieć zastosowanie do szerokiej gamy problemów, a działanie musi być efektywne.

W zależności od różnych teorii i metod muzykoterapia może różnić się szczególnie pod względem zastosowania, celów terapii, postępowania dydaktycznego i radzenia sobie z procesami psychodynamicznymi.

Przed zastosowaniem muzykoterapii konieczna jest medyczna i muzykoterapeutyczna diagnoza. Na jej podstawie określa się wskazania, formułuje cel terapii, jak również decyduje o określonym podejściu terapeutycznym. Diagnoza muzykoterapeutyczna opisuje muzyczne i psychologiczne fenomeny i ich korelację z fizycznymi, psychicznymi i społecznymi procedurami.

Wykształcenie (Trening) muzykoterapeutów. Polega on na tym, że kandydat na muzykoterapeutę sam musi przejść psychoterapię i uczestniczyć w ciągu sesji muzykoterapeutycznych. (ogólnie mówiąc jest to poznanie siebie i praca nad sobą). Ponadto w ramach treningu wykładana jest:

Teoria, metodologia, różne koncepcje muzykoterapii (psychologia humanistyczna, psychopatologia, diagnoza i interwencja) i co najważniejsze:

Praktyka muzykoterapeutyczna pod stałym nadzorem superwizora.¹⁰⁰

EMTC uważa, że w dążeniu do zapewnienia wysokiej jakości programów kształcenia nie należy zatracać ich indywidualnego charakteru i specjalizacji.

Kto się troszczy o standardy edukacji arteterapeutów?

ECATE czyli Europejskie Konsorcjum Edukacji Arteterapeutów powstało w roku 1991 i zrzesza europejskie uczelnie wyższe- aktualnie blisko czterdzieści - prowadzące regularne studia w zakresie terapii przez sztukę, a konkretnie w zakresie sztuki wizualnej, terapii tańcem, dramaterapii i muzykoterapii ECArTE działa jak znana w Polsce Państwowa Komisja Akredytacyjna, to znaczy akceptuje i zatwierdza programy nauczania, które muszą odpowiadać określonym standardom. Kształcenie arteterapeutów w poszczególnych krajach musi być porównywalne, tak by studenci mogli pojedyncze semestry zaliczać w różnych krajach. W związku z tym poszczególne przedmioty w ramach programów nauczania przeliczane są na punkty wg Europejskiego Transferu Punktów Kredytowych (ECTS). Każdy program kształcenia arteterapeutów musi zawierać następujące elementy:

- doskonalenie technik artystycznych studiowanie teorii arteterapii
- studiowanie nauk pokrewnych, na których arteterapia się opiera i z którymi się wiąże
- praktykę kliniczną pod fachowym nadzorem (superwizja)

ECArTE współpracuje z europejskim programem Erasmus, umożliwiającym wymianę studentów i nauczycieli akademickich a także programów i treści nauczania. Organizuje co roku spotkania reprezentantów poszczególnych krajów na konferencjach, na których swoje programy przedstawiają kandydaci na nowych członków *European Consortium for Arts Therapies Education* za pośrednictwem wydelegowanych przez uczelnie reprezentantów. Prowadzi od roku 2005 rejestr prac naukowych (promocyjnych) z dziedziny terapii przez sztukę, rekomendowanych do rejestru przez reprezentanta ECArTE w danym kraju. W rejestrze tym znajdują już nazwiska polskie osób, które obroniły prace doktorskie na temat arteterapii, opracowane na seminarium doktorskim w ramach Studiów Doktorskich "Pedagogika", moduł "Arteterapia". Program tych studiów w roku 2004 uzyskał akceptację ECArTE.¹⁰¹

¹⁰⁰ Działalność EMTC przedstawiłam w książce pt. „Muzykoterapia jako przedmiot badań i edukacji” Wyd. UMCS, Lublin 2005, jak również w pracy zbiorowej pt. „Arteterapia jako dyscyplina akademicka w krajach europejskich. Uniwersytet Wrocławski w ECArTE”, Wrocław, 2010. Tamże dokumenty EMTC i ECArTE w moim tłumaczeniu.

¹⁰¹ Działalność ECArTE szczegółowo omawia książka pt. „Arteterapia jako dyscyplina akademicka w krajach europejskich. Uniwersytet Wrocławski w ECArTE” Praca zbiorowa pod redakcją naukową W. Szulc przy współpracy M. Furmanowskiej i J. Gładyszewskiej – Cylulko, Wrocław, „Atut”, 2010.

ECArTE w Ferrarze na uniwersytecie, w którym Kopernik otrzymał doktorat.

W opisaney wyżej światowej, choć z nazwy tylko europejskiej konferencji pod hasłem *Muzykoterapia na rzecz zdrowia i edukacji w Unii Europejskiej* w Cambridge w roku 1992 uczestniczyli nie tylko muzykoterapeuci ale również przedstawiciele innych dyscyplin sztuki wykorzystywanych w terapii, reprezentujący uniwersytety należące do "raczkującej" jeszcze wtedy ECArTE. Dzięki nim, w roku 1994, dowiedziałam się, bo wówczas jeszcze nie korzystałam z Internetu, o III Europejskiej Konferencji Arteterapii organizowanej we Włoszech w Ferrarze. Do Ferrary pojechałam z referatem prezentującym "Polskę w oczach polskich dzieci, zdrowych i chorych". treść wystąpienia przed przyjęciem konsultowałam telefonicznie (przez ten brak Internetu!) z administratorem konferencji, Zigi Fiberem, który się przyznał już w Ferrarze, że urodził się w Łodzi, ale niestety nie umiał ani słowa po polsku. Organizatorzy konferencji, podobnie jak w Cambridge, otoczyli mnie szczególną troską, bo wciąż byłam w tym gronie jedynym przedstawicielem Europy Wschodniej (do której na Zachodzie nadal zaliczana jest Polska). No i zaprosili na towarzyszące konferencji spotkanie członków ECArTE. Zrobiła to osobiście p. prof. dr hab. Line Kossolapow, ówczesna Przewodnicząca, a obecnie Honorowa Przewodnicząca ECArTE, wykładająca arteterapię na Uniwersytecie w Muenster, w Niemczech. W spotkaniu, dla mnie pierwszym, uczestniczyło zaledwie kilka osób, ale liczba członków ECArTE z każdym rokiem się powiększa, więc kolejne spotkania, organizowane co roku, przybrały nazwę *General Assembly*, czyli Zgromadzenia Ogólne – 18. maja 2010 r. w Helsinkach uczestniczyło już 36 przedstawicieli uczelni z 15 krajów europejskich.

Ferrara jest miastem mniej znanym turystycznie niż znajdujące się w pobliżu Bolonia i Wenecja, historycznie jednak jest nie mniej ciekawa. Na potężne mury otoczonego fosą zamku, należącego do rodu książąt d'Este, patrzyłam z okien mieszkania pani V., emerytowanej nauczycielki o arystokratycznym pochodzeniu, która, podobnie jak kilka innych osób z grona organizatorów konferencji zaoferowała gościnę jej uczestnikom. Sesje plenarne (w jednej znalazł się też mój referat - pokaz pt. "Polska w oczach dzieci zdrowych i chorych") odbywały się w zabytkowych murach szacownego Uniwersytetu, założonego mocą bulli papieża Bonifacego IX w roku 1391, a konkretnie w Palazzo Renata di Francia, bo Uniwersytet mieści się w kilku pałacach. Historia pałacu jest bardzo ciekawa: należał do księżnej Renaty di Francia, o bardzo burzliwym

życiorysie, z pochodzenia Francuzki, żyjącej na przełomie XV. i XVI. w, entuzjastki ruchów reformatorskich, która z religii katolickiej przeszła na kalwinizm. Na ścianie nad podestem marmurowych schodów wiodących do auli widnieje tablica informująca, że w tym miejscu (czyli wspomnianym pałacu) w roku 5001 laury doktorskie z prawa kanonicznego otrzymał... Mikołaj Kopernik. Poczułam się dumna jako Polka i nie omieszkalam sfotografować się na tle tej tablicy nie tylko ze znanym mi już z rozmów telefonicznych Zigiem ale i z najsławniejszym na świecie dramaterapeutą prof. Robertem Landy z Uniwersytetu Nowojorskiego. Na jego wykład, zamykający obrady konferencji przyszli chyba wszyscy uczestnicy, bo nawet nie mogli zmieścić się w wielkiej przecież auli. Do dziś pamiętam ten wykład - profesor powoływał się w nim m.in. na doświadczenia Teatru Laboratorium Jerzego Grotowskiego- bo był to wykład po prostu wzorcowy, idealny, wygłaszany powoli, wyraźnie, ze świadomością, że dla większości słuchaczy język angielski nie jest językiem ojczystym. Profesor stał na mównicy spokojnie, miał przed sobą kartki papieru (na co zwracam uwagę, bo są mówcy, którzy bardzo lubią gestykulować, co mnie przynajmniej rozprasza) i niby czytał, ale faktycznie z dużą ekspresją i znakomitą dykcją mówił. Przyznam, że jeszcze wtedy nie znałam nazwiska profesora, bo nie interesowałam się dramaterapią, więc kiedy dołączyłam do długiego szeregu gratulujących, po przedstawieniu się zapytałam: czy *Pan jest aktorem*? A profesor z uśmiechem potwierdził.

Wspominaliśmy później tę rozmowę na konferencji ECATE na kreteńskim uniwersytecie w Rethymnonie w roku 2005, ale że sama konferencja w Grecji niczym szczególnym nie utrwaliła się w mojej pamięci, poza widokiem Egejskiego Morza, na które można było patrzeć z okien znajdującego się w najwyższej części Krety Uniwersytetu, więc o niej pisać nie będę.

Kalisz: Bramy raju.

Kaliskim "Kajrosem", czyli zwiastunem najowocniejszego okresu w moim życiu zawodowym i zapowiedzią rozkwitu arteterapii w Polsce, był niewątpliwie Profesor Jerzy Rubiński (1944- 2007), artysta muzyk, dyrygent chóru akademickiego w Kaliszu, dyrektor Instytutu a później pierwszy dziekan Wydziału Pedagogiczno – Artystycznego Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu z siedzibą w Kaliszu. Profesor zjawiał się w Poznaniu, we wzmiankowanym już *Gabiniecie Kulturoterapii* przy ulicy Grunwaldzkiej pod koniec maja 1996 roku, nazajutrz po oficjalnym potwierdze-

niu zatwierdzenia mojej habilitacji przez Centralną Komisję d/s. Stopni i Tytułu Naukowego i zaproponował mi objęcie kierownictwa tworzonego właśnie w IPA UAM Zakładu Edukacji Wczesnoszkolnej i Arteterapii.

Uroczystej inauguracji roku akademickiego 1996/97 w UAM Kaliszu towarzyszyła muzyka inna niż w innych uczelniach: majestatyczny *Rok 1492*, inaczej "Bramy Raju" Vangelisa, i ja też, wchodząc do uniwersyteckiej auli, po raz pierwszy w profesorskiej todze, przy dźwiękach tej melodii miałam wrażenie, jakby otwierał się przede mną Nowy Świat¹⁰². Rok później miałam zaszczyt wygłosić w tej auli wykład inauguracyjny, który zatytułowałam "Życie w kręgu sztuki. Arteterapia reminiscencyjna". Od tamtego roku kilkunastu pracowników Zakładu Edukacji Wczesnoszkolnej i Arteterapii prowadziło zajęcia na kierunku studiów pod taką samą nazwą. W ten sposób zapoczątkowane zostało w Polsce nauczanie arteterapii na poziomie wyższym, aczkolwiek jeszcze nie jako odrębnej dyscypliny naukowej. Wzory programu mogłam czerpać od najlepszych w Europie i na świecie, ponieważ miałam możliwość uczestniczenia w dorocznych spotkaniach przedstawicieli uczelni zrzeszonych w ECArTE i EMTC, odbywających się w różnych krajach Europy, jak również w światowych kongresach o tematyce arteterapeutycznej. Dzięki temu udało się stworzyć podstawy programowe i uruchomić w roku 2000 Podyplomowe Studia "Arteterapia" – również pierwsze w Polsce, co wypada przypomnieć wobec czterdziestu kilku studiów pod taką nazwą funkcjonujących aktualnie w różnych miastach. Absolwenci tych pierwszych studiów, przy czynnym wsparciu organizacyjnym mgr Krzysztofa Sameli z Poznania, kulturoznawcy i muzyka kontrabasisty byli inicjatorami i założycielami Stowarzyszenia Arteterapeutów Polskich "Kajros", zarejestrowanego w roku 2003 przez Prezydenta Miasta Kalisza w Kaliszu właśnie, z siedzibą na Wydziale Pedagogiczno – Artystycznym UAM.

Palma pierwszeństwa należy się również zorganizowanej w Kaliszu w roku 1999 konferencji naukowej pod hasłem "Od edukacji kulturalnej do arteterapii", ponieważ było to reaktywowanie cyklu "konferencji o tematyce arteterapeutycznej, po dziesięciu latach od trzech pamiętnych konferencji pod tytułem "Arteterapia" z lat 1989/1990 zorganizowanych przez Akademię Muzyczną im. K. Lipińskiego we Wrocławiu pod egidą Ministerstwa Kultury i Sztuki w Radziejowicach i Jagniątkowie. Na konferencję kaliską do miasta nad Prosną przyjechali wszyscy pionierzy polskiej arteterapii i muzykoterapii, między innymi muzykoterapeuci: Kinga Lewandowska z Gdańska i

¹⁰² Nomen omen Wydział Pedagogiczno – Artystyczny UAM w Kaliszu ma swoją siedzibę przy ulicy Nowy Świat.

Maciej Kierył z Warszawy, Paweł Cylulko z Wrocławia, biblioterapeutki Ewa Tomasik z Warszawy, Janina Kościów z Opola i Irena Borecka z Wałbrzycha. Ich wystąpienia pobudziły do jeszcze większej aktywności w sferze praktyki i teorii arteterapii zarówno pracowników Zakładu Edukacji Wczesnoszkolnej i Arteterapii, jak i studentów. Najcenniejszym efektem tej aktywności były z jednej strony doktoraty z dziedziny arteterapii obronione wkrótce na Uniwersytecie Wrocławskim przez absolwentki WPA UAM Anitę Stefańską i Dianę Gulińską – Grzeluszkę, z drugiej – konferencje naukowe organizowane przez studenckie Koło Młodych Arteterapeutów prowadzone przez opiekuna naukowego koła, dr Anitę Stefańską. Arteterapią interesowali się też pracownicy naukowcy z Zakładów stricte "artystycznych", m.in. dr Zygmunt Baranek, artysta malarz, twórca logo SAP "Kajros" a zarazem pierwszy skarbnik Stowarzyszenia Kajros.

W Kaliszu również odbyła się uroczysta promocja mojej książki pt. „Sztuka w służbie medycyny od antyku do postmodernizmu”, wydanej w roku 2001, z muzyką w tle: były to –, jak można się domysleć – *Bramy Raju* Vangelisa.

SAP Kajros, sztuka i arteterapia w Gnieźnie.

„Złote lata” arteterapii przypadają również na okres, w którym miejsca w programach nauczania i siedziby w gmachu gnieźnieńskiej uczelni dla Stowarzyszenia "Kajros" użyczili Założyciel Gnieźnieńskiej Wyższej Szkoły Humanistyczno – Medycznej prof. dr Lechosław Gawrecki i Kanclerz mgr Krzysztof Gawrecki. Widomym tego znakiem jest dwadzieścia jeden pierwszych *Certyfikatów Arteterapeuty i Edukatora Arteterapii*, wydanych przez Stowarzyszenie Arteterapeutów Polskich "Kajros" w latach 2003 – 2008 z logo tej Uczelni, że nie wspomnę o wizycie w GWSHM pani. Ilse Wolfram z Niemiec, honorowej członkini SAP "Kajros".

W Uczelni tej wykładałam również przedmiot "Wstęp do świata kultury i sztuki", przy czym nie były to "jednostronne" wykłady z narzuconym z góry programem, choć był to program autorski lecz konwersatoria na temat bieżących, ale i historycznych wydarzeń kulturalnych w Gnieźnie, Polsce i na świecie. Studenci, zgodnie z "duchem epoki" wyszukiwali w Internecie informacje na proponowane tematy, a ja je uzupełniałam i/lub weryfikowałam, odwołując się do własnej wiedzy zdobytej m.in. podczas wzmiankowanych w tej książce podróży. Wykłady ilustrowałam prezentacją dzieł sztuki (z albumów lub Internetu) i nagraniami muzycznymi. Ku mojemu mił-

mu zaskoczeniu, w końcowych ankietach, na pytanie, co najbardziej podobało się na zajęciach najczęściej padała odpowiedź: muzyka!.

Londyńska Szkoła Logopedii i Dramy.

Konferencja ECArTE w dniach żałoby po śmierci księżnej Diany.

Central School of Speech and Drama w Londynie zajmuje się korygowaniem wad wymowy przez stosowanie metod dramy. Uczelnia ta dwukrotnie gościła członków ECArTE: po raz pierwszy w roku 1997 i po raz drugi, już w nowej, bardzo nowoczesnej siedzibie, w roku 2009. Za pierwszym razem konferencja odbywała się w kilka dni po pogrzebie księżnej Diany, o czym przypominała, głosem łamiącym się od płaczu, przewodnicząca komitetu naukowego konferencji prof. Diane Waller, jedna ze współzałożycieli ECArTE, osoba niezwykle dla arteterapii zasłużona. Przypominać o zmarłej tragicznie w wypadku samochodowym w Paryżu księżnej Walii nie trzeba było, bo na ulicach, a zwłaszcza pod bramą pałacu Buckingham leżały jeszcze stopy kwiatów i kartek ze słowami żalu po tragicznej śmierci ukochanej przez Brytyjczyków księżnej. Na tej konferencji w Londynie w roku 1997 po raz pierwszy przedstawiłam referat mieszczący się w problematyce arteterapii reminiscencyjnej, poświęcony twórczości artystycznej kilku starszych wiekiem artystów amatorów, dowodząc, że aktywność artystyczna była dla nich formą autoarteterapii.¹⁰³

Morał arabskiej bajki *O mądrym królu* opowiadanej na angielskim uniwersytecie.

Miałam też okazję zademonstrować na konferencji poświęconej przyszłości pielęgniarstwa (*Nursing Tomorrow*)¹⁰⁴, organizowanej przez Wydział Nauk o Zdrowiu Uniwersytetu w Durham (Anglia). autorski program nauczania "Kulturoterapii" na Wydziale Pielęgniarstwa Akademii Medycznej w Poznaniu, wcześniej prezentowany na Uniwersytecie w Maastricht (Holandia), na konferencji pod hasłem "Edukacja medyczna w XXI wieku"¹⁰⁵, ale pokazany w Anglii pod innym kątem i tytułem: "Od

103 W. Szulc, Old man and arts. (w) 4th European Arts Therapies Conference. Communication in the Arts Therapies. 12 – 15 September 1997. Central School of Speech and Drama. London, p. 38 ;

104 W. Szulc, From Culture Education to Culture Therapy. 9th Annual International Participative Conference For Education in Health Care. Grey College University of Durham UK. Conference Abstract Papers. Durham 1998, p. 118.

105 W. Szulc, A course of "Culture Therapy" at the Faculty of Nursing and Health Sciences. W: MedEd – 21: An Account of Initiatives for Change in Medical Education in Europe for the 21st Century. G.D.

edukacji kulturalnej do kulturoterapii". Byłam tam zaskoczona formą referatu otwierającego tę konferencję, a mianowicie tym, że pani Dziekan Wydziału Nauk o Zdrowiu rozpoczęła swoje wystąpienie nietypowo, od opowiedzenia bajki, bardzo znanej w świecie anglo -amerykańsko – arabskim, autorstwa Khahila Gibrana pt. "Mądry król"¹⁰⁶Chciała tą bajką skłonić do refleksji nad względnością pojęcia *normalności*.

Jest to kolejny tekst, który odtąd daję studentom do zinterpretowania; w odpowiedzi najczęściej pojawia się zdanie, że "kiedy wszedłeś między wrony, musisz krakać jak i one...", ale zazwyczaj pewną konsternację wywołuje moje pytanie: czy to dobrze, czy źle? Czy naprawdę "musisz"?

W starej części Uniwersytetu, trzeciego pod względem starszeństwa po Oxford i Cambridge, bo konferencja odbywała się w nowoczesnym *Grey College*, otoczonym pięknym ogrodem, nad wejściem do Biblioteki przeczytałam pochodzący z XVI wieku wykuty w kamieniu napis w języku łacińskim: *Non minima pars eruditionis est bonos libros nosse* (Nie najmniejszą częścią wykształcenia jest znajomość dobrych książek). Mimo powszechnego dziś korzystania z *Wikipedii* lubię przypominać tę uwagę.

Podróż do Waszyngtonu, DC – światowej stolicy muzykoterapii w roku 1999.

Dzięki rocznym spotkaniom w ramach EMTC (Europejskiego Komitetu Muzykoterapii) i uczestnictwu w Zgromadzeniach Ogólnych ECArTE (Europejskiego Konsorcjum Edukacji Arteterapeutów) miałam już rozeznanie w "wielkim świecie arteterapii", więc bez większych obaw podjęłam decyzję o uczestnictwie w 9. Światowym Kongresie Muzykoterapii w Waszyngtonie w dniach 17 – 22. listopada 1999 r. Miejsce obrad i zakwaterowania uczestników miał być wspaniały Omni Shoreham Hotel. Już sama nazwa hotelu dawała wyobrażenie o cenach pokoi, toteż jeszcze w Poznaniu skorzystałam z pomocy sympatycznego pracownika jednego z biur podróży, w którym załatwiałam bilet lotniczy i zarezerwowałam miejsce w skromniejszym pensjonacie, niezbyt odległym od tego hotelu, i jak się okazało, ulokowanym w dzielnicy ambasad., w bezpośrednim sąsiedztwie meczetu. Skutkiem tego czułam się tam trochę jak w Istambule, gdy o świecie głos muezina wzywał wiernych na pierwszą modlitwę. Ale zanim dotarłam do pensjonatu, musiałam przelecieć Atlantyk.

Majoor (et al.) Amsterdam Thesis Publishers, 1997, s. 167 - 171.

106 Streszczenie bajki opowiedzianej na konferencji w roku 1998 przez dr Marks-Maran podałam w książce *Sztuka w służbie medycyny*, op.cit. s. 186 -187; w polskim profesjonalnym tłumaczeniu ukazała się ona w zbiorze bajek K. Gibrana pt."Szaleniec" wydanym w roku 2003,

Podróż do Nowego Jorku, gdzie miałam przesiadkę z wygodnego Boeinga należącego do Lotu na rozklekotaną amerykańską *Deltę* była pełna emocji pod względem wrażeń spowodowanych faktem, że tym samym samolotem leciała na występy w Corneegie Hall *Budka Suflera*. Nie mogę się pochwalić, że poznałam osobiście Krzysztofa Cugowskiego, bo solista siedział w klasie biznes, ale reszta zespołu, z żonami, czy partnerkami siedziała, podobnie jak ja w klasie ekonomicznej. Dziewięć godzin wspólnego lotu i rozmów a nawet wywiad udzielony dla telewizji, bo dziennikarz pytał o opinie o znanym zespole także współpasażerów spowodowały, że odtąd jestem gorącą fanką "Budki". Bardzo żałuję, że nie mogłam wówczas skorzystać z zaproszenia gitarzysty (już go nie ma w obecnym składzie zespołu) i pójść na ich jubileuszowy koncert, który na drugi dzień miał się odbyć w Nowym Jorku., bo leciałam do Waszyngtonu.

Do pensjonatu w Waszyngtonie późną nocą dojechałam szczęśliwie, mimo dwugodzinnego opóźnienia samolotu, mile zaskoczona tym, że wszystko wyglądało na miejscu tak, jak mi mówiono w Polsce: żółta taksówka, choć ulica przed lotniskiem wydawała się pusta, zjawiała się natychmiast, gdy podniosłam rękę a uśmiechnięty czarnoskóry kierowca dowiózł mnie na miejsce dokładnie za taką sumę, niewygórowaną, jaką wymienił usłyszawszy adres. Później, niestety, były już niespodzianki. Jedną z nich było jedzenie i sposób jego serwowania. Śniadanie w pensjonacie, w którym nocleg kosztował prawie 100 dolarów składało się niezmiennie z "cienkiej" kawy z automatu i jednej, najwyżej dwóch muffinek wybieranych z kosza podawanego gościom przez recepcjonistę i jedzonych przy stolikach bez obrusów i bez talerzyków. Te muffinki były też głównym daniem, jakie można było kupić w hotelowym bufecie podczas kongresu, bo w ramach opłaty kongresowej (400 dolarów) za darmo można było napić się jedynie wody z gustownych poidełek rozmieszczonych na korytarzach. Wystrój hotelu Omni Shoreham poza tym był bardzo wytworny, w stylu francuskim, ulubionym w stolicy USA, bo – jak wiadomo - również założenia urbanistyczne Waszyngtonu wzorowane są na planie Paryża. Przyznam, że byłam też trochę zaskoczona, gdy podczas obrad plenarnych Prezydium kongresu, w bardzo szacownym gronie najsławniejszych na świecie profesorów muzykoterapii, siedząc na podwyższeniu przy stole prezydialnym jadło te muffinki popijając kawą z kartonowych kubków, a przewodniczący zachęcał słuchaczy, by się nie krępowali i poszli w ich ślady. Po kilku latach moda na takie swobodne zachowanie upowszechniła się też w Polsce ale wówczas jeszcze trochę mnie to szokowało.

Światowy kongres pod hasłem: *Muzykoterapia: globalna mozaika. Wiele głosów – jedna pieśń.*

Pod takim hasłem przebiegał IX Światowy Kongres Muzykoterapii, będący celem mojego przyjazdu do Waszyngtonu. W kongresie uczestniczyło blisko 1500 uczestników z całego świata, ale głównie z obu Ameryk, co się zaznaczyło także w tym, że drugim językiem kongresowym, po angielskim, był hiszpański. Dla Amerykanów był to ponadto zjazd wyjątkowy, związany z pięćdziesięcioleciem powstania Narodowego Stowarzyszenia Muzykoterapii, które podczas tego zjazdu połączyło się z drugim podobnym stowarzyszeniem czyli Amerykańskim Stowarzyszeniem Muzykoterapii, tworząc tym samym najpotężniejszą na świecie organizację muzykoterapeutów. O jej znaczeniu w życiu kraju świadczy fakt, że list do uczestników odczytany podczas ceremonii otwarcia i wydrukowany, wraz ze zdjęciem autora, w materiałach kongresowych przysłał v-ce prezydent Stanów Zjednoczonych, Al. Gore. Pisał w nim między innymi, że ten *Dziewiąty Światowy Kongres Muzykoterapii jest wspaniałą okazją dla muzykoterapeutów z całego świata do podzielenia się swoimi doświadczeniami i pokazania, w jaki sposób muzykoterapia pomaga ludziom nie w pełni sprawnym w lepszym funkcjonowaniu fizycznym, psychicznym i społecznym*. Wyraził też przekonanie, że uczestnicy Kongresu z każdym miesiącem i rokiem będą odnosić w swojej pracy coraz większe sukcesy. Na końcu złożył gratulacje z tak szczególnej okazji, jaką jest ten Kongres.

Obrady i warsztaty odbywały się jednocześnie w siedemnastu salach! Nie wiem, czy dokonałam najwłaściwszego wyboru, ale kierowałam się tytułami prezentacji i streszczeniami umieszczonymi w programie. Nie wszędzie, tak jak to miało miejsce w Nowym Jorku, podany był poziom ale przy niektórych tytułach znajdowały się uwagi informujące, że wejście wymaga uprzedniego zapisania się (tak jest też u nas na warsztatach) a prezentacja jest adresowana do profesjonalistów i/lub studentów. Zaciekały mnie następujące wykłady.

- „Muzykoterapia w Japonii”

Dowiedziałam się, że historia muzykoterapii w Kraju Kwitnącej Wiśni sięga lat 50. XX w. a zapoczątkował ją wzrost zainteresowania po zakończeniu II wojny światowej psychologią muzyki a przejawem tego zainteresowania było m.in. ukazanie się książki pt. "Muzykoterapia", której autorem jest Edward Podolsky. Okazuje się więc, że to polskie nazwisko znane jest nie tylko w świecie futbolu, choć oczywiście należy do

innej osoby niż napastnik reprezentacji Niemiec w piłce nożnej. A propos nazwisk: na Kongresie spotkałam kilka osób o polsko brzmiących nazwiskach, np. Kielbasa, ale, niestety, nie mówiących po polsku.

- „**Muzykoterapia i przeszłość: skąd przyszliśmy i w jakim miejscu się znajdujemy**”

Są dowody, że muzykoterapię w Ameryce stosowano już w latach 1770. Podczas dyskusji moderowanej przez dr Wiliama Davisa wybitni muzycy, muzykoterapeuci, lekarze, psychologowie i psychiatrzy dyskutowali nad teoriami i technikami wykorzystywanymi w muzykoterapii na przestrzeni dwóch wieków aż po powstanie w roku 1998 Amerykańskiego Stowarzyszenia Muzykoterapii.

- „**Muzykoterapia w systemie szkolnym: praca z dziećmi niepełnosprawnymi umysłowo i z ADHD**”. Autorka prezentacji (filmu) Melisa Brotons z Barcelony poinformowała, że jest to pierwsza adaptacja amerykańskiego modelu muzykoterapii wprowadzona do Europy, konkretnie do Hiszpanii.

- „**Rola muzykoterapii w ustaleniu tożsamości kulturowej w państwie wielo kulturowym**”. Chodziło o państwo Izrael, którego społeczeństwo to głównie imigranci z różnych krajów. Dr Dorit Amir, prominentna osoba w świecie muzykoterapii mówiła o roli izraelskich pieśni ludowych w umacnianiu tożsamości kulturowej obywateli Izraela.

- „**Muzykoterapia i dobrostan: zmiana paradygmatu**”. Autorki A.B. Parker i B.L. Rener wyszły od stwierdzenia, że stale rośnie zainteresowanie holistyczną koncepcją zdrowia. Większość muzykoterapeutów przygotowywanych jest jednak do pracy z osobami niepełnosprawnymi i chorymi leczonymi w instytucjach medycznych. Autorki przedstawiły koncepcję muzykoterapii dla ludzi zdrowych, wspomagając ich poczucie dobrostanu, wymaga ona wszakże odpowiednich strategii marketingowych.

- „**Muzykoterapia w Oddziale Intensywnej Opieki Neonatologicznej: badania naukowe i praktyka kliniczna**”. Autorka Jayne M. Stanley z Florydy zaprezentowała wyniki badań prowadzonych przez 10 lat, które pokazały korzyści ze stosowania muzyki w oddziale noworodków, takie jak wzrost masy ciała i poprawę stanu neurologicznego oraz przedstawiła programy klinicznej muzykoterapii stosowane w tym Oddziale. Była to nie jedyna prezentacja podczas Kongresu na taki temat, wówczas w Polsce jeszcze słabo znany. Dr med. Fred Schwarz, anestezjolog z Atlanty, który wygłaszał również referat na Kongresie Medard w roku 1992 o redukowaniu bólu za pomocą muzyki, tym razem mówił o redukowaniu stresu za pomocą muzyki u najmniejszych pacjentów w Oddziale Intensywnej Opieki Neonatologicznej i de-

monstrował efekty tej metody nie tylko medyczne ale i ekonomiczne. Dwie inne muzykoterapeutki, Amerykanka Deanna Hanson Abromeit i Niemka, dr Monika Nocker-Ribaupierre, znana już w Polsce dzięki wizycie i wykładom wygłoszonym w Akademii Muzycznej we Wrocławiu w roku 2008, aktualna v-ce Przewodnicząca EMTC (Europejskiej Konfederacji Muzykoterapii), a zarazem Sekretarz Generalny Europejskiego Komitetu Muzykoterapii, w dwuczęściowej sesji przedstawiły, każda z innej perspektywy temat „**Muzykoterapia w położnictwie i neonatologii**”. Zainspirowały mnie tym do przedstawienia na początku roku 2003 projektu podobnych badań, które można by było przeprowadzić w Katedrze Zdrowia Matki i Dziecka w Akademii Medycznej w Poznaniu, w której wówczas pracowałam, ale niestety, projekt nie został zaakceptowany.

Prof. Cheryl Dileo z Uniwersytetu Temple, wygłosiła referat pt. „**Praca z duszą: podejścia teoretyczne w psychoterapii muzycznej i muzykoterapii medycznej**”. Nasuwa mi się w tym miejscu smutna refleksja, że po upływie tylu lat od czasu gdy ta wybitna znawczyni muzykoterapii dokonała precyzyjnego rozdzielenia muzykoterapii, mającej swoją teorię i metodykę i prowadzonej przez wykwalifikowanego muzykoterapeutę, od medycyny muzycznej polegającej na „aplikowaniu” muzyki przez lekarzy swoim pacjentom wciąż nazywa się muzykoterapią każde wprowadzenie muzyki na oddział szpitalny czy do gabinetu SPA.

Model Muzykoterapii Humanistycznej opartej na teoriach terapii Gestalt i psychoterapii Skoncentrowanej na Osobie przedstawił muzykoterapeuta z Meksyku, Victor Munoz.

„**Trauma wojenna i potrzeba ekspresji**”. Była to prezentacja metod muzykoterapii stosowanej przez Dorotheę Storz z Wiednia wobec dzieci – ofiar wojny w byłej Jugosławii, a konkretnie w stolicy Bośni Sarajewie w okresie od jesieni 1997 do wiosny 1998 r.

W programie Kongresu przy nazwie miasta Wiedeń widniała nazwa kraju: *Germany*, czyli Niemcy a nie Austria. Amerykanie dość często są „na bakier” z geografią Europy - mnie też zdarzało się, że gdy na pytanie skąd pochodzę odpowiadałam, że z Polski, słyszałam, „a Praga, znam”.

Delikatny, bolesny i trudny problem terapii dzieci wykorzystywanych seksualnie podniosły w swoim wspólnym wystąpieniu dwie autorki z Włoch i Argentyny: zwróciły uwagę, że arteterapia opiera się głównie na rozmawianiu z takimi dziećmi i rysowaniu przez nie traumatycznych sytuacji, jakie miały miejsce w ich życiu, tym-

czasem pożyteczne może być zastosowanie muzykoterapii, a w niej – ciszy, w miejsce zadawania dziecku bezpośrednich pytań.

Mocne wrażenie z innego powodu robił już sam tytuł prezentacji profesora Josepha Moreno, znanego z badań nad muzykoterapią etnograficzną: **”Orfeusz w piekle: muzyka i terapia podczas Holokaustu”**. Autor przedstawił wyniki badań prowadzonych przez 6 lat metodą wywiadu z osobami, które przeżyły holokaust i miały pewne doświadczenia muzyczne z tego okresu.

Ciekawe były też dwie prezentacje holenderskie poświęcone muzykoterapii z wykorzystaniem muzyki pop stosowanej wobec młodzieży agresywnej i wobec więźniów. Warto by je przypomnieć zważywszy na rosnące w Polsce zainteresowanie różnymi formami arteterapii osadzonych. Mam też na myśli pracę mojej magistrantki z Uniwersytetu Wrocławskiego, Niny Mulawy **Twórczość artystyczna osadzonych jako droga do wolności**, którą autorka zdążyła już zaprezentować na cyklicznej konferencji poświęconej arteterapii w więzieniach, organizowanej przez Uniwersytet w Edynburgu we wrześniu 2009 i opublikować w czasopiśmie „Arteterapia – terapia sztuką w praktyce”.

Ważne miejsce wśród obrad zajmowały dyskusje panelowe pod wspólnym tytułem: **Pięć międzynarodowych modeli muzykoterapii**. Uczestniczyłam w jednej z nich, poświęconej metodzie opracowanej na początku lat 70. ub. w. przez Helen Bonny i znanej pod skrótem **GIM (Sterowanie wyobraźnią przy pomocy muzyki)**. Muzykoterapia polegająca na wygłaszaniu do pacjentów relaksujących tekstów, opisujących piękne krajobrazy, przy akompaniamencie nagrań muzyki klasycznej jest w Polsce bardzo popularna ale dopiero niedawno demonstrujący ją polscy muzykoterapeuci wymieniają nazwisko autorki tej metody.

Jako filologa klasycznego zaintrygowała mnie prezentacja metody kształcenia muzykoterapeutów pt. **Aktywacja mitów: mitopoetycka muzykoterapia w kształceniu muzykoterapeutów** zaprezentowana przez Dawida Gonzalesa ze stanu Nowy Jork, polegająca na odwoływaniu się do symboli i mitów greckich (np. o Orfeuszu i Eurydyce) w celu wyzwolenia ekspresji twórczej studentów, łącząca taniec, muzykę i poezję.

Poetycki tytuł miał też wykład wygłoszony w sesji plenarnej przez dr Carolyn Kenny (Kanada), należącą do ścisłej światowej czołówki muzykoterapeutów pt. **Sens sztuki - moc lasu deszczowego**, w którym autorka dała wyraz swojemu przekonaniu o nierozdzielalnym związku sztuki z Naturą i uzdrawiającej sile tego związku.

Lianna Polychroniada Prinou, z Aten, przewodnicząca Helleńskiego Stowarzyszenia Muzykoterapeutów Orfeusz, odwołując się do roli i miejsca muzyki w starożytnej Grecji s w swoim referacie pt. **Muzykoterapia: od przeszłości do przyszłości i z powrotem do przeszłości- nieustanny krąg komunikacyjny**, starała się wykazać, jak muzyka może wyrażać rozmaite sytuacje społeczno – psychologiczne.

Lars Ole Bonde, duński muzykoterapeuta znany z licznych artykułów publikowanych w czasopiśmie ”Nordic Journal of Music Therapy” przedstawił bardzo specjalistyczny artykuł z teorii muzykoterapii, nic dziwnego, że oznaczony w programie symbolem ”Profesjonal” czyli dla profesjonalistów, poświęcony wyobraźni metaforycznej w muzykoterapii i odwołujący się do filozofii Paula Ricoeura przy analizie materiału klinicznego z sesji prowadzonych metodą GIM.

Nieznany szerzej, poza Stanami Zjednoczonymi, muzykoterapeuta James Haines w swojej prezentacji skupił się na ciekawej metodzie kształcenia przyszłych muzykoterapeutów, analogicznej do kształcenia muzyków, a mianowicie na przenoszeniu teorii muzyki, poznawanej podczas studiów, na muzykę stosowaną w codziennej praktyce muzykoterapeutycznej i pokazał, jak poznawanie formy sonatowej, (a przykłady zaczerpnął z twórczości wielkich nieżyjących już kompozytorów niemieckich) może pomóc muzykoterapeutom w organizacji zajęć.

Czysto teoretyczny, a właściwie meta-teoretyczny charakter miały rozważania Gary’ego Ansdella z londyńskiego Centrum Muzykoterapii Nordoffa-Robbinsa, który stwierdził, że czas zająć się poważnie istotą muzykoterapii i podjąć dyskusję nad „Nową Muzykoterapią”, na wzór toczącej się od dziesięciu lat dyskusji nad „Nową Muzykologią”.

Wychodząc wspomnieniami do przodu powiem, że dyskusja nad ”Nową muzykoterapią” w konfrontacji z „Nową muzykologią” była jednym z głównych przedmiotów obrad podczas V Europejskiej Konferencji Muzykoterapii w Neapolu w roku 2001 i w wydanej z tej okazji książce, napisanej w języku angielskim i włoskim pt. *Muzykoterapia w Europie*¹⁰⁷ pierwszy rozdział poświęcony został właśnie wnioskowi z tej dyskusji.

Do najważniejszych wydarzeń Kongresu należała niewątpliwie dyskusja panelowa, w której udział wzięły największe autorytety w dziedzinie badań naukowych w muzykoterapii Dorit Amir (USA, Izrael), Kenneth Bruscia i Barbara Wheeler (USA), Carolyn Bereziak Kenny (Kanada), Kimmo Lehtonen (Finlandia), Even Ruud i Bryn-

107 Music Therapy in Europe. Musicoterapia in Europa. Ed. D. Aldridge, G. DiFranco, E. Ruud, T. Wigram ISMEZ, Roma 2001, s. 332

julf Stige (Norwegia). Przedmiot dyskusji zawarty został w jej tytule: "Badania jakościowe w muzykoterapii: Jak badania naukowe w muzykoterapii mogą wpływać na społeczną zmianę?"

Szkoda, że teoria terapii przez sztukę interesuje tak niewielu polskich arteterapeutów i że tak mało polskich autorów włącza się do ogólnoswiatowej dyskusji na tematy naukowe związane z arteterapią. Znacznie szybciej, jak można zauważyć, przyjmują się wzory działalności marketingowej. Obradom Kongresu w Waszyngtonie towarzyszyła niezliczona ilość wystaw, targi książek i płyt. Można było nabyć nagrania muzyki relaksacyjnej Stevena Halperna, z którymi zetknęłam się już w Polsce. Zadziwiała pomysłowość twórców różnych instrumentów, dużych i małych, przydatnych w muzykoterapii. Różne szkoły prezentowały swoje programy nauczania, niektóre chwaliły się stażem, że to np. najstarsza uczelnia w danym stanie USA i otrzymanymi nagrodami, wszystkie zaś podawały nazwiska swoich pracowników. Najuprzejmiej zachęcała mnie do zainteresowania się swoim programem buddyjska "Naropa", więc jej kilkusetstronicowe wydawnictwo, nie bacząc na ciężar przywiozłam do Polski.

Obrazki z historii Ameryki i sztuka amerykańska.

Po trzech dniach pilnego uczestniczenia w czym się dało i biegania z planem hotelu Omni Shoreham od z jednej sali do drugiej, postanowiłam skorzystać z informacji zawartych w folderach dołączonych do materiałów kongresowych i "wyruszyć w miasto". Nie trzeba zresztą było korzystać z folderów, bo w programie Kongresu na stronach 123 -126 można było przeczytać, co warto a nawet koniecznie trzeba zobaczyć w stolicy USA, jak tam dojechać i na którym przystanku metra wysiąść. Orientacja przestrzenna nie jest moją najmocniejszą stroną ale po Waszyngtonie poruszałam się dziwnie łatwo – przejrzysty układ ulic, wszędzie dojeżdżające metro i na każdym kroku potrzebna informacja. Zaczęłam od adresu nr 1: 1600 Pennsylvania Ave. czyli od Białego Domu. Mieszkali w nim wszyscy prezydenci Stanów Zjednoczonych, z wyjątkiem Georga Washingtona. Dom można zwiedzać, ale po uprzednim zapisaniu się na wycieczkę i otrzymaniu przepustki. Nie miałam oczywiście czasu na załatwienie tych formalności i "Dom Ameryki" (druga popularna nazwa Białego Domu) obejrzałam tylko przez sztachety wysokiego ogrodzenia.

Rozczarowana jednak nie byłam, bo z podobnego powodu (braku przepustki) w Polsce nie zwiedziłam też Pałacyku Prezydenckiego w Wiśle, dokąd wybrałam się

kiedyś w pewien majowy ale deszczowy i zimny weekend.

Bez trudu za to zwiedziłam Kapitol. Nie powiem, robi wrażenie - wnętrze słynnej białej kopuły i wszystkie reprezentacyjne sale. Przepych trochę barokowy ale wśród dekoracji dobrze widoczne są liczne napisy w języku łacińskim. Próbowałam je wynotowywać, ale zajmowało to zbyt dużo czasu, którego nie miałam.

Potem były wspaniałe, ważne dla historii Ameryki pomniki: obelisk poświęcony pamięci pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych Georga Washingtona, wybudowany w roku 1885, świeżo po renowacji. Windą można było wyjechać na górę i podziwiać widok na miasto, rzeczywiście fantastyczny. Dalej budowla w rodzaju mauzoleum ku czci 3. prezydenta USA Tomasa Jeffersona. Większe jednak wrażenie zrobiły na mnie pomniki ku czci żołnierzy poległych i zaginionych w Wietnamie oraz weteranów wojny koreańskiej.. Wielki napis na murze głosi *Freedom is not free* (Wolność nie jest za darmo). W gablotach ogromna ilość zdjęć pielęgniarek, kapelanów wojskowych, mechaników i tysięcy pracowników służb pomocniczych zabitych w czasie tej wojny. Inny, bardziej surowy charakter ma pomnik weteranów wojny w Wietnamie. Na długiej i wysokiej ścianie z czarnego granitu wyrytych jest około 58.000 nazwisk poległych i zaginionych w Wietnamie. Na cokole wyłożona jest księga z tymi nazwiskami. Stała przy niej długa kolejka zainteresowanych, bo Wietnam jest wciąż żywy w pamięci Amerykanów.

Są instytucje których absolutnie nie można pominąć będąc w Waszyngtonie. Należy do nich Instytut *Smithonian* – kompleks kilku budynków składających się na największą na świecie instytucję zajmującą się edukacją w zakresie sztuki i historii. Przypuszczam, że nawet rok nie wystarczyłby do poznania wszystkich zgromadzonych tam zbiorów więc mając do dyspozycji kilka godzin skupiłam się na tym, jak Amerykanie uczą swoje dzieci historii w warunkach muzealnych, jak ją pokazują. Polskie wycieczki szkolne w celu zapoznania się z prahistorią naszej ojczyzny przyjeżdżają do Biskupina. A amerykańskie? W jednej z sal zobaczyłam gromadkę maluchów siedzących na podłodze, pokrytej puszystym dywanem, którym pani przewodniczka coś tłumaczyła pokazując przedmioty wiszące na ścianach: były to portrety wodzów indiańskich, indiańskie stroje, tomahawki, łuki i strzały. Portretu Kolumba i okrętu Santa Maria nie było. Za to w innym muzeum eksponowany jest list Krzysztofa Kolumba datowany na październik 1492 roku informujący hiszpańską parę królewską Izabelę i Ferdynanda, sponsorów wyprawy, o odkryciu nowego lądu czyli jak się później okazało – Ameryki.

Obrazy i inne dzieła sztuki eksponowane w *Smithsonian Institute* opatrzone są tabliczkami informującymi nie tylko o tytule dzieła i nazwisku autora, ale również o tym co przedstawia obiekt i okolicznościach jego powstania. Tak więc oglądając skromną, niewielką instalację, przedstawiającą figurki czarnej, biednie ubranej kobiety z torebką w ręku, którą prowadziło, brutalnie trzymając za ramiona, dwóch rosyjskich białych policjantów, przeczytałam, że chodzi tu o wydarzenie, które przerwało w Alabamie okres segregacji rasowej. W mieście tym obowiązywał zakaz zajmowania w tramwajach miejsc siedzących przez osoby rasy czarnej. Kto ten zakaz złamał, płacił jednego dolara kary. I zdarzyło się, że czarna kobieta, o imieniu Rosa, zakaz ten złamała ale że nie chciała zapłacić kary, trafiła do więzienia. Wieść o tym rozniosła się po mieście i w efekcie doszło do wielkiej demonstracji czarnych mieszkańców Alabamy. Władze musiały ustąpić i zakaz zniesiono. I pomyśleć, że działo się to zaledwie 100 lat temu!

Drugą ważną instytucją kulturalną to Centrum Sztuk Wystawienniczych imienia Johna F. Kennedy'ego, ufundowane przez rodzinę Kennedy'ch, pięknie położone nad Potomakiem (nazwa rzeki płynącej przez Waszyngton) Być może nie trafiłabym do niego, gdyby nie znajoma skądś nazwa. I rzeczywiście. To Centrum to nie tylko wielki dom kultury, w którym są galerie, sale teatralne (6!), koncertowe, kina i pracownie artystyczne dla osób niepełnosprawnych ale również bardzo prężna instytucja zajmująca się na całym świecie promowaniem sztuki niepełnosprawnych. Zorganizowała też, m.in. w roku 1994 wielki festiwal Sztuk Bardzo Szczególnych w Katowicach, na którym byłam a wydawnictwa opublikowane z tej okazji, np. tomiki polskich niepełnosprawnych poetów do dziś służą mi jako materiały dydaktyczne dla studentów arteterapii.

Nie mogłam również nie odwiedzić Biblioteki Kongresu, reklamowanej jako największa na świecie z racji posiadania w swych zbiorach 110 milionów woluminów. Podobno mają tam każdą wydrukowaną na świecie książkę. Nie sprawdzałam, za to sprawdzano mnie. Kontrola była tak samo drobiazgowa jak na lotniskach. Po jej przejściu uprzejma pani bibliotekarka z Działu Informacji powiedziała, że szkoda czasu na zwiedzanie tego nowoczesnego budynku – ciekawszy jest ten pierwszy, już historyczny, im. Jeffersona, znajdujący się po drugiej stronie ulicy. I rzeczywiście. Było co zwiedzać. Przepych jeszcze większy niż w Kapitolu

W planie miałam obejrzenie jeszcze dwóch miejsc, które odkładałam na koniec, bo były w pobliżu miejsca obrad Światowego Kongresu Muzykoterapii. No i, niestety, nie zdążyłam już odwiedzić ani zoo, podobno niezwykle bogatego ani kate-

dry, której sylwetkę codziennie widziałam z odległości kilkuset metrów. Po ceremonii kończącej kongres, już z bagażem, jak zwykle niewielkim, pojechałam na lotnisko. Przesiadkę miałam w pobliżu głównego cmentarza wojskowego Arlington, no i na zakończenie pobytu w stolicy Stanów Zjednoczonych odwiedziłam ten wyjątkowy cmentarz, bardzo rozległy i bardzo skromny. Jak wszyscy skierowałam swe kroki do grobu Prezydenta, którego nazwisko już kilkakrotnie wymieniłam- Johna Fizgeralda Kennedy'ego a później do Grobu Nieznanego Żołnierza.

I tak pełna wrażeń, spokojnie wsiadłam do samolotu linii Delta, lecącego do Nowego Jorku, gdzie miałam przesiadkę na samolot LOTu do Warszawy. Po wylądowaniu na lotnisku JFK, zgodnie z procedurą podałam bilet stewardesie. No i stało się. Oderwała nie tę część biletu, co trzeba, a ja niczego nieświadoma udałam się do innej „gate” czyli bramy, zgodnie z wyświetloną nazwą lotu, odległej chyba o kilka kilometrów od tej, przez którą wyszłam. Zbliżał się czas odlotu, więc stawiałam się do odprawy i wtedy okazało się, że nie mam ważnego biletu. Próbowałam wyjaśnić, jak to się stało ale reprezentantka Lotu była bezwzględna i w ostrych słowach kazała mi wrócić do odprawy „Deltę”. Zdenerwowana wezwałam taksówkę i pojechałam z powrotem, ale nic nie załatwiłam. Kiedy już bliska rozpacz snułam czarny scenariusz dalszego ciągu mojej wizyty w USA, w tłumie pasażerów dostrzegłam Jego Magnificencję rektora UAM. Też, jak się okazało, miał przesiadkę w Nowym Jorku, bo wracał z Pittsburga. Dowiedziawszy się o tym, co mnie spotkało, porozmawiał z tą nieuprzejmą urzędniczką, i spowodował, że jednak wpuściła mnie na pokład. Nie mogłam jednak zapomnieć o tym incydencie i w Poznaniu złożyłam skargę do dyrekcji Lot'u. W ramach przeprosin dostałam obietnicę zniżki na następny lot do USA. Skorzystałam z niej prawie równo rok później. Tym razem poleciałam do Bostonu.

Boston bez herbatki.

Biblioteka Publiczna i Instytut Muzykoterapii.

Mój drugi lot do Stanów Zjednoczonych związany był, jak poprzedni, z muzykoterapią. Nawiązane na konferencjach kontakty owocowały przede wszystkim ożywioną korespondencją ale też zaproszeniami, i tak prof. dr Suzanne Barbara Hanser, dyrektor Instytutu Muzykoterapii w Berklee College w Bostonie, zajmująca się muzykoterapią kobiet w ciąży oraz osób w ostatniej fazie życia, autorka wielu artykułów i książek na ten temat, pełniła wówczas funkcję Przewodniczącej Światowej Federacji

Muzykoterapii (WMTF) zaprosiła mnie do wygłoszenia wykładów o kulturoterapii dla swoich studentów. Zaproponowała dość nieciekawym termin pierwszego spotkania: 2. listopada, godz. 12-00

Tym razem organizując sobie pobyt skorzystałam z Internetu. Najbardziej przystępną cenę, jak mi się wydawało, miał pewien pensjonat w Bostonie Południowym toteż tam zarezerwowałam miejsce. Adresów w dzielnicy Cambridge nawet nie sprawdzałam, a szkoda bo na miejscu okazało się, że to jest dzielnica uniwersytecka, wszystko blisko i wcale nie tak drogo. W efekcie musiałam jeździć autobusem z jednego końca miasta na drugi, mieszkać w brzydkiej dzielnicy, pełnej starych i wyburzanych domów (tam nakręcony został słynny ongiś film *Samotność długodystansowca*) ale za to w budynku w stylu typowo wiktoriańskim, co właściciele podkreślali w ogłoszeniu, tyle, że od czasów królowej Wiktorii prawdopodobnie nie remontowanym. W pokoju i łazience, urządzonych w lawendowej kolorystyce w różnych miejscach znajdowałam karteczki informujące, by tego i tamtego nie ruszać, mokrych rzeczy nie wieszać do szafy, w butach nie wchodzić do pokoju itp. Pokój miał być ze śniadaniem ale nie był. Nie było czajnika ani dostępu do kuchni, ani baru czy restauracji w pobliżu. W turystycznym centrum Bostonu natomiast, na wystawach sklepowych, zwłaszcza w okolicy portu, w którym stała replika statku handlowego z XVIII w, na którym w roku 1773 rozegrały się wydarzenia noszące nazwę *Boston Tea* (Bostońska herbatka) wszędzie spotkać można było aluzje do tej "herbatki" - szczegółowy opis wydarzeń związanych z cłem na herbatę i wojną o niepodległość Stanów Zjednoczonych przeczytać można w nieocenionej Wikipedii.

Pierwszego dnia, by nie spóźnić się na wyznaczone spotkanie, wyjechałam wcześniej rano upewniwszy się u gospodarzy, gdzie powinnam wysiąść, bo z planu miasta wiedziałam, jakim autobusem mam jechać: przystanek nazywał się *Library*. Tak więc trafiłam przypadkiem do Biblioteki Publicznej miasta Bostonu i spędziłam w niej 2 godziny. Może to i mało, ale z folderów zdążyłam się dowiedzieć, że wspaniały wystrój wnętrz, począwszy od holu to dzieło słynnego osiemnastowiecznego malarza, a działalność dydaktyczna Biblioteki, liczącej około 6 milionów woluminów jest wprost imponująca. W tej bibliotece przecież, działającej od końca XIX wieku – przypominałam sobie – zainicjowana została biblioterapia, bo biblioteka należała do pierwszych, które zajęły się upowszechnianiem czytelnictwa a nie tylko gromadzeniem książek.

Siedziba Instytutu Muzykoterapii - głównego celu mojej podróży do Bostonu - mieściła się w jednopiętrowej kamienicy, stojącej w szeregu innych, do niej po-

dobnych. W środku panował półmrok. W pomieszczeniu przy wejściu, gdzie u nas zazwyczaj jest portiernia, młody człowiek obsługiwał kserokopiarkę. Wiedział kim jestem i z uśmiechem (bo w Ameryce wszyscy, no prawie wszyscy, się uśmiechają, o wyjątku jeszcze napiszę) zaprowadził mnie do pani dyrektor. Panią Barbarę znałam z kongresów w Hamburgu (1996) i Leuven (1998), na kongresie w Waszyngtonie, rok wcześniej dokąd miałyby najbliżej jej nie było, bo była na drugim końcu świata, o ile pamiętam – na Tajwanie, więc wiedziałam, że będzie sympatycznie. Od razu pokazała mi nad czym pracuje, a później na moją prośbę pokazała też archiwum. Wszystko w jednym niewielkim pokoju, bez skrawka miejsca wolnego od druków. Gdy po dwóch godzinach zapytała, czy nie napiłabym się kawy, rozejrzałam się za czajnikiem, bo zorientowałam się, że nie ma sekretariatu i wtedy pani profesor zawołała asystenta, tego młodego człowieka, zajętego kserowaniem, a ten powiedział że pójdziemy do bufetu. Bufet znajdował się nie dość że w innym budynku to jeszcze przy innej ulicy. Z bufetu wróciliśmy niosąc w rękach papierowe kubki z kawą. Piszę o takich drobiazgach, bo wówczas w Polsce kawa po amerykańsku nie była w tak powszechnym użyciu, jak teraz; ja w każdym razie piłam ją w taki sposób po raz pierwszy. Asystent zaś nie zastępował portiera, bo portierów w uczelniach nie ma. A profesorowie, o ile nie są gdzieś zagranicą (wówczas włącza się pod ich adresem e-mail odpowiednia informacja) pracują cały dzień tak intensywnie, że na kawę lub herbatkę nawet nie mają czasu.

Nie miałam, niestety, możliwości przekonania się, jak się pracuje na Uniwersytecie Harvarda, ale w jego szacownych murach, w bostońskiej dzielnicy Cambridge byłam, Tym, co rzuciło mi się w oczy to studenci: prawie sami Japończycy w czarnych garniturach, takie przynajmniej odniosłam wrażenie i utrwaliłam na zdjęciu. Pomnik założyciela Uniwersytetu, Harvarda był akurat odnawiany, więc jego zdjęcia nie mam.

New York, New York.

W drodze powrotnej z Bostonu zatrzymałam się kilka dni w Nowym Jorku, u Basi M., muzykoterapeutki z doktoratem z nauk medycznych, zrobionym w łódzkiej Akademii Medycznej. Jej dom położony jest na Long Island, prawie 70 km od Manhattanu. Basia była bardzo zajęta, więc odwiozła mnie tylko samochodem do stacji metra, dała bilet i powiedziała, gdzie mam iść. Bilet, jak wiadomo, trzeba skasować, co we wszystkich automatach wygląda podobnie, ale na tej stacji metra jakoś sprawiało mi trudność. Bramka nie otwierała się. Nikogo nie było w pobliżu, ale w kabinie siedziała

dyżurna. Podeszłam więc do niej używając stosownej w tej sytuacji formułki *”Could you help me?”*, jednak zamiast pomocy usłyszałam potok słów i powtarzane z krzykiem zdanie, jedyne jakie zrozumiałam : *”nie umiesz czytać?! Instrukcja jest po angielsku!”* Poprawność polityczna nie pozwala zwracać uwagi na kolor skóry, ale gdy tak byłam besztana, przez głowę przeleciała mi myśl, czy to aby nie jest zemsta za tyle lat niewoli... Na Manhattan w każdym razie tego dnia nie pojechałam. A kiedy pojechałam na drugi dzień, pierwsze kroki skierowałam do World Trade Center. Słynne wieżowce robiły wrażenie. Wjazd windą na górę, na piętro widokowe, z grupą turystów kosztował tylko 15 dolarów ale trzeba było czekać w długiej kolejce. Ktoś z obsługi na parterze, widząc jak się rozglądam, podpowiedział mi, bym sama wsiadła do windy i pojechała do restauracji, na 105 piętrze, i tak zrobiłam. O stolik wcale nie było łatwo więc w oczekiwaniu na wolne miejsce obeszłam wszystkie okna dookoła. Dziwnie dziś pisać, że był to widok niezapomniany. Wracając, zauważyłam coś jeszcze, co mnie zaciękało: na parterze jednego z wieżowców najwyraźniej znajdował się żłobek dla dzieci pracowników: przez nie zasłonięte okna widać było maluchy i zajmujące się nimi opiekunki. Po tragedii 11. września a więc w niecały rok później zastanawiałam się, co się z nimi stało, bo nigdzie o tym żłobku nie czytałam. Innego typu atrakcją, którą *”zaliczyłam”* była Statua Wolności. Płynąc do niej stateczkiem słuchałam słów przewodnika opowiadającego, że przez stojący na brzegu w pobliżu statuy niewielki urzędowy budynek przewinęły się tysiące emigrantów z całego przypływających do Ameryki i, podobnie jak inni, robiłam zdjęcia panoramy miasta: widać na nich stojące dwie wieże WTC.

Pod Muzeum Sztuk Pięknych, które też było celem mojej wyprawy metrem na Manhattan stał stragan. Lał deszcz i nie wiem czy z tego powodu kupiłam tam bardzo tanio album z obrazami Vermeera. Długo krążyłam po tym muzeum zanim znalazłam oryginał *”Czytającej list”*, jeden z moich ulubionych obrazów tego mistrza. Poza tym muzeum nie podobało mi się, przytłaczało wręcz bogactwem i tym, że nazwiska donatorów poszczególnych kolekcji są bardziej eksponowane niż nazwiska twórców.

Ostatnim akcentem mojej podróży do Ameryki była samochodowa wycieczka z Basią po wyspie Long Island. Celem była posiadłość - muzeum prezydenta Teodora Delano Roosevelta. po drodze mijałyśmy cały szereg rezydencji. Z zewnątrz wyglądają dość skromnie, tyle że położone są na dużych działkach ale jak wyglądają w środku to już można obejrzeć tylko na filmach z życia gwiazd. Na szczęście dostęp do Oceanu jest otwarty dla wszystkich dzięki czemu bez przeszkód na atlantyckiej plaży w niedzielne listopadowe popołudnie oddawałyśmy się z Basią talassoterapii.

Obrady ECarTE w Luxemburgu po tragedii 11 września.

11. września 2001 roku wczesnym popołudniem właśnie pakowałam walizkę szykując się do wyjazdu na kolejną konferencję ECarTE gdy usłyszałam komunikat o tym co się zdarzyło w Nowym Jorku. Pierwsza myśl: to niemożliwe, to tylko jakiś film science fiction. Następnego dnia gdy przyjechałam do miasta Luxemburg ujrzałam wszędzie oznaki żałoby narodowej – flagi opuszczone do połowy masztu, w katedrze uroczysta msza św. za dusze ofiar tragedii. Uczestnicy konferencji pamięć ofiar uczcili minutą ciszy.

W Luxemburgu, podobnie jak w Ferrarze większość uczestników mieszkała w domach prywatnych. Moi gospodarze, z zawodu nauczyciele – on w szkole średniej, ona w podstawowej, mieli trzech synów i mieszkali w wygodnym kilkupokojowym szeregowcu blisko centrum miasta. Co drugi dzień przychodziła do nich gospoia Portugalka i sprzątała cały dom. Gospodarze byli bardzo gościnni, pokazali mi nie tylko miasto ale całe państwo Luxemburg, co zajęło nam tylko jeden dzień... W mieście zwróciłam uwagę na wielkie maszty rozgłośni telewizyjnej RTL, potężne fortyfikacje, liczne banki, malowniczy długi czerwony most, autobusy prawie puste jeżdżące z częstotliwością co 4 minuty. Dowiedziałam się, że Luxemburg pierwszy wstąpił do Unii Europejskiej, że bardzo popularna i kochana jest Wielka Księżna Margarita, że wielki problem nauczycielom w szkołach stwarzają dzieci imigrantów, głównie z Portugalii bo nie znają języka luksemburskiego, a muszą też obowiązkowo uczyć się francuskiego i niemieckiego.

Podczas konferencji zaś *”przeżyłam”* promocję mojej właśnie wydanej przez poznańską Akademię Medyczną książki pt. *”Sztuka w służbie medycyny od antyku do postmodernizmu”*, której tytuł na plakacie brzmiał: *„Arts in service of medicine from antiquity to postmodernity”*.

Sztuka i arteterapia we Włoszech.

Włochy są jednym wielkim muzeum sztuki więc jest rzeczą oczywistą, że sztuka w tym kraju jest też bardzo poważnie traktowana jako forma terapii. O Trzeciej, a dla mnie pierwszej Europejskiej Konferencji ECarTE, która odbywała się w roku 1994 w Ferrarze już wspomniałam, opisując początek mojej znajomości i współpracy z ECarTE.. Teraz przypomnę inne włoskie konferencje, także pod różnymi względa-

mi wyjątkowe. Wyjątkowe, bo o ile konferencje naukowe poświęcone prezentacji wyników najnowszych badań i wymianie doświadczeń z zastosowań praktycznych arteterapii są już czymś zwykłym, rzecz można – codziennym, to na przykład konferencje przy okazji uruchamiania regularnych kierunków studiów pod nazwą „Arteterapia” na wielkich uniwersytetach są wciąż wydarzeniem godnym szczególnego podkreślenia. Tak właśnie było w Rzymie, w czerwcu 1997 r. na najmłodszym z rzymskich uniwersytetów a mianowicie na Uniwersytecie Tor Vergata, wybudowanym niedawno i rozlokowanym na przedmieściach Wiecznego Miasta. To miejsce rozsławione zostało kilka lat później Spotkaniem z Młodzieżą Papieża Jana Pawła II, w którym uczestniczyło ponad milion młodych ludzi z całego świata.

Roma „Tor Vergata” i miesięcznik „Arti Therapie”.

Rok 1997 również dla mnie był wyjątkowy, bo wtedy rozpoczęłam właśnie pracę na stanowisku profesora UAM na Wydziale, wówczas jeszcze Instytucie Pedagogiczno – Artystycznym Uniwersytetu A. Mickiewicza w Poznaniu, z siedzibą w Kaliszu, gdzie z inicjatywy jego dyrektora, a później dziekana prof. Jerzego Rubińskiego i przy życzliwym wsparciu ówczesnych władz rektorskich UAM powstał Zakład Edukacji Wczesnoszkolnej i Arteterapii oraz uruchomiony został pierwszy w Polsce kierunek studiów pod nazwą Pedagogika – edukacja wczesnoszkolna z arteterapią. Stamtąd to wydelegowana zostałam na uroczystą konferencję do Rzymu z okazji otwarcia magisterskich studiów z arteterapii przy Klinice Psychiatrycznej na Uniwersytecie „Tor Vergata”. Trzeba zaznaczyć, że już wtedy nie był to jedyny ośrodek akademicki w Rzymie zajmujący się arteterapią. Inny, starszy i bardziej w świecie znany rzymski uniwersytet „La Sapienza” od roku 1995 wydaje, przy współpracy z ECARTE, co jest zaznaczone w podtytule, miesięcznik pt. „Arti Therapie”. Czasopismo w swojej formule jest trochę podobne do naszej „Arteterapii – terapii sztuką w praktyce”, ma taki sam format i równie kolorowe okładki. W uzupełnieniu tytułu wymienione są nazwy dziedzin sztuki wykorzystywanych w terapii: Sztuka (domyśl. Wizualna), Taniec, Muzyka, Teatr, Kino, Poezja, Komunikacja (czyli środki masowego przekazu – telewizja i Internet), Ceramika.

Na Uniwersytet Tor Vergata pojechałam prosto z rzymskiego lotniska Fiumicino. Miałam wprawdzie dużo czasu, ale że odległości były spore no i zawiodła mnie trochę orientacja w terenie, więc kiedy wreszcie dotarłam na miejsce i weszłam do

gmachu Uniwersytetu, pachnącego nowością, wokół wały się jeszcze ślady budowy, okazało się, że konferencja właśnie rozpoczyna się. Jej główny organizator, profesor Vezio Ruggieri przywitał się ze mną kordialnie i z marszu poprosił o wygłoszenie referatu w sesji plenarnej, zaraz po wystąpieniach rzymskich oficjeli. Duża amfiteatralna aula, bardzo wygodna dla słuchaczy ale niekoniecznie dla prelegentki wówczas jeszcze nie do końca obeznanej z nowoczesnymi urządzeniami audiowizualnymi trochę onieśmiałą. Przede mną przemawiał wspomniany prof. Ruggieri, dyrektor Kliniki, który mówił o edukacji estetycznej. Moje wystąpienie zatytułowane: *Dlaczego nauczyciele edukacji wczesnoszkolnej studiują arteterapię?*¹⁰⁸ jednak najwyraźniej Włochów zaciekało, sądząc po oklaskach i pytaniach, gdyż wówczas, podobnie jak w Polsce, arteterapia bliższa była psychiatrii niż pedagogice.

Na rzymskiej konferencji poznałam między innymi pana dr Michele Cavallo z Uniwersytetu „La Sapienza”, który od lat na łamach „Arti Therapie” prowadzi cykl artykułów poświęconych terapii narracyjnej oraz panią Graziellę Pesce z Wenecji, specjalistkę w rzadkiej odmianie arteterapii, jaką jest **arrasoterapia**. Ich działalność i publikacje zainspirowały mnie do zajęcia się szczególną odmianą biblioterapii, jaką jest terapia narracyjna i reminiscencyjna¹⁰⁹.

Filozofię arrasoterapii, jaką wyznaje p. Graziella zachęcając do tkania *Księgi życia*, w której naturalne węzły powstające po zerwaniu nici tkackiej są jak węzły życia, opisałam w książce *Sztuka w służbie medycyny od antyku do postmodernizmu* w rozdziale zatytułowanym *Naśladowanie Odysa: opowiadanie historii życia jako terapia*.¹¹⁰ Pani Pesce bowiem odwołuje się w swojej filozofii arrasoterapii do wątku Penelopy z homeryckiej Odysei.

Znajomość z również poznanym na konferencji redaktorem „Arti Therapie” zaowocowała później publikacją polskiego artykułu na łamach tego prestiżowego czasopisma, i to w dwóch językach: włoskim, co naturalne ale też angielskim, co zdarza się wyjątkowo. Był to opis arteterapii z dzieckiem dyslektycznym, jaką prowadziłam przez rok w Gabinecie Arteterapii AM w Poznaniu, razem z psychologiem, dr Andrzejem Twardowskim (obecnym profesorem, kierownikiem Zakładu Psychopatologii Dziecka w UAM)¹¹¹.

108 Music Therapy in Europe. Musicoterapia in Europa. Ed. D. Aldridge, G. DiFranco, E. Ruud, T. Wigram ISMEZ, Roma 2001, s. 332

109 Por. W. Szulc, Terapia narracyjna Opowiadanie historii życia. Alma Mater, Lublin, 2000, nr 3/36, s. 110 – 116.

110 W. Szulc, Sztuka w służbie medycyny..., Poznań 2001, s. 144 – 151.

111 W. Szulc, A. Twardowski, Il bambino disslessico In laboratorio di arte terapia. Arti Therapie, 2001, nr 2. s. 36 – 39; Toż.: W. Szulc, A. Twardowski, Working with dyslexic child In art. therapy room. Arti

Starożytne Tivoli. Wizja terapii ogrodowej i pejzażoterapii.¹¹²

Po konferencji pojechałam podmiejskim autobusem kilkadziesiąt kilometrów na wschód od Rzymu, do miasteczka Tivoli (rzymska nazwa Tiibur), gdzie znajduje się wspaniały ogród renesansowy, nie mający sobie równych w Europie – Villa D’Este. Najważniejszym elementem ogrodu jest woda. Kaskady strumieni i dziesiątki prze-myślnie skonstruowanych fontann na tle bujnej, śródziemnomorskiej zieleni tworzą wprost bajeczną scenerię, podziwiana przez tysiące turystów z całego świata. W Tivoli zachowały się również pozostałości rzymskiej willi cesarza Hadrian z I/II. w. n.e. Są to ruiny wielu różnych budowli o przeznaczeniu rekreacyjnym, ponieważ w starożytności nazwa *villa* nie ograniczała się, jak współcześnie, tylko do jednego budynku. Ze wzgórza, na którym rozlokowana jest Villa Adriana (nazwa włoska) rozciąga się widok na panoramę Rzymu, tak samo jak w starożytności, gdy oglądał ją przyjeżdżający tu na letni wypoczynek cesarz i jego goście.

Połączenie naturalnego krajobrazu ze sztuką ogrodnictwa to istota terapii ogrodowej (hortikuloterapii), stosowanej już od czasów grecko – rzymskich, choć bez tej nazwy i intencji.

Eros i Psyche w Bari. Wielka Grecja we Włoszech.

We wrześniu roku 1999 zdecydowałam się skorzystać z zaproszenia dr Francesco Palmirotty (poznanej na Światowym Kongresie Muzykoterapii w Hamburgu w roku 1996) i ponownie pojechać do Włoch na organizowaną przez niego konferencję pod intrygującym hasłem *Sen, Miłość i Dusza*.

Podróż z Rzymu, z dworca Roma Termini do Bari odbywałam pociągiem, bardzo wygodnym. Zapamiętałam z niej moment, w którym pociąg, w górzystym terenie zatrzymał się na jakiejś stacji, której nazwy nie widziałam. Spoglądając przez okno zobaczyłam widok znany z wielu filmów: wijąca się serpentynami stromo pod górę droga, a na szczycie góry zabudowania klasztorne. Kiedy pociąg ruszył, nie miałam już wątpliwości: było to Monte Casino. Na dworcu w Bari czekały na mnie dwie pannie, Rita i Velia, wydelegowane przez Franceskę i zawiozły samochodem do wspo-

Terapie, 2001, nr 2, s. 40 -42., il.

112 Terapia ogrodowa nazywana jest także hortiterapią lub hortikuloterapią, obie nazwy zonaczają to samo, terapię ogrodową, z tym że jedna pochodzi od łacińskiego wyrazu hortus – ogród, a druga od horticulus – ogródek.

mnianego Borgo Solinio. Miejscowości takiej próżno szukać na mapie, bo jak mi wytłumaczono, jest to nazwa małej osady (*borgo* po włosku znaczy wioska), którą zaprojektował i ozdobił własnymi metalowymi rzeźbami sam Francesco Palmirotta. Nazwa miejscowości oznacza „*słońce we mnie*”. Zamieszkuje ją i prowadzi wspólne gospodarstwo grupa nauczycieli wraz z rodzinami, pracujących w Konserwatorium w pobliskim Bari. Z autorskich książek doktora Palmitoty wiedziałam, że zajmuje się on muzykoterapią psychoanalityczną i czuje się intelektualnym spadkobiercą filozofii uprawianej w starożytności na obszarze Wielkiej Grecji (Magna Graecia) obejmującej swym obszarem dzisiejsze południowe Włochy.

Konferencja odbywała się w Konserwatorium, z którym zawodowo związani byli gospodarze i choć miała charakter raczej lokalny (około 60 uczestników, głównie z południowych Włoch) to jej gośćmi byli także przedstawiciele USA, Rosji, Serbii z Czarnogórą, Słowenii. W referatach przewijały się wątki mistyczne, filozoficzne, teologiczne ale też polityczne. Dr Jasna Velkovic z Jugosławii, adresując swoje wystąpienie pośrednio do obecnej na konferencji Amerykanki opisała dramaterapię prowadzoną dla ofiar bombardowań, jakich dopuściło się NATO wobec mieszkańców Belgradu.

Moje wystąpienie, które wygłosiłam po włosku, miało tytuł *Muzyka jako wyzwalcza wspomnień. Sen o utraconej ojczyźnie*¹¹³. Zaczęłam od przypomnienia, że z Bari pochodziła polska królowa Bona Sforza (wcześniej przekonałam, się, że nikt z mieszkańców Borgo Solinio o tym nie wiedział) a później opisałam historię polskiego expatrianta z Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej, który w wyniku Układu Jałtańskiego (o tym układzie także nikt nie wiedział) musiał opuścić swoją małą ojczyznę a tęsknotę za nią wyrażał w twórczości poetyckiej, malarskiej i muzycznej Ponieważ był to czas, gdy w pamięci wszystkich żywa była zakończona niedawno wojna w Jugosławii, jako ilustrację muzyczną wykorzystałam tęskne dumki z płyty *Goran Bregović i Kayah*. Wrażenie było niesamowite. W ciszy, jaka zapanowała po moim wystąpieniu, sala pogrążona była w ciemności, bo wyświetlałam slajdy, stojący obok Francesco powiedział do mnie: *Guarda – tutti piangono (Popatrz, wszyscy płaczą)*.

W Borgo Solinio rolę pokoju gościnnego pełnił aneks przy bibliotece. Był tam bardzo bogaty księgozbiór, niestety, nie miałam czasu by go dokładniej przejrzeć, ale i tak znalazłam dwie interesujące mnie książki. Pierwsza to była monografia poświęcona Kajrosowi (a ta mało znana postać mitologiczna w szczególny sposób mnie fa-

113 Tekst wydrukowany został częściowo po włosku, częściowo po angielsku, por. W. Szulc, Music as a "trigger" of reminiscences. Dream about lost homeland". W: Sogno, Amore e Anima. Dream, Eros and Psyche. Psicoterapia e Musicoterapia. Atti della XII Conferenza Internazionale. AMO Editrice a cura di Francesco Palmirotta, Rita Madonna, Velia Minutiello, 2001, s. 83 - 90

scynuje), a druga to dość zniszczony, pozbawiony karty tytułowej, liczący prawie 600 stron i nie mniej kolorowych ilustracji podręcznik szkolny, najwidoczniej do przedmiotu Wiedza o sztuce. Widząc moje zainteresowanie, Velia dała mi ten podręcznik, no i oglądam go sobie od czasu do czasu podziwiając, jak w sposób niekonwencjonalny, mieszając style, epoki i gatunki i stawiając przemyślane pytania można uczyć dzieci patrzenia i rozumienia dzieł sztuki.

Moi gospodarze pokazali mi także znajdującą się nieopodal ciekawostkę geograficzno – geologiczno – kulturową, a mianowicie groty wydrążone w miękkich, białych skałach, zamieszkiwane przez ludzi już w epokach prehistorycznych, później przez biedotę a obecnie przez mających tam pracownie artystów i ekscentryków, żądnych niezwykłych wrażeń. A w mieście Bari spodobał mi się widok bardzo swojski: w domach przy wąskich uliczkach, na ustawionych przy oknach stołach ubrane na czarno włoskie mammy wyrabiały ciasto i formowały z niego najróżniejsze makarony.

Jerozolima w roku 2000.

Był czas, gdy ton europejskiej muzykoterapii nadawał Izrael. Ukoronowaniem tego okresu były obrady EMTC w Jerozolimie w roku 2000. Na ten kraj bowiem, jako miejsce obrad GA EMTC jednogłośnie zdecydowali się wówczas wszyscy członkowie EMTC, choć zwykle padają różne propozycje. Przełom tysiącleci i miejsce, w którym zaczęła się nowa era były chyba decydującym argumentem, by w roku 2000 spotkać się na terenie Ziemi Świętej. Przynależność Izraela do Europejskiej Konfederacji Muzykoterapii zawsze jednak była dyskusyjna, mimo aktywności pracujących tam muzykoterapeutów, ponieważ Izrael nie jest państwem europejskim, nie należy do Unii Europejskiej, choć jego przedstawiciele z Europą czują się związani. W roku 2010 na Walnym Zgromadzeniu EMTC w Hiszpanii po raz pierwszy oficjalnie stwierdzono, że z tego właśnie powodu Izrael stracił prawo należenia do Europejskiego Komitetu Muzykoterapii. Decyzję taką podjęto w obecności reprezentantów 26 krajów, a mianowicie: Austrii, Belgii, Bułgarii, Czech, Danii, Estonii, Finlandii, Niemiec, Grecji, Węgier, Islandii, Litwy, Łotwy, Luxemburga, Polski, Portugalii, Serbii, Słowenii, Hiszpanii, Szwecji, Holandii, Wielkiej Brytanii, Szwajcarii, Norwegii i Włoch. Jednocześnie, w wyniku tajnego głosowania, większością głosów przyznano doroczną nagrodę za usługi dla muzykoterapii pani dr Chawie Sekeles. Wspomnienie lat, w których Izrael nadawał ‘ton’ europejskiej muzykoterapii zachęca do przypomnienia okoliczności, w

jakich przebiegały obrady EMTC w Jerozolimie w roku 2000.

Miejsce naszego zakwaterowania znajdowało się w Kibucu Ma’ale Hachamisha, położonym piętnaście kilometrów na wschód od Jerozolimy. Przy okazji dowiedzieliśmy się na jakich zasadach ekonomiczno – społecznych funkcjonują kibuce, że np. sponsorują zagraniczną edukację najzdolniejszej młodzieży, która po studiach zobowiązana jest wrócić i pracować w rodzinnym kibucu. W Izraelu czuło się, że to kraj, w którym toczy się wojna. Na ulicach na każdym kroku widać uzbrojonych żołnierzy, w tym wiele kobiet w mundurach, alarmy bombowe były na porządku dziennym (przeżyłam trzy), od Wzgórz Golan wiało grozą. Organizatorzy konferencji zapewnili nam trzydniowy pobyt w wygodnym hotelu na terenie kibucu, otoczonym pięknym ogrodem, oddalonym na tyle od Jerozolimy, by nic nie mogło odciągnąć nas od obrad, a te trwały – niczym praca – od godziny 9 do 18, z godziną przerwą na lunch ¹¹⁴.

Priorytetowym zadaniem, jakie postawił sobie na progu nowego tysiąclecia Europejski Komitet Muzykoterapii było zapewnienie pełnego członkostwa w Unii Europejskiej. Drugim ważnym problemem wymagającym konsultacji przedstawicieli poszczególnych krajów zrzeszonych w EMTC była standaryzacja programów kształcenia. Dyplom ukończenia studiów miałby być honorowany we wszystkich krajach Unii Europejskiej. Ostatnią sprawą, którą zajmował się wtedy Europejski Komitet Muzykoterapii był program V Europejskiego Kongresu Muzykoterapii zaplanowanego na kwiecień 2001. Prezydent EMTC dr Gian Luigi Di Franco punkt po punkcie przedstawiał program, a myśmy nad nim dyskutowali i głosując akceptowali lub odrzucali. To jest dopiero demokracja!. Ożywioną dyskusję wzbudziły kryteria akceptacji referatów przewidzianych do wygłoszenia w sesjach plenarnych bądź problemowych. Na obrady Okrągłego Stołu poświęconego edukacji zgłosiłam wystąpienie na temat kształcenia muzykoterapeutów w Polsce.

Wyprawa do Betlejem.

Plan pobytu w Izraelu nie przewidywał zwiedzania Betlejem. Postanowiłam jednak zaryzykować i dojechać tam samodzielnie. Zwolniłam się u przewodniczącego, wspomnianego już dr Gianuigi Di Franco z ostatniej godziny obrad i późnym popołudniem pojechałam autobusem z kibucu do Jerozolimy. Tam zaś na skrzyżowaniu pod światłami w pobliżu Bramy Jaffa po prostu podniosłam rękę i zatrzymałam

¹¹⁴ Tak zawsze przebiegały obrady General Assembly EMTC i ECArTE, niezależnie od kraju, w jakim się odbywały.

inny autobus, niebieski z białym napisem Bethlehem. U kierowcy wykupiłam bilet za 50 centów i po chwili zorientowałam się, że jest to autobus arabski. Pasażerami były głównie kobiety w tradycyjnych strojach muzułmańskich. Moją uwagę zwróciła jedna, bardzo młoda i śliczna z niemowlęciem na ręku w złocisto-błękitnej szacie. Gdy wysiadała z autobusu zobaczyłam, że towarzyszy jej jeszcze dwoje starszych dzieci. Jej sylwetka lekko pochylona z głową luźno osłoniętą chustą, nasunęła mi skojarzenie z wizerunkiem Matki Boskiej Cygańskiej, może dlatego, że to było Betlejem, a kobieta była podobna do Tej z świętego obrazka, jaki mam w domu.

Do Bazyliki Narodzenia dotarłam z trudem, bo normalnie pielgrzymi podjeżdżają tam autobusami, jednak mój arabski autobus jechał inną drogą więc spory kawał drogi musiałam przejść pieszo. Na ulicach było całkiem pusto, ani turystów, ani pielgrzymów, próbowałam zagadnąć jakiegoś żołnierza, ale obrzucił mnie złym wzrokiem i pobiegł gdzieś w sobie znanym celu. Zastanawiałam się, czy nie zwiedzić Muzeum Narodzenia (chyba były tam szopki) ale odźwierna czyli kustoszka zniechęciła mnie mówiąc, że nie ma tam nic ciekawego. Na placu przed Bazyliką już było dużo ludzi, którzy przyjechali wycieczkowymi autokarami. Gdzieś tam widać było nie zdjęte jeszcze transparenty z napisami Welcome to Papa świadczące o niedawnej wizycie Jana Pawła II. Wśród pielgrzymów przeważali greko-katolicy i prawosławni, ponieważ był to czas Wielkiej Nocy w Kościele Prawosławnym. Przy okazji dowiedziałam się, że przy ołtarzu nad Gwiazdą Betlejemską nie mogą odprawiać mszy świętej katolicy. Jak podają statystyki, w Izraelu jest tylko 0, 5% wyznawców religii katolickiej.

Masada i Kolegium Davida Yelina – szkoła patriotyzmu i tolerancji.

Powrót do Jerozolimy nie był skomplikowany. Na drugi dzień po południu, już wszyscy razem pojechaliśmy do Masady. To jest wysoka, trudno dostępna góra z ruinami starożytnej twierdzy, miejsce historycznie bardzo ważne dla Żydów: tutaj żołnierze izraelscy składają wojskową przysięgę ze słowami *nigdy więcej Masady*: chodzi o wydarzenie, które miało miejsce w roku 63 p. n. e. opisane przez historyka Józefa Flawiusza w dziele pt. *Wojna żydowska*. Obrońcy Masady woleli popełnić zbiorowe samobójstwo niż poddać się Rzymianom.

Podczas zwiedzania Jerozolimy miejsca najświętsze dla chrześcijan (Góra Oliwna, Wieczernik, kościoły Pater Noster, Deus Flevit) oglądaliśmy tylko z okien autobusu, jadąc szosą wzdłuż Doliny Cedronu, jakaś stacja benzynowa skutecznie ten

widok przysłaniała. Nasza gospodyni, pani Chava podprowadziła nas pod Bazylikę Grobu Pańskiego, ale nikt nie próbował przedrzeć się przez tłum kłębiący się u wejścia. Atmosfera jak na jarmarku. To samo powtórzyło się na Via Dolorosa. Od Bramy Damasceńskiej skręciliśmy w lewo, by zobaczyć Grób w Ogrodzie i inną Golgotę, niewielką górę, rzeczywiście ludzko przypominającą czaszkę. Ogrodem tym i Grotą opiekuje się Misja Kościoła Anglikańskiego, bo to miejsce jest uważane przez niektórych za właściwe miejsce ukrzyżowania i grobu Chrystusa. Dużo więcej czasu mieliśmy na kontemplację pod Ścianą Płaczu, na co jak się zorientowałam nikt prócz mnie z naszej grupy nie miał ochoty. Wszyscy się rozeszli ustalając godzinę spotkania przy autokarze, a ja usiadłam na krześle po stronie przeznaczonej dla kobiet. Ciekawe, że zdjęcia z tego miejsca zazwyczaj przedstawiają tylko modlących się mężczyzn, tymczasem istnieje przegroda, za którą po prawej stronie modlą się kobiety. Spora ilość rozstawionych krzeseł zachęca do spoczynku i skupienia. Skorzystałam z tej okazji. Promienie zachodzącego słońca powodowały, że Ściana wydawała się złota. Wrażenie niezwykle. W pamięci miałam pokazywane w telewizji 3 tygodnie wcześniej zdjęcie naszego Papieża wsuwającego w szczelinę w murze jerozolimskiej świątyni kartkę z napisanym życzeniem. Spacerując po Jerozolimie widziałam wielu mężczyzn w tradycyjnych strojach chasydzkich czule opiekujących się dziećmi. Nie mogłam wprost uwierzyć, że zjawisko przemocy w rodzinie ma w Izraelu bardzo szeroki zasięg, o czym się głośno mówi i dużo pisze.

W Jerozolimie odwiedziliśmy jeszcze Kolegium Davida Yelina. Kształci się tam nauczycieli edukacji wczesnoszkolnej oraz arteterapeutów. Cel zaś powołania tego Kolegium był bardzo szczególny. Chodziło mianowicie o to, by przygotowywać dzieci, młodzież i nauczycieli do życia w społeczeństwie wielonarodowym i wielokulturowym. Unikatowość filozofii pedagogicznej Kolegium polega na ścisłej więzi teorii z praktyką i współpracy studentów i nauczycieli w dziedzinie wychowywania dzieci. Antropozoficzny program kształcenia nauczycieli oparty jest na filozofii Rudolfa Steinera. zakłada pełną koncentrację uwagi na dziecku raczej, niż na przedmiocie nauczania i kładzie nacisk na rozwój osobisty, rozwój umiejętności i zdobywanie wiedzy, szczególne miejsce przyznając sztuce. Wielka waga przywiązywana do sztuki wyraża się w tym, że studenci przechodzą kursy rysowania, rzeźby, muzyki, ćwiczenia wymowy i zajęcia z dramy. Dla dzieci które mają określone problemy z uczeniem się: trudności w czytaniu i w pisaniu, problemy w koncentracji i adaptacji, kształci się nauczycieli na specjalnym kursie diagnozowania i leczenia tych niesprawności. Dzięki temu

studenci mają bezpośredni kontakt z praktyką pedagogiczną w takich obszarach w jakich w przyszłości będą samodzielnie pracować. Cotygodniowe seminaria stwarzają im szansę zadawania pytań i rozwiązywania problemów teoretycznych w odniesieniu do pracy z konkretnymi dziećmi. Kolegium Edukacyjne Davida Yellina pierwsze w Izraelu wprowadziło programy kształcenia terapeutów przez sztukę. Instytut Arte-terapii prowadzi dwuletni program na poziomie uniwersyteckim, w którym można się specjalizować w jednej z dziedzin sztuki. Absolwenci otrzymują dyplom uznany przez Ministerstwa Zdrowia i Edukacji oraz przez Izraelskie Stowarzyszenie Terapii Kreatywnych i Ekspresyjnych (ICET). Program koncentruje się na sztuce jako części systemu pomocy ludziom mającym problemy psychologiczne i neurologiczne. Absolwenci Instytutu znani są szeroko w całym Izraelu ze swojego profesjonalizmu na bardzo wysokim poziomie. Szczególnego rodzaju narzędziem mającym ułatwić studentom poznanie nowego języka ekspresji – współczesnej sztuki izraelskiej jest Galeria Sztuki. W Galerii organizowane są wystawy dzieł znanych artystów izraelskich. Jej pracownicy prowadzą dla studentów warsztaty mające na celu wzbogacenie programów edukacyjnych o wartości estetyczne. Warsztaty te uczą jak patrzeć na obrazy i rozumieć malarstwo jak również w jaki sposób posługiwać się w pracowni szkolnej materiałami artystycznymi. Realizacja tak bogatego programu edukacyjnego wymaga oczywiście ogromnych środków finansowych, a te na szczęście dla swoich obywateli Izrael posiada.

Pożegnanie z Izraelem. Obrady EMTC w Hiszpanii, w Kadyksie 10 lat później.

Na zakończenie konferencji w Jerozolimie pani Chava, wraz z mężem zaprosiła wszystkich członków Europejskiego Komitetu Muzykoterapii, a było nas wówczas dwadzieścioro, do swego domu pod Jerozolimą. Pod względem architektonicznym wyglądał typowo: prostokątna bryła budynku z białego piaskowca (przepisy wymagają, by nowobudowane domy były białe), otoczony śródziemnomorskim ogrodem. Pyszne regionalne potrawy przygotowała sama gospodyni, a po prawdziwej uczcie uczyła nas tańców i śpiewów takich jakie podziwiamy na festiwalach kultury żydowskiej, choćby w krakowskim Kazimierzu. I choć potem spotykaliśmy się jeszcze kilkakrotnie, to wszyscy z sentymentem wspominają ten rok dwutysięczny w Izraelu.

Zgromadzenie Ogólne EMTC dziesięć lat później w Kadyksie miało bardzo

poważny charakter. Oprócz decyzji o wykluczeniu ze swego grona reprezentacji Izraela, co nie było miłe, wybrało nowy Zarząd. Na czele stanęła Dunka, dr Hanne Mette Ridder, vice-przewodniczącymi zostali: dr Adrienne Lerner z Francji, która została jednocześnie Sekretarzem Generalnym EMTC, w miejsce znanej w Polsce Niemki, dr Moniki Noecker-Ribaupierre i prof. Ferdinando Suvini z Włoch, pełniący zarazem funkcję skarbnika, w miejsce dr Julii Sutton z Wielkiej Brytanii. Powołano też komisję do Prowadzenia Badań Naukowych, do której zostałam zaproszona.

Ponownie Bella Italia.

V Europejski Kongres Muzykoterapii w Neapolu w roku 2001.

Przewodniczącym Europejskiego Komitetu Muzykoterapii (EMTC) na przełomie lat 90. i 2000. był dr Gian Luigi DiFranco, postać niezwykle barwna i zasłużona dla światowej muzykoterapii. Urodzony na Capri, całe życie związany z Neapolem, z powołania, talentu i wykształcenia muzyk wokalista, autor popularnych szlagierów, który po studiach z zakresu muzykoterapii odbytych w USA zajął się fachowo uprawianiem muzykoterapii pacjentów psychiatrycznych oraz na szeroką skalę edukacją i profesjonalizacją zawodu muzykoterapeuty. Pełen niespożytej energii, z jaką walczył o konsolidację ruchu muzykoterapeutycznego we Włoszech, charakteryzującego się tendencją do zamykania się we własnych kilku stowarzyszeniach i ignorowania innych (skąd my to znamy!). Był *spiritus movens* IX Światowego Kongresu Muzykoterapii w Waszyngtonie w roku 1999 i Zgromadzenia Ogólnego EMTC w Jerozolimie w roku 2000 no i głównym organizatorem Europejskiej Konferencji Muzykoterapii w Neapolu, w kwietniu roku 2001. Jest współautorem, obok Dawida Aldridge, Evena Ruuda i Tonięgo Wigrami bardzo ważnej książki, opisującej najważniejsze kierunki i nurty muzykoterapii pt. Muzykoterapia w Europie, dostępnej podczas neapolitańskiej konferencji, i szeregu książek autorskich, także o charakterze podręcznikowym. Dr GianLuigi DiFranco zmarł przedwcześnie w roku 2005, pokonany przez raka, w wieku 52 lat. W roku 2010 nominowany był przez Europejski Komitet Muzykoterapii do nagrody EMTC.

Na konferencję w Neapolu pojechałam, a ściślej mówiąc poleciałam razem z asystentką z Zakładu Edukacji Muzycznej Beatą M. Pani Beata jest muzykiem, specjalizuje się w metodzie Orffa i temu poświęcony był jej referat; ja miałam tylko sprawozdanie przygotowane do wygłoszenia na zamkniętych obradach EMTC. Beata świetnie

zna włoski i Włochy, więc prócz referatu przygotowała starannie całą naszą wyprawę: bilety All'Italia w promocji, hostel w Rzymie, w drodze do Neapolu i pensjonat w Neapolu, przy samej nadmorskiej promenadzie, z widokiem na Wezuwiusz. Pensjonat mieścił się w starej trochę tylko wyremontowanej kamienicy, w wielopokojowym mieszkaniu, z pokojami w amfiladzie, co sprzyjało życiu towarzyskiemu. Wszystko za niewielkie pieniądze. Miejszem obrad był zamek d'Ovo, na cyplu, do którego z owej promenady prowadziła grobla. Zamek otoczony z trzech stron morzem nie wiedzieć czemu kojarzył mi się z twierdzą If z *Hrabiego Monte Christo*. Wychodząc z zamku, na nowoczesnym budynku po drugiej stronie ulicy dostrzegłam wmurowaną tablicę. Informowała, że w tym miejscu stał dom, w którym mieszkał polski pisarz, Henryk Sienkiewicz, autor powieści *Quo vadis*. Zaraz poczułam się dumna. Zakończenie konferencji miało wspaniałą oprawę. Bankiet pożegnalny odbył się bowiem ni mniej ni więcej tylko w Pałacu Królewskim., bo kiedyś Neapol był stolicą Królestwa Neapolu. Ach, te marmurowe schody, żyrandole, lustra, obrazy mistrzów na ścianach! Neapol opuszczaliśmy z żalem, nie przypuszczając, jak wielka jeszcze czeka nas niespodzianka.

Panie są z Polski. Wizyta w Watykanie.

Wspominając tę niezapomniana wizytę pominę szczegóły, jak do niej doszło. Przypomnę tylko, że był rok 2001. Senat Uniwersytetu A. Mickiewicza w Poznaniu nadał tytuł doktora honoris causa papieżowi Janowi Pawłowi II. Na początku kwietnia członkowie Senatu *in gremio* pojechali do Watykanu wręczyć Jego Świątobliwości ten dokument. Nie było mnie w tym gronie, ponieważ do senatu UAM wybrana zostałam dwa lata później, ale okazję osobistego spotkania z naszym Papieżem miałam 1. Maja 2001 r. Pod koniec kwietnia owego roku, wracając z Europejskiej Konferencji Muzykoterapii w Neapolu, wraz z Beatą M., zatrzymałyśmy się w Rzymie. Powód był szczególny: otrzymałyśmy zaproszenie na prywatną audiencję u Jego Świątobliwości w Bibliotece Watykańskiej. Przedstawił nas Ojcu Świętemu, jak zwykle w takich sytuacjach, arcybiskup Stanisław Dziwisz, anonsując *Panie są z Polski*. Wrażenie z tego spotkania na długo przysłoniło wszystkie inne i dlatego o kilku innych krajach, jakie odwiedziłam w związku z arteterapią opowiem w wielkim skrócie.

Arteterapia za naszą wschodnią i południową granicą.

Tak się złożyło, że nigdy nie byłam w Związku Radzieckim, ani później w Rosji, choć przez krótki okres miałam w dowodzie osobistym wpisane jako kraj urodzenia ZSRR, a szkoda. Terapia przez sztukę: biblioterapia, muzykoterapia, terapia z wykorzystaniem sztuk plastycznych są tam popularne, co zauważyłam już dawno czytając pismo „Medycinska Sistra” z lat 80. i odnotowałam przedstawiając własną koncepcję kulturoterapii. Prof. dr Aleksandr Kopytin arteterapeuta z Uniwersytetu Pedagogicznego w Petersburgu jest uznanym autorytetem nie tylko w swojej ojczyźnie ale w całej arteterapeutycznej Europie, gdzie reprezentuje w ECARTE Rosję. Prof. dr Szuhadrjan z Moskwy, psychiatra a zarazem artysta muzyk (baryton operowy) zajmuje się wykorzystaniem śpiewu w leczeniu określonych schorzeń (poznałam go na konferencji w Borgo Solinio koło Bari) choć do Polski mają przecież bliżej.

Na Ukrainie byłam dwukrotnie i zauważyłam, że edukacja muzykoterapeutów opiera się na gruntownym kształceniu muzycznym. Widać to było w Konserwatorium Lwowskim, do którego na wykłady zaprosiła mnie prof. Luba Kijanowska. W Żytomierzu na odmianę, gdzie też miałam wykłady, bardzo są zainteresowani polską arteterapią. Uderzyło mnie zdyscyplinowanie studentów tamtejszego Uniwersytetu Pedagogicznego, (uczestnictwo we wszystkich zajęciach, łącznie z wykładami jest tam obowiązkowe), karnie siedzących w ławkach, wstających gdy mówią do profesora, z uwagą słuchających wykładu (moje tłumaczone były z polskiego na język ukraiński) a potem nagradzających wykładowcę brawami. Piszę o tej karności objawiającej się w wyprostowanej postawie i spokojnym siedzeniu w ławkach, bo jak zauważam wśród naszych uczniów i studentów przyjął się już styl amerykański, na szczęście jeszcze nie dominujący, przejawiający się w dość specyficznej nonszalancji, pozie niedbałej i nieustannym żuciu gumy.

W Wilnie byłam tylko raz, na Międzynarodowej Konferencji Muzykoterapii, na którą, na koszt organizatorów zaprosiła mnie p. prof. dr Vilmante Aleksiene, reprezentująca Litwę w Europejskim Komitecie Muzykoterapii. Nie miałam kontaktu z miejscową Polonią, a na konferencji obowiązywał język angielski. Muzykoterapeutów na Litwie jest niewielu ale za to są świetnie wyszkoleni; odbyli przecież studia w Norwegii, korzystając z oferty złożonej przez Wyższą Szkołę Pedagogiki Specjalnej i Muzykoterapii w Sandane. Polscy muzykoterapeuci z możliwości bezpłatnego tam studiowania w języku angielskim nie skorzystali.

Arteterapia na Łotwie rozwija się dynamicznie, o czym nie wiemy, podobnie jak mało znamy ten kraj, tymczasem studia w zakresie arteterapii prowadzą Uniwersytety Pedagogiczne w Rydze i w Ljepai. Na konferencji w Rydze w roku 2007 przedstawiłam referat na temat kształcenia zawodowej wrażliwości przyszłych lekarzy, pielęgniarek, nauczycieli i arteterapeutów za pomocą przemyślanego kontaktu ze sztuką (kontemplowanie i analizowanie wybitnych dzieł sztuki, zwłaszcza malarstwa, a także muzyki i literatury) i ucieszyło mnie zainteresowanie tym tematem okazane przez koleżanki z Kanady, USA i Australii.

Talin stolica Estonii był miejscem Europejskiej Konferencji ECArTE, a uczestnicy tej konferencji byli też świadkami zainaugurowania regularnych studiów z arteterapii na tamtejszym Uniwersytecie.

W Bratysławie, na Uniwersytecie im. Amosa Komenskigo w kwietniu 2011 odbyła się międzynarodowa konferencja pod tytułem: *Quo vadis, arteterapia?* Z ulgą skorzystałam z propozycji, by mówić po polsku i po polsku, choć miałam napisany po angielsku zaprezentowałam referat o dramatach współczesnego świata widzianych oczyma polskich dzieci.

Z powrotem w Polsce.

Arteterapia z Pedagogiką na Uniwersytecie Wrocławskim.

Gdybym miała jak najlapidarniej opisać skutki, jakie miało dla mnie przejście z UAM na Uniwersytet Wrocławski, w trakcie trwania roku akademickiego (2003/2004) i kadencji Senatu, którego byłam członkiem, użyłabym metafory, którą posłużył się prezydent Abraham Lincoln w jednym ze swoich najważniejszych przemówień: *It is not best to swap horses while crossing the river* (*Lepiej nie zmieniać koni podczas przeprawy przez rzekę*). Akt mianowania na stanowisko profesora Uniwersytetu Wrocławskiego otrzymałam 1. Lutego 2004 r., na dzień przed przyjazdem do Instytutu Pedagogiki przedstawicieli PAKi, ale tym, co było widoczne to kończące się właśnie uroczyste obchody trzechsetnej rocznicy powstania Uniwersytetu Wrocławskiego. Liczono ją bowiem od daty wydania „Złotej bulli” przez austriackiego cesarza Leopolda I powołującej w roku 1702 we Wrocławiu *Universitas Wratislaviensis*. Mogło to oznaczać, że Uniwersytet Wrocławski nie uważa się już za kontynuatora lwowskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza. UJK, powstał bowiem we Lwowie w roku 1661, to jest 50 lat wcześniej niż uniwersytet we Wrocławiu, na mocy dekretu polskiego króla, Jana Kazimierza (trzechsetną pięćdziesiątą rocznicę powołania tego Uniwersytetu, którego profesorowie po wojnie podnosili z gruzów Uniwersytet Wrocławski obchodzono we Wrocławiu w roku 2011 dużo skromniej), a więc ważny dla mnie argument natury sentymentalnej tracił rację bytu.

Arteterapia jednak na Uniwersytecie Wrocławskim wspięła się na wyżyny, jakich nie osiągnęły żadne studia z zakresu arteterapii w Polsce: program Studiów Doktorskich z Pedagogiki, prowadzonych w Instytucie Pedagogiki poszerzony został o seminarium doktorskie z arteterapii i uzyskał akredytację ECARTE! Miało to miejsce na Walnym Zgromadzeniu ECARTE na Uniwersytecie Nauk Stosowanych w Ottersbergu w Niemczech koło Bremy, 1. maja 2004 roku czyli w dniu wejścia Polski do Unii Europejskiej. W tym samym dniu przez to samo Zgromadzenie wybrana zostałam na reprezentanta ECARTE na kraje Europy Środkowej i Wschodniej.

Stopnie naukowe doktora nauk humanistycznych na podstawie dysertacji na temat arteterapii, wg programu zatwierdzonego przez ECARTE na Uniwersytecie Wrocławskim uzyskało czterech moich doktorantów: Anita Stefańska, Diana Gulińska – Grzeluska, Joanna Gładyszewska – Cylulko i Michał Gułowski. Kolejne prace czekają na obronę.

W kwietniu 2008 roku Uniwersytet Wrocławski gościł trzydziestu uczestników dorocznego Zgromadzenia Ogólnego Carte (General Assembly) z czternastu krajów Eu-

ropy, reprezentujących uniwersytety prowadzące studia z zakresu arteterapii, zgodnie z Procesem Bolońskim. Trzy pierwsze moje doktorantki, przed całym Zgromadzeniem Ogólnym zaprezentowały skróty swoich dysertacji doktorskich na tematy: *Wykorzystanie dramy do budowania poczucia godności własnej młodzieży z obniżoną sprawnością intelektualną* (dr Anita Stefańska), *Zastosowanie Modelu Mobilnej Rekreacji Muzycznej dr Macieja Kieryła w pracy z dziećmi agresywnymi* (D. Gulińska – Grzeluska), *Muzykoterapia dzieci nieśmiałych* (dr Joanna Gładyszewska – Cylulko). W roku 2010 Instytut Pedagogiki wydał i sfinansował pracę zbiorową *Arteterapia jako dyscyplina akademicka w krajach europejskich. Uniwersytet Wrocławski w ECARTE*, co nie byłoby możliwe bez życzliwego poparcia dyrektora Instytutu Pedagogiki prof. dr hab. Alicji Szelaż.

I raz jeszcze zjawił się Kajros.

Zastanawiając się nad zakończeniem opowiedzianej historii, a raczej historii w liczbie mnogiej, brałam pod uwagę dwie możliwości: pesymistyczną, mówiącą o rozczarowaniu tym co zobaczyłam *po drugiej stronie lustra* i optymistyczną, będącą zapowiedzią kontynuowania historii arteterapii opisanej w tej książce. Na szczęście za sprawą „Kajrosa” z Legnicy, który niespodziewanie zjawił się 30. września 2011 we Wrocławiu, zakończenie będzie bardzo optymistyczne: od dnia 1. października owego roku historia *mojej* arteterapii toczy się na nowo. Dzięki szerokiemu otwarciu na świat uczelni którą ów Kajros reprezentował, tj. Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej im. Witelona, okazało się, że polską arteterapią można zainteresować nawet tak odległe ośrodki akademickie, jak turecki Uniwersytet Cukurova w mieście Adana (byłam tam z wykładami w ramach programu Erasmus), że można się przekonać, iż badania naukowe w muzykoterapii na światowym poziomie, w oparciu o precyzyjną metodologię prowadzą i zachęcają do współpracy także inne ośrodki naukowe w Europie i na świecie, nie tylko muzykoterapeuci zrzeszeni w EMTC, np. austriacki Uniwersytet Nauk Stosowanych w Krems, Uniwersytet Muzyczny im. Leopolda Mozarta w Augsburgu i inna turecka uczelnia: *Orient Institut Istanbul*, że przedstawienie zawodu arteterapeuty jako odrębnej profesji może zainteresować nauczycieli szkół podstawowych na Dolnym Śląsku, czego dowiodły Viteloniana 2011.

Tak więc mając na uwadze dalszy rozwój arteterapii nie trzeba już czekać na Kajrosa ale jak najlepiej wykorzystać możliwości tworzone przez ludzi kompetentnych i otwartych na świat.

Bibliografia publikacji

Monografie i podręczniki

1. Szulc W.: Kulturoterapia. Skrypt dla studentów Wydziału Pielęgniarskiego. AM, Poznań, 1988, s. 143 (rec. Doc. dr med. Zbigniew Hora)
2. Szulc W.: Sztuka i terapia. CDNŚSM Warszawa, 1993, s. 135 (rec. Prof. dr hab. med. Laura Wołowicka)
3. Szulc W.: Kulturoterapia. Wykorzystanie sztuki i działalności kulturalno- oświatowej w leczeniu. Wyd. Naukowe AM Poznań, 1994, s. 155 (rec. Prof. dr hab. Józef Kargul, prof. dr Jan Trzynadłowski)
4. Szulc W.: Łacina medyczna. AM Poznań, 1995 (rec. Prof. dr hab. Sylwester Dworacki, prof. dr hab. med. Konstanty Tukałło)
5. Szulc W.: Sztuka w służbie medycyny od antyku do postmodernizmu. AM w Poznaniu, 2001, s (rec. Prof. dr hab. med. Jacek Łuczak)

Opublikowane recenzje powyższych książek

- Prof. dr hab. med. Jacek Łuczak: "Sztuka w służbie medycyny od antyku do postmodernizmu", Alma Mater 2001, nr 3-4, s.182 – 183
- Prof. Wiesław Karolak :Z przedmowy do książki "Sztuka w służbie medycyny.." Alma Mater 2001, nr 3-4, s. 183
- Dr Paweł Cylulko: Sztuka w służbie medycyny od antyku do postmodernizmu. Wychowanie Muzyczne 2002, nr 1
- Prof. dr hab. med. Witold Woźniak: Medycyna i sztuka. Recenzja książki pt."Sztuka w służbie medycyny od antyku do postmodernizmu" autorstwa prof. dr hab. Wity Szulc. Wyd. Uczelniane AM w Poznaniu, Poznań 2001. Fakty AM 2002 nr 6/7/8, s. 20
- A. Magowska: Rozmowa z prof. dr hab. Witą Szulc – autorką książki "Sztuka w służbie medycyny od antyku do postmodernizmu. Fakty AM, Poznań 2002, nr5/6/7
- Szulc W.: Muzykoterapia jako przedmiot badań i edukacji. Wyd. Naukowe UMCS, Lublin 2005, s. 152, bibliogr. (rec. Prof. dr. hab. Dzierżymir Jankowski,

6. Szulc W.: Kultura dla mas Polski Ludowej : wizje ideologów, twórców i publicystów z lat 1944-1956 / - Wrocław : Oficyna Wydawnicza Atut-Wrocławskie Wydawnictwo

Oświatowe, 2008. - 120, [1] s. : fot. - S. 11-19 : Wstęp. - Bibliogr. s. 111-120. - Recenzenci: dr hab. Jaromir Jeszke, prof. UAM, dr hab. Mirosława Wawrzak-Chodaczek, prof. UW.

7. Szulc W.: Arteterapia. Narodziny idei, ewolucja teorii, rozwój praktyki. Wyd. Difin, Warszawa, 2011 Recenzent.: prof. ASP dr hab. Tomasz Rudowski.

8. Arteterapia jako dyscyplina naukowa w krajach europejskich Uniwersytet Wrocławski w ECARTE. Praca zbiorowa pod red. naukową W. Szulc, przy współudziale M. Furmanowskiej i J. Gładyszewskiej – Cylulko. Oficyna Wydawnicza ATUT - Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe, 2010. - 216 s. - S. 9-10 : Wstęp. - Bibliogr. - Teksty także w jęz ang. w części książki pt. : Presentation of Polish Research in Arts Therapies. S. 185-216., - Recenzent: prof. ASP dr hab. Tomasz Rudowski.

Rozdziały w pracach zbiorowych, artykuły i wystąpienia konferencyjne.

1. Szulc W.: Zapotrzebowania pracowników naukowo – dydaktycznych Instytutu Stomatologii na informację naukową w świetle działalności informacyjnej Biblioteki Instytutu. Problemy Uczelni i Instytutu Med., 1973, T. VIII, 3, s. 49 - 52
2. Szulc W.: Poliklinika Stomatologiczna. Bibliografia publikacji. W: Wydział Lekarski i Oddział Farmaceutyczny Uniwersytetu Poznańskiego 1919 --1939. Bibliografia publikacji. Materiały biograficzne. Pod red. Krystyny Karwowskiej. T. 1. Poznań 1979, s. 234 – 240.
3. Szulc W.: Potrzeby kulturalne w polityce społecznej Polski Ludowej w latach 1944 – 1956. Kult. i Ośw. 1979 r. 15 nr 3, s. 12 – 30
4. Szulc W.: Samorealizacja naczelną potrzebą człowieka. Kultura i Ty 1980 nr 12, s. 23 – 25.
5. Szulc W.: Rola ruchu społeczno – kulturalnego. Kultura i Ty 1980, nr 13, s. 38 – 40. Krajnik J., Kaźmierczak D., Szulc W.: Rola zajęć seminaryjnych w nauczaniu stomatologii Czsop. Stomat. 1980 T. 22, nr 6, s. 557 – 562 (przegląd piśmiennictwa, redakcja tekstu).
6. Szulc W.: Potrzeby kulturalne – potrzeby ludzkie. Litteraria T. 12. Prace Nauk. Wr. Tow. Nauk., Wrocław 1980, s. 172 – 182
7. Szulc W.: Uwagi na temat lektoratu języka łacińskiego na studiach w akademii medycznej. Probl. Szkol. Nauk. Med. 1981 R 6, nr 3 – 4, s. 25 – 29.

8. Szulc W.: Kulturoterapia. Propozycja wprowadzenia nowego przedmiotu nauczania na Wydziale Pielęgniarskim Akademii Medycznej. Medycyna – Dydaktyka – Wychowanie. Akad. Med. w Warszawie. Warszawa 1982, s. 103 – 106.

9. Szulc W.: Kulturoterapia. Piel. i Położ. 1982, nr 12, s. 19, 34

10. Szulc W.: Książka i człowiek chory. Litteraria T. 14. Prace Wr. Tow. Nauk. Wrocław 1982, s. 133 – 139.

10a. Szulc W.: Książka i człowiek chory. Biul. Gł. Bibl. Lek. 1984, nr 336, s. 15 – 18

11. Szulc W.: Człowiek chory i książka. Bibliotekarz 1984, nr 9 – 10, s. 228 – 233.

12. Szulc W.: Kulturowy aspekt rehabilitacji ludzi chorych i niepełnosprawnych. Zeszyty Naukowe PWSM we Wrocławiu, nr 31. Wrocław 1983, s. 93 – 104.

13. Szulc W.: Tytus Pomponiusz Attykus. Rozważania na marginesie korespondencji Cyserona. W: Litteraria T. 16. Prace Nauk. Wr. Tow. Nauk. Wrocław 1984, s. – 20.

14. Szulc W.: Pacjent i książka w szpitalu. W: Pamiętnik VII Zjazdu naukowego Polskiego Towarzystwa Szpitalnictwa. PTSz. Warszawa 1986, s. 213 – 218.

15. Szulc W.: Model potrzeb muzycznych człowieka pracy epoki realizmu socjalistycznego. Zeszyty Naukowe PWSM we Wrocławiu, nr 38B, Wrocław 1985, s. 14 – 19.

16. Szulc W.: Wprowadzenie kulturoterapii do programu nauczania na Wydziale Pielęgniarskim Akademii Medycznej w Poznaniu. W: Wybrane zagadnienia pielęgniarstwa klinicznego. Pod red. Laury Wołowickiej. Cz. 4. Poznań 1985, s. 15 – 19.

17. Szulc W.: Elementy wiedzy o kulturze i wybranych technikach kulturoterapeutycznych w programie kształcenia magistrów pielęgniarstwa. W: Konferencja naukowa z okazji X-lecia Wydziału Pielęgniarskiego Akademii Medycznej w Poznaniu 11.12.1986r., Wyd. AM w Poznaniu. Poznań 1986, s. 10 (doniesienie wstępne)

18. Szulc W.: Elementy wiedzy o kulturze w programie kształcenia magistrów pielęgniarstwa. Życie Szk. Wyż. 1986 T. 34, nr 10, s. 113 – 117.

19. Szulc W.: Potrzeby kulturalne ”mas”. Kult. i Ośw. 1986, R. 22, nr 3, s. 32 – 36

20. Szulc W.: U podstaw systemu kulturalno – oświatowego Polski Ludowej. Kul. i Ośw. 1986 R 22, nr 1, s. 99 – 108 Szulc W.: Model zapotrzebowania społecznego na literaturę w polityce społeczno – kulturalnej Polski Ludowej w latach 1944 – 1956. Bibliotekarz 1986 R. 53, nr – 10, s. 28 – 32).

21. Szulc W.: Organizacja czytelnictwa chorych i niepełnosprawnych w programie kształcenia magistrów pielęgniarstwa. Bibliotekarz 1986 R. 53, nr 7 – 8, s. 18.

22. Szulc W.: Biblioterapia w praktyce radzieckiej. Por. Bibl. 1987, nr 9, s. 12 – 14.
Toż. w: Prz. Pediatr. 1986 T. 16, Supl. Do nr 4, s. 439 – 442, Toż. w: Piel. i Położ. 1986, nr 11, s. 20
23. Wołowicka L., Nowicka A., Szulc W., Modzelewska M., Ciesielski K.: Wpływ stosowania muzyki u chorych znieczulanych przewodowo na poziom lęku i ból pooperacyjny. Pamiętnik X Zjazdu PTAiT. Łódź 15.IX.1986r. Łódź 1986, s. 106 – 107
24. Pawlaczyk B., Szulc W.: Dziecko a śmierć. W: Wybrane zagadnienia pielęgniarstwa klinicznego. Pod red. Bogusława Pawlaczyka. Cz. 5. Poznań 1987, s. 149 – 153
25. Przybylski Z., Pawlaczyk B., Szulc W.: Pielęgniarka wobec śmierci dziecka. W: Wybrane zagadnienia pielęgniarstwa klinicznego. Pod red. Bogusława Pawlaczyka. Cz. 5. Poznań 1987, s. 154 – 157.
26. Szulc W.: Potrzeby kulturalne w świetle problematyki potrzeb ludzkich. Kult. i Ośw. 1987 R. 25, nr 3, s. 78 – 85
27. Szulc W.: Biblioteki szpitalne miasta Poznania. Bibliotekarz 1988, R. 50, nr 4 – 5, s. 22 - 26, tab.
28. Szulc W.: Kulturowe determinanty oczekiwań pacjentów hospitalizowanych i rola pielęgniarki w ich zaspokajaniu. W: Wybrane zagadnienia pielęgniarstwa klinicznego. Pod red. Laury Wołowickiej. Cz. VI a, Poznań 1988, s. 17 – 23.
29. Szulc W.: Kulturoterapia w Związku Radzieckim. Kult. i Ośw. 1988 R. 24, nr 2, s. 97 – 100.
30. Szulc W.: Muzykoterapia w programie kształcenia magistrów pielęgniarstwa. W: XIII Ogólnopolskie Spotkania Współpracowników Instytutu Muzykoterapii Akademii Muzycznej we Wrocławiu. II Krajowa Konferencja Muzykoterapii Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie. Zeszyty Naukowe Akademii Muzycznej Nr 45 we Wrocławiu. Wrocław 1988, s. 179 0 182.
31. Szulc W.: Kulturoterapia czyli sztuka w służbie chorych. Kult. i Ośw. 1988 R. 24, nr 1, s. – 97.
32. Szulc W.: Pojęcie czasu, wolności i przyjemności w leczeniu rehabilitacyjnym związanym z muzykoterapią i arteterapią. W: Naukowe podstawy współczesnego pielęgniarstwa. Konferencja obchodu X-lecia Wydziału Pielęgniarskiego Akademii Medycznej we Wrocławiu. 22.X.1988r. Teksty referatów. Wyd. AM we Wrocławiu. Wrocław 1988, s. 105 – 111.
33. Szulc W.: Poczucie czasu, wolności i przyjemności w chorobie. Piel. i Położ. 1989, nr 3, s. 10 --11.

34. Szulc W.: Czas wolny i jego wykorzystanie w aspekcie zdrowia i choroby. Kult. i Ośw. 25, nr 3, s. 78 – 85.
35. Szulc W.: Preferencje czytelnicze chorych z dysfunkcją narządu ruchu. Bibliotekarz 1989 R. 56, nr 3, s. 3 – 8, tab.
36. Szulc W.: Elementy wiedzy o kulturze w programie kształcenia pielęgniarek. W: Sprawy Doskonalenia 1989, Biuletyn nr 5 – 8, s. 84 – 93.
37. Szulc W.: Kształtowanie zdolności do empatii przez kontakt ze sztuką. XX-lecie akademickiego kształcenia pielęgniarek. Lublin 22 – 23. IX.1989. Wkładka specjalna do Biuletynu”Sprawy doskonalenia” 1989, nr 5 – 8, s. 108 – 110.
38. Szulc W.: Rola malarstwa w kształceniu wrażliwości pielęgniarek. Piel. i Położ. 1989, nr 7, s. 11 – 13.
39. Szulc W.: Arteterapia czy kulturoterapia? W: Arteterapia. Sesja naukowa w Radziejowicach k. Warszawy w dniach 16 – 18.III.1989. Zeszyty Naukowe Akademii Muzycznej im. K.Lipińskiego we Wrocławiu, nr 48. Wrocław 1989, s. 35 – 41.
40. Pawlaczyk B., Szulc W.: Diagnostyczne, terapeutyczne i wychowawcze właściwości muzyki. Pielęgn. Pol. 1989, nr 1, s. 69 – 75.
41. Szulc W.: Arteterapia czy uprawianie sztuki na użytek zdrowia? Tłum. i oprac. na podstawie: J.Erikson: The Arts and Healing. Am. J. Art. Therapy 1979, 18, (3), 75 – 80. W: Arteterapia. Sesja naukowa w Radziejowicach k. Warszawy w dniach 16 – 18.III.1989r. Zeszyty Naukowe Akademii Muzycznej im. K.Lipińskiego we Wrocławiu Nr 48. Wrocław 1989, s. 27 – 34.
Toż w: Kwartalnik Polskiej Sekcji ISME 1989, nr 2, s. 22 – 29.
42. Szulc W.: Biblioterapia. W: Arteterapia. Zeszyty Naukowe Akademii Muzycznej we Wrocławiu Nr 48, Wrocław 1989, op. cit., s. 125.
43. Galas – Zgorzalewicz B., Szulc W., Buczkowska M.: Arteterapia w wybranych zespołach neurologicznych. Doniesienie wstępne. W: Arteterapia (III) Arteterapia a proces leczenia i postępowania psychokorekcyjnego. Zeszyty Naukowe Akademii Muzycznej im. K.Lipińskiego we Wrocławiu Nr 57. Wrocław 1990, s. 70 – 76.
44. Szulc W.: Logoterapia i arteterapia w rehabilitacji kompleksowej chorych z dysfunkcją narządu ruchu. W: Arteterapia (II). Teoretyczne podstawy arteterapii. Sesja naukowa w Jagniątkowie k. Jeleniej Góry w dniach 19 – 21.X.1989r. Zeszyty Naukowe Akademii Muzycznej im. K.Lipińskiego we Wrocławiu Nr 52. Wrocław 1990, s. 132 – 140.

45. Szulc W., Kutryb A.: Próba zastosowania mobilnego modelu muzykoterapii w rehabilitacji dzieci z mózgowym porażeniem dziecięcym. W: Arteterapia (II) op. cit., s. 121 – 131.
46. Szulc W.: Biblioterapia. Stan badań. Biul. Gł. Bibl. Lek. 1991, nr 345, s. 13 – 33.
47. Szulc W.: Biblioterapia – model polski. Bibliotekarz 1991, nr 7 – 8, s. 19 – 22.
48. Szulc W.: Logoterapia z użyciem środków kulturowych w opiece nad pacjentem przewlekle chorym. W: Wybrane zagadnienia pielęgniarstwa. Pod red. Bogusława Pawlaczyka. Cz. 7. Wyd. AMM w Poznaniu. Poznań 1992, s. 164 – 166.
49. Szulc W.: Miejsce kulturoterapii w procesie pielęgnowania. Materiały pokonferencyjne. CMDNŚSM Warszawa 1992, s. 125 – 129.
50. Szulc W.: Wykorzystanie środków kulturowych w rehabilitacji chorych z dysfunkcją narządu ruchu. W: Rehabilitacja chorych z uszkodzeniami wielonarządowymi. Materiały z sesji naukowej. Poznań 1990, 8 – 9.X. Pod red. Kazimierzy Milanowskiej. Wrocław – Warszawa. Kraków, Ossolineum Wyd. PAN 1992, s. 117 – 125, tab., wyk.
51. Szulc W.: Wykorzystanie kulturoterapii w opiece paliatywnej. Materiały z konferencji pt. ”Wsparcie społeczne wobec chorych i zdrowych”. Wydział Pielęgniarski AM w Lublinie 16 – 18.XI.1992r. Wyd. AM w Lublinie. Lublin 1992, s. 33
52. Szulc W.: Arteterapia dzieci z mózgowym porażeniem dziecięcym. W: Wybrane zagadnienia pielęgniarstwa. Pod red. Bogusława Pawlaczyka. Cz 7. Wyd. AM w Poznaniu. Poznań 1992, s. 202 – 204.
53. Szulc W.: Arteterapia. W: Materiały z Konferencji pt. ”Zastosowanie biblioterapii w procesie dydaktycznym” 29.04.1992r. w Wałbrzychu. WOM w Wałbrzychu. Wałbrzych 1992, s. 12.
54. Szulc W.: Arteterapeuta – zawód paramedyczny. Pielęgniarstwo 2000, 1993, s. 11 – 12.
55. Szulc W.: Sprawozdanie z europejskiej konferencji muzykoterapeutów w Cambridge w dniach od 1 do 4 kwietnia 1992 r. Music Therapy In Health and Education In The European Community April 1st – 4th 1992. King`s College, Cambridge. Report. Pielęgn. Pol. 1993, nr 4, s. 95 – 96.
56. Szulc W.: Music Therapy In Poland. (In: Music Therapy International Report 1992, vol. 8. Ed. L.Summer, H.Smejsters AAMT Valley Forge Nijmegen – Castricum 1993, p. 66 – 67.
57. Szulc W.: Sztuka w rodzinie jako czynnik jakości życia. W: Edukacja kulturalna.

- Szkoła i rodzina. Pod red. Dzierżymira Jankowskiego. Wyd. UAM – Kolegium Pedagogiczno – Artystyczne w Kaliszu. Kalisz 1993, s. 58 – 71, wyk.
58. Szulc W.: Training in Arts Therapies in University of Medical Sciences in Poznań. w: Conference Proceedings Volume 1 – The Arts Therapist. Third European Arts Therapies Conference Organised by the European Consortium for Arts Therapies Education (ECARTE), held at the University of Ferrara – Italy 14 – 15 – 16 – 17 September 1994, Edited by Drs. Herman Smitskamp and Zigi Fibert, p. 11 – 13.
59. Wołowicka L., Głowacka M.D., Zielińska J.B., Bukowska A., Posłuszna M., Szulc W., Jeszke J.: ”20 years of Academic Education for Nurses 1975 – 1995”. Faculty of Nursing and Health Sciences. K.Marcinkowski University of Medical Sciences in Poznań. Poznań 1995
60. Szulc W.: Nauczanie sztuki a arteterapia. W: Edukacja kulturalna i aktywność artystyczna. Praca zbiorowa pod red. Dzierżymira Jankowskiego, UAM Poznań 1996, s. 173 – 183.
61. Szulc W.: Jakość życia a kulturoterapia – ujęcie modelowe. Pielęgniarstwo 2000, 1996, nr 2, s. 13-16.
62. Szulc W.: Podejście holistyczne do zdrowia i choroby. Pielęgniarstwo 2000, 1996, nr 3 (26), s. 7-10.
63. Szulc W.: Wykorzystanie sztuki w terapii i edukacji. Pielęgniarstwo 2000, 1997, nr 5 (28), s. 15-19.
64. Szulc W.: A course of ”Culture Therapy” at the Faculty of Nursing and Health Sciences. W: MedEd – 21: An Account of Initiatives for Change in Medical Education in Europe for the 21st Century. G.D. Majoor (et al.) Amsterdam Thesis Publishers, 1997, s. 167 - 171.
65. Szulc W.: Przeżywanie czasu w zdrowiu i chorobie. Pielęgniarstwo 2000, 1997, nr 4 (33), s. 19-22.
66. Szulc W.: Arteterapeuta w poszukiwaniu tożsamości zawodowej. W: Materiały z konferencji naukowej nt.: ”Biblioterapeuta w poszukiwaniu tożsamości zawodowej”. Wrocław 1997, s. 40-47.
67. Szulc W., Twardowski A.: Arteterapia jako metoda pracy z dzieckiem dyslektycznym. XIII Ogólnopolskie Sympozjum Medycyny Psychosomatycznej”Ku lepszemu Funkcjonowaniu w Zdrowiu i Chorobie” i V Bałtyckie Sympozjum Balintowskie, 15-17 maja 1997

68. Szulc W.: Why primary education teachers study Arts Therapies (w: Simposio Multidisciplinare. Arti Therapie Clinica Psichiatrie Universita Tor Vergate. Roma 25 – 27. VI. 1997, p. 11.
69. Szulc W.: Old Man and Arts. 4 European Arts Therapies Conference, London 15-17 wrzesień 1997, Central School of Speech and Drama London 1997, p. 38 – 39.
70. Szulc W., Twardowski A. : Zastosowanie technik arteterapeutycznych w pracy z dzieckiem dyslektycznym. Międzynarodowa Konferencja Naukowo – Szkoleniowa – Nowatorskie Rozwiązania Metodyczne w rehabilitacji dzieci i młodzieży. Poznań, 20 – 22 listopada 1997
71. Szulc W.: Współczesne kierunki arteterapii w świetle IV konferencji ECARTE w Londynie. Edukacja kulturalna w życiu człowieka. Ogólnopolska Konferencja Naukowa, Kalisz 1 – 2 grudnia 1997
72. Szulc W.: Wprowadzenie: współczesne kierunki arteterapii. Arteterapia w Europie i na świecie. I Ogólnopolski Festiwal Muzyki Uzdrowiskowej. Polanica Zdrój, 14-16 maja 1998
73. Szulc W.: Artystyczna forma reminiscencji. The artistic form of reminiscence W: Zachowania ludzkie w zdrowiu i chorobie. Human Behaviour in Health and Illness Instytut Psychosomatyczny Warszawa 1999, s. 253 – 255.
74. Szulc W.: Old Man and arts. In: Music and Therapy, Book of abstracts. 4th European Music Therapy Congress. Ed. J. De Becker, T. Wigram. Book of abstracts. Leuven 1998, p. 114.
- 74a. Szulc W.: Old Man and Arts. W: European Music Therapy Research Register. 1998. P. 101
75. Szulc W.: From culture education to culture therapy. 9th Annual International Participative Conference. Conference Core Papers. University of Durham (UK), September 1998, p. 118.
76. Szulc W.: Kulturoterapia w kształceniu kadr medycznych. Poznańskie Dni Nauki i Sztuki, Poznań 15 – 17 października 1998
77. Szulc W., Szabelska-Holeksa M.: Standardy europejskie kształcenia muzykoterapeutów na przykładzie Włoch, Holandii i Anglii. Muzykoterapia w Agresji, Lęku i Cierpieniu. Międzynarodowe Jubileuszowe Sympozjum Muzykoterapii, Wrocław 20 – 21 listopada 1998
78. Szulc W. Fazłagić A.: Arteterapia jako usługa. II Międzynarodowy Kongres Edukacji w Pielęgniarstwie i innych Naukach o Zdrowiu. Gniezno, 8 – 10 maja 1998 roku.

Abstr. p. 153, 154.

79. Szulc W.: Arteterapia w latach 90. XX wieku w Europie i USA. II Międzynarodowy Kongres Edukacji w Pielęgniarstwie i Innych Naukach o Zdrowiu. Gniezno, 8 – 10 maja 1998 roku. Abstr. p. 141, 142.
80. Szulc W.: Koncepcja kulturoterapii. W: Postępy Psychoterapii pod red. Lechosława Gapika, UAM, Z-d Promocji Zdrowia i Psychoterapii, Poznań 1998, t. 1, s. 92-81. Szulc W.: Ocena efektywności kulturoterapii. Problemy metodologiczne. Analiza danych. W: Postępy Pielęgniarstwa i Promocji Zdrowia pod red. Prof.dr hab. Laury Wołowickiej. Poznań 1998, cz. XIII, s. 70-74.
82. Szulc W.: Arteterapia rodzinna. Studium przypadku. W: Postępy Pielęgniarstwa i Promocji Zdrowia pod red. Prof.dr hab. Laury Wołowickiej. Poznań 1998, cz. XIII, s. 74-77.
83. Szulc W.: Kulturoterapia w modułowym programie nauczania na Wydziale Pielęgniarstwa i Nauk o Zdrowiu Akademii Medycznej w Poznaniu. W: Postępy Pielęgniarstwa i Promocji Zdrowia pod red. Prof.dr hab. Laury Wołowickiej. Poznań 1998, cz. XIII, s. 77-81.
- 83a. Szulc W.: Kulturoterapia w modułowym programie nauczania na Wydziale Pielęgniarstwa i Nauk o Zdrowiu AM w Poznaniu. Pielęgniarstwo 2000,
84. Szulc W.: Starszy człowiek jako twórca. Pielęgniarstwo 2000, 1998, nr 2 (37), s.115 – 117
85. Szulc W.: Zdrowiotwórcze właściwości sztuki czyli arteterapia. W: Aesculapius. Wielkopolska Izba Lekarska. Kalisz 1998, nr 53, s.12-16.
86. Szulc W., Twardowski A.: Wykorzystanie technik arteterapeutycznych w postępowaniu z dzieckiem dyslektycznym. W: Ku lepszemu funkcjonowaniu w zdrowiu i chorobie. Redakcja naukowa prof. nadzw. dr hab. med. Jan Łazowski, dr n. hum. Grażyna Dolińska-Zygmunt. Wydawnictwo Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu. Wrocław 1998, s. 221-224.
87. Szulc W.: Leczenie muzyką, czyli muzykoterapia. Aesculapius. Wielkopolska Izba Lekarska. Kalisz 1998, nr 54, s.6-9.
88. Szulc W.: Biblioterapia i inne terapie kreatywne. Aesculapius. Pod red. dr med. Zbigniewa Kledeckiego. Wielkopolska Izba Lekarska. Kalisz 1998, nr 55, s. 24-27
89. Szulc W.: From Culture Education to Culture Therapy. 9th Annual International Participative Conference For Education in Health Care. Grey College University of

Durham UK. Conference Abstract Papers. Durham 1998, p. 118.

90. Szulc W.: Terapia narracyjna czyli powrót do przeszłości. Seminarium Ogólnopolskie. Rewalidacyjna i terapeutyczna funkcja książki i biblioteki w zakładach opieki zdrowotnej i społecznej. Ustroń – Zawodzie, 7-9.06.1999 r.

91. Szulc W.: Meloterapia – terapeutyczne walory śpiewu. XXVI Sesja Naukowa – Muzyka oratoryjna i kantatowa w aspekcie praktyki wykonawczej Wrocław 9- 10 września 1999 oraz XI Sympozjum Naukowe – Problemy pedagogiki wokalne, Wrocław 11 – 12 września 1999

92. Szulc W.: Dźwięki, które leczą – terapia wibroakustyczna. II Poznański Festiwal Nauki i Sztuki, Poznań 14 – 17 października 1999

93. Szulc W.: Music as a "trigger" of reminiscences. Dream about lost homeland. XII International Conference Solinio Arte e Scienza Psicoterapia e Musicoterapia. Sogno, Amore e Psiche. 25 – 27.09.1999. Book of abstracts. Bari, s. 34.

94. Szulc W.: Standardy kształcenia arteterapeutów w USA i wybranych krajach europejskich w świetle III i IV Konferencji European Consortium of Arts Therapies Education 1995 – 1997. W: Znaczenie arteterapii w psychiatrii polskiej. I Ogólnopolska Konferencja Szkoleniowo – Naukowa. Katedra Psychiatrii AM - Łódź, 4-5. XI.1999.

95. Szulc W.: Biblioterapia w internecie. Poradnik Bibliotekarza 1999, nr 11/12.

96. Szulc W.: Etnopielęgniarstwo. W: Pielęgniarstwo 2000, 1999 nr 2 (43), s. 34-36.

97. Szulc W.: Tendencje postmodernistyczne w pielęgniarstwie. W: Kształcenie i Doskonalenie zawodowe pielęgniarki i położnych. Standardy opieki w pielęgniarstwie wdrażanie programów zdrowia. Materiały konferencyjne, Poznań, 7 – 8.05.1999. Wydział Nauk o Zdrowiu Akademii Medycznej im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu., s. 144 – 147.

98. Szulc W.: Postmodernizm – czyli czas zmian – także w pielęgniarstwie. W: Pielęgniarstwo 2000, 1999, nr 4 (43), s. 31-36.

99. Szulc W.: Artystyczna forma reminiscencji. The artistic form of reminiscence W: Zachowania ludzkie w zdrowiu i chorobie. Human Behaviour in Health and Illness Instytut Psychosomatyczny Warszawa 1999, s. 253 – 255.

100. Szulc W.: Kierunki rozwojowe współczesnej arteterapii. W: Edukacja kulturalna w życiu człowieka. Praca zbiorowa pod red. Dzierżymira Jankowskiego. Kalisz 1999, s. 310 – 314.

101. Szulc W.: Muzyka a jakość życia (cz. I). Alma Mater, 1999, Rok IX, nr 3/32, s. 54 – 57.

102. Szulc W.: Muzyka a jakość życia. (Cz. II). Alma Mater, 1999, Rok IX, nr 4/33, s.94-97.

103. Szulc W.: Muzyka a jakość życia (cz. III) Alma Mater, 2000, R. X, nr 1/ 34, s. 12 – 14

104. Szulc W.: Terapia wibroakustyczna. Alma Mater 1999, Rok IX, nr 4/33, s. 98-99

105. Szulc W.: Dźwięki, które leczą. Alma Mater 1999, Rok IX, nr 4/33, s. 100 – 101.

106. Szulc W.: Wycieczki szkolne, wycieczki sentymentalne. Wychowanie na Co dzień. 1999 Nr 7/8, s. 35 – 37 (rec.: K. Denek: Wycieczki we współczesnej szkole. Poznań 1997)

107. Szulc W.: Standardy kształcenia muzykoterapeutów. Zeszyty Naukowe Akademii Muzycznej we Wrocławiu, nr 76, Wrocław 2000

108. Szulc W.: Meloterapia – terapeutyczne walory śpiewu. Zeszyty Naukowe Akademii Muzycznej we Wrocławiu., nr 77, Wrocław 2000

109. Szulc W., Michalak B.: Praca z głosem w dramaterapii. Zeszyty Naukowe Akademii Muzycznej we Wrocławiu, nr 77, Wrocław 2000

110. Szulc W.: Pielęgniarka jako organizator terapii reminiscencyjnej. W: "Doceniając przeszłość – planujemy przyszłość". V Kongres Pielęgniarek Polskich. Busko Zdrój 8-9 maja 2000, s. 93 - 99

111. Szulc W.: Koncerty i muzykoterapia. Aesculapius, 2000, nr 62, s. 11 – 12

112. Szulc W.: Terapia narracyjna. Alma Mater 2000, Rok X., nr 5, s. 70 – 75.

113. Szulc W.: Izrael w roku 2000. Refleksje na marginesie obrad Europejskiego Komitetu Muzykoterapii w Jerozolimie. Alma Mater 2000, Rok X, nr 4, s. 208 – 213.

114. Szulc W., Szabelska M.: Kształcenie muzykoterapeutów w USA i w krajach europejskich. Zeszyty Naukowe nr 76, Akademia Muzyczna im. K. Lipińskiego we Wrocławiu. Wrocław 2000, s. 27-40

115. Szulc W.: O rzetelną bibliografię biblioterapii. Bibliotekarz, 2000, nr 3.

116. Szulc W.: Sztuka i medycyna w Polsce i na świecie. Aesculapius 2000, nr 60, s. 8 – 1.

117. Szulc W.: Europejskie standardy kształcenia muzykoterapeutów. W: Arteterapia. Znaczenie arteterapii w psychiatrii polskiej. Pod red. A.Gmitrowicz, W.Karolaka. PK InSEA Łódź 2000, s. 18 – 22.

118. Szulc W., Twardowski A.: Working with dyslexic child in art. therapy room. – W: Arti Therapie, Roma 2000. 3a) Szulc W., Twardowski A.: Lavorare con bambini dislessico nella camera artiterapeutica."Arti Therapie" 2000, 2

119. Szulc W.: Silence as a cry of a hurt soul."Cosmos, Dream, Eros and Psyche in the Ethics of Science and Art." XIII Int'l Conference – Solinio Arte e Scienza per la Famiglia, la Scuola e la Società. Italia, Bari, 6-9 Ottobre 2000.
120. Szulc W.: Praca z głosem w dramaterapii. VI Konferencja Naukowa – Wybrane Problemy Wokalistyki w ramach XXVIII
121. Szulc W.: Pielęgniarka jako organizator terapii reminiscencyjnej. V Kongres Pielęgniarek Polskich, Busko – Zdrój 8 – 9 maja 2000
122. Szulc W.: Biblioterapia narracyjna jako aktywna forma leczenia. Seminarium Bibliotekarzy pt."Wstęp do biblioterapii", Kraków 26 października 2000
123. Szulc W., Twardowski A.: Zastosowanie arteterapii w pracy z dzieckiem dyslektycznym. W: Wykorzystanie metod nowatorskich i alternatywnych w pedagogice specjalnej. Pod red. W. Dykcika, Poznań 2001
124. Szulc W.: Music as a "trigger" of reminiscence. Dream about lost homeland. W: Atti della XII Conferenza Internazionale Solinio Arte e Scienza. Ed. F. Palmirotta. AMOedice 2001, p. 83 – 89
125. Szulc W., Twardowski A.: Working with dyslexic child in Art Therapy Room. *Arti Therapie*, 2001, nr 2
126. Szulc W.: "Sztuka w medycynie" jako przedmiot nauczania w Akademii Medycznej. *Alma Mater* 2002, nr 1/42, s.130 – 133
127. Szulc W.: Muzykoterapia w granicznych momentach życia człowieka: ból narodzin i lęki starości". *Muzykoterapia Polska* 2002, nr 3-4, s.20 – 46.
128. Szulc W.: Music Therapy as part of primary Education Teachers Training. Dialog and debate. Music Therapy in the 21st Century: A Contemporary Force for Change. Book of Abstracts. 10th World Congress of Music Therapy 23rd – 28th July 2002, Oxford, England, p. 343
129. Szulc W., , Old people and the arts.(w:) Arts – Therapies – Communication. On the Way to a Regional European Arts Therapy. V.2. l. Kossolapow, S. Scoble, D. Waller (eds.) Lit Verlag Muenster - Hamburg – London 2003; s. 506 – 510;
130. Szulc W.: Awantury o holizm ciąg dalszy. *Alma Mater*, 2002,
131. Szulc W.: Przynależność Polski do Europejskiego Konsorcjum Edukacji Arteterapeutów. Stan obecny i perspektywy. W: Doskonalenie edukacji na poziomie wyższym i średnim u progu XXI wieku. Praca zbiorowa pod red. S. Kmiecica i S. Wieczorka. Oficyna Wydawnicza Politechniki Rzeszowskiej. Rzeszów 2004, s. 27 – 30
132. Szulc W.: Efekt św. Mateusza w piśmiennictwie medycznym. *Polski Merkuriusz*

- Lekarski*, dawniej *Polski Tygodnik Lekarski*. Organ Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, 2004, t. XVI, nr 92, s. 199 – 200
133. Szulc W.: Wątpliwa nowość nowej książki o arteterapii. Rec. książki Eweliny. J. Koniecznej "Arteterapia w teorii i praktyce." *Impuls*, Kraków 2003. *Studia Pedagogiczno – Artystyczne*. T.IV. UAM Kalisz – Poznań, 2004, s. 343 – 344
134. Szulc W.: Arteterapia jako dyscyplina akademicka / Wita Szulc // *Forum Akademickie*. - 2004, nr 9, s. 48-49
135. Szulc W.: Przynależność Polski do europejskiego konsorcjum edukacji arteterapeutów : stan obecny i perspektywy / Wita Szulc // W: Doskonalenie edukacji na poziomie wyższym i średnim u progu XXI wieku : praca zbiorowa / pod red. Stanisława Kmiecica i Stanisława Wieczorka. - Rzeszów, 2004. - S. 27-30. - Bibliogr.
136. Szulc W., Wolfram I.: The Artistic Creativity of Stressed and Traumatized People. A Music Therapeutic Interpretation of the Tale "The Bremen Town Musicians" in a Joint Polish – German Perspective (w:) Many Faces of Music Therapy. 6th European Music Therapy Congress June 16 – 20, 2004, University of Jyväskylä, Finland, p.62 - 63:
137. Szulc W., Wolfram I.: Terapeutyczne walory bajki o "Czterech muzykantach z Bremy w interpretacji niemieckiej i polskiej (W:) Wielokulturowość - międzykulturowość obszarami edukacyjnych odniesień / pod red. nauk. Alicji Szerłag. - Kraków, 2005. - S. 567-576. - Bibliogr.
138. Szulc W.: Stosowanie muzyki w medycynie a muzykoterapia. W: Nowe trendy w edukacji muzycznej. Pod red. A. Białkowskiego. Wyd. UMCS Lublin, 2005, s. 219 - 22
139. Szulc W., Twardowski A. Il bambino dislessico in artiterapeutica camera. *Ibidem* Szulc W.: Arteterapia. Powrót do źródeł. *Wspólne Tematy*, 2005,
140. Szulc W.: Terapia roślinna czyli hortikuloterapia. *Wspólne Tematy*, 2005.
141. Szulc W.: Dramaty współczesnego człowieka a muzykoterapia. *Wspólne Tematy*, 2005
143. Szulc W.: Arteterapia jako dyscyplina akademicka. *Forum Akademickie*, 2005, Szulc W.: Badania naukowe w muzykoterapii. *Forum Akademickie* 2005, nr 3, s. 48-50
144. Szulc W.: Edukacja arteterapeutów - historia i perspektywy. - Bibliogr. // *Kwartalnik Edukacyjny*. - 2005, nr 3, s. 3-10
145. Historia Guziolka czyli Jak tworzyć i wykorzystywać bajki i opowiadania w biblioterapii oraz rozwoju aktywności twórczej dziecka w wieku przedszkolnym : poradnik dla dzieci, rodziców i nauczycieli / Katarzyna Szeliga. - Kraków : Oficyna Wydawnicza "Impuls", 2005. - 123, [1] s. : rys., fot., portr. + dysk optyczny (CD-ROM). - S. 9-10 :

146. Szulc W.: Nauka z drugiej ręki // Forum Akademickie. - 2005, nr 12, s. 28-29
147. Szulc W.: Początki arteterapii jako dyscypliny paramedycznej w Europie // W: Metody i formy terapii sztuką / red. nauk. Lidia Kataryńczuk-Mania. - Zielona Góra : Oficyna Wydaw. Uniwersytetu Zielonogórskiego, 2005. - S. 7-10. - Bibliogr. - Recenzja: prof.dr hab. Aleksandra Maciarz
148. Szulc W.: Polska muzykoterapia ma wiele twarzy // Voices : a world forum of music therapy [Dokument elektroniczny]. - 2005. - Artykuł dostępny pod adresem: http://www.voices.no/country/monthpoland_august2005.html. - Link zweryfikowany 17.11.2006. - Pod tym samym adresem znajduje się też wersja angielska artykułu pt. "Polish music therapy has many faces"
149. Szulc W.: Terapia przez sztukę : powrót do źródeł // Wspólne Tematy. - 2005, nr 3, s. 3-9
150. Szulc W.: Bajki nie-bajki i bajkoterapia // Życie Szkoły. - 2006, nr 6, s. 5-11
151. Szulc W.: Historia arteterapeutyki // Edukacja i Dialog. - 2006, nr 8, s. 66-69
152. Szulc W.: Jak występować na konferencjach? // Forum Akademickie. - 2006, nr 10, s. 50-51
153. Szulc W.: Książka na receptę : o biblioterapię akademicką w Roku Języka Polskiego // Indeks: pismo Uniwersytetu Opolskiego. - 2006, nr 3-4, s. 74-76
154. Szulc W.: Noworodek do zabawy /// Forum Akademickie. - 2006, nr 1, s. 32-33
155. Szulc W.: Wykorzystanie do celów terapeutycznych metaforycznych znaczeń bajki o "Czterech muzykantach z Bremy" // Kwartalnik Edukacyjny. - 2006, nr 2, s. 48-54
156. Szulc W.: Arteterapia paliatywna : barwy zachodzącego słońca. - Bibliogr. - Streszcz. w jęz. ang. // Polskie Forum Psychologiczne. - T. 12, nr 1 (2007), s. 22-30 : fot.
157. Szulc W.: Arteterapia w Czechach i na Słowacji - Rec. pracy: Basic Art Therapy / Jaroslava Sičkova-Fabricsi. Bratislava, 2007 // Wspólne Tematy. - 2007, nr 11-12, s. 90-91
158. Szulc W.: Dramaty współczesnego człowieka: wypędzenia, prześladowania, samotność w pryzmacie bajki o "Czterech muzykantach z Bremy" // W: Pokój jako przedmiot międzykulturowej edukacji artystycznej / pod red. Jarosława Chacińskiego. - Słupsk : Wydaw. Naukowe Akademii Pomorskiej, 2007. - S. 261-266. - Streszcz. w jęz. niem. - Niniejszy tekst stanowi zmienioną i poszerzoną (w zakresie badań percepcji bajki) wersję referatów W. Szulc i I. Wolframa z 2004 r. - - Recenzent: prof. dr hab. Sławomir Czarnecki

159. Szulc W.: Dwa indeksy Uniwersytetu Jana Kazimierza i ich właściciele / Wita Szulc // Indeks : pismo Uniwersytetu Opolskiego. - 2007, nr 9-10 (83-84), s. 46-49 : il., fot.
160. Szulc W.: Dzieci w swoim baśniowym świecie // Życie Szkoły. - 2007, nr 10, s. 28-29
161. Szulc W.: ākslas, mūzikas un kultūras terapijas koncepcija Polijā : izglātība un prakse = The conception of art-music-culture therapy in Poland: education and practice // W: Integratīvā mākslas terapija - teorija un prakse : tēzes : 5. Starptautiskā mākslas terapijas konference = Integrative art therapy - theory and practice : abstract : 5th International Art Therapy Conference. - Rīga : Rīgas Stradina universitāte, 2007. - S. 47-49. - (S. 47 : wersja litewska, S. 48-49 : wersja angielska). - Tezy z konferencji: Liepāja, Nīcas pagasts, Latvija 2007. gada 12.-15. jūlijs = Liepāja, the district of Nica, Latvia July 12-15, 2007.
162. Szulc W.: Nauka - bibliografia - sztuka i terapia // Indeks: pismo Uniwersytetu Opolskiego. - 2007, nr 5-6, s. 80-82
163. Szulc W.: Współczesne kierunki rozwoju arteterapii : arteterapia w programach terapeutycznych dla dzieci i młodzieży // W: Sztuka dla dziecka jako forma komunikacji społecznej : praca zbiorowa. T. 1 / pod red. Grzegorza Leszczyńskiego. - Poznań : Centrum Sztuki Dziecka w Poznaniu, 2009. - (Sztuka i Dziecko ; Seria Wydawnictw Naukowych Biennale Sztuki dla Dziecka). - S. 63-79. - Bibliogr. - Informacja o konferencji także w internecie: www.csdpoznan.pl. - należy w menu po lewej stronie wybrać opcję kongresy/konferencje. - Pokłosie konferencji naukowej "Sztuka dla dziecka jako forma komunikacji społecznej" Poznań, 17-18 listopada 2008. - Red. merytoryczna prof. dr. hab. Marta Karasinska i Hanna Gawrońska [ze wstępu]
164. Szulc W.: Dzieci w swoim bajkowym świecie : [wstęp] // W: Bajkoterapia czyli jak z Guziołkiem tworzyć i wykorzystywać bajki i opowiadania w bajkoterapii oraz rozwoju aktywności twórczej dziecka w wieku przedszkolnym: poradnik dla dzieci, rodziców i nauczycieli / Katarzyna Szeliga. - Kraków : "Impuls", 2008. - S. 7-9
165. Szulc W.: Kontakty zagraniczne polskiej arteterapii // W: Arteterapia : terapia sztuką w praktyce. - 2008, nr 2 (wrzesień), s. 8
166. Szulc W.: Arteterapia.. // W: Arteterapia w medycynie i edukacji / red. Wiesław Karolak, Barbara Kaczorowska. - Łódź : Wyższa Szkoła Humanistyczno-Ekonomiczna w Łodzi, 2008. - S. 201-205. - Bibliogr. - Recenzja: prof. dr hab. Eugeniusz Józewski - Połocie II Ogólnopolskiej Konferencji Szkoleniowo-Naukowej "Arteterapia w

medycynie i edukacji”

167. Szulc W.: Słowo od recenzenta. Arteterapia w edukacji i rozwoju człowieka / red. Małgorzata i Tomasz Siemień. - Wrocław : Wydawnictwo Naukowe Dolnośląskiej Szkoły Wyższej, 2008. - 235 s. : il. (w tym kolor). - Bibliogr. s. 221-235 oraz przy niektórych ref. - S. 13-14 :. - Recenzent: dr hab. Wita Szulc.

168. Szulc W. Arts therapists education : teaching sensitivity through works of art contemplation, literature and reflective writings // W: Mūsdienu mākslu terapija : teorija un prakse : tēzes : 6 Starptautiskā mākslas terapijas konference = Contemporary arts therapies : theory and practice : theses : 6th International Art Therapy Conference. - Rīga : Rīgas Stradina universitāte, 2008. - S. 35. - Tezy z konferencji: Rēzenke un Rēzenkes rajons, Latvija 2008. gada 18.-20. jūlijs = Rēzenke, Rēzenke region, Latvia july 18-20, 2008

169. Szulc W.// W: Upowszechnianie kultury - wyzwaniem dla edukacji kulturalnej / pod red. Katarzyny Olbrycht, Eweliny Koniecznej, Jolanty Skutnik. - Toruń : Wydaw. Adam Marszałek, 2008. - S. 101-107. - Bibliogr.

170. Szulc W.: Magia Huculszczyny // Indeks: pismo Uniwersytetu Opolskiego. - 2008, nr 3-4, s. 44-45

170a. Toż: Szulc W.: Magia Huculszczyny // W: Huculszczyna : kultura i edukacja / pod red. Anny Haratyk. - Toruń : Wydaw. Adam Marszałek, 2009. - S. 9-15

171. Szulc W.: Antyczne źródła terapii sztuką : moja fascynacja starożytną Grecją : podróże z arteterapią. Cz.1 / // Arteterapia : terapia sztuką w praktyce. - 2009, nr 3, s. 13-16

172. Szulc W.: Wiedza o kulturze jako niezbędny komponent edukacji akademickiej pielęgniarzek, lekarzy i nauczycieli - // W: Kompetencje absolwentów szkół wyższych na miarę czasów : wybrane ujęcia / pod red. Alicji Szerłag. - Wrocław : Oficyna Wydaw. "Atut" - Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe, 2009. - S. 279-288. - Bibliogr. - Streszcz. w jęz. ang. - Recenzja: prof. dr hab. Eleonora Sapia-Drewniak.

173. Szulc W.: Wielki świat muzykoterapii, słynne kongresy, słynni muzykoterapeuci : podróże z arteterapią. Cz. 2 /. - Bibliogr. // Arteterapia : terapia sztuką w praktyce. - 2009, nr 4, s. 2-3

174. Szulc w.: Ameryka, Ameryka.. zapowiedź przeżyć niezwykłych : podróże z arteterapią. Cz. 3 / - Bibliogr. // Arteterapia : terapia sztuką w praktyce. - 2010, nr 1, s. 9-16

175. Szulc W.: Arteterapia jako nauka // W: Aktywność twórcza w edukacji i arteterapii : praca zbiorowa / pod red. nauk. Aleksandry Chmielnickiej-Plaskoty. - Warszawa

: Instytut Edukacji Artystycznej Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej, 2010. - (Edukacja, Sztuka, Integracja ; t. 1). - S. 40-49. - Bibliogr. - Streszcz. w jęz. pol., ang. - Recenzja: prof. dr hab. Stanisław Trzeszczkowski, prof. dr hab. Aleksandra Simińska.

176. Szulc: W. (oprac.)Edukacja arteterapeutów w krajach europejskich /] // W: Arteterapia jako dyscyplina akademicka w krajach europejskich : Uniwersytet Wrocławski w ECArTE : praca zbiorowa / pod red. nauk. Wity Szulc przy współpracy Mirosławy Furmanowskiej i Joanny Gładyszewskiej-Cylulko. - Wrocław : Oficyna Wydawnicza ATUT - Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe, 2010. - S. 47-71. - Recenzent: prof. ASP dr hab. Tomasz Rudowski - Tekst oprac. na podst. sprawozdań reprezentatów krajowych składanych na corocznych posiedzeniach Zgromadzenia Ogólnego ECArTE.

177. Europejska Konfederacja Muzykoterapii (The European Music Therapy Confederation) / [oprac. Wita Szulc] // W: Arteterapia jako dyscyplina akademicka w krajach europejskich : Uniwersytet Wrocławski w ECArTE : praca zbiorowa / pod red. nauk. Wity Szulc przy współpracy Mirosławy Furmanowskiej i Joanny Gładyszewskiej-Cylulko. - Wrocław : Oficyna Wydawnicza ATUT - Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe, 2010. - S. 75-77. - Recenzent: prof. ASP dr hab. Tomasz Rudowski. - Tekst oprac. na podst. sprawozdań reprezentatów stowarzyszeń krajowych muzykoterapii składanych na corocznych posiedzeniach Europejskiego Komitetu Muzykoterapii.

178. Europejski Rejestr Muzykoterapeutów / [oprac. Wita Szulc] // W: Arteterapia jako dyscyplina akademicka w krajach europejskich : Uniwersytet Wrocławski w ECArTE : praca zbiorowa / pod red. nauk. Wity Szulc przy współpracy Mirosławy Furmanowskiej i Joanny Gładyszewskiej-Cylulko. - Wrocław : Oficyna Wydawnicza ATUT - Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe, 2010. - S. 83-84. - Recenzent: prof. ASP dr hab. Tomasz Rudowski. - Tekst oprac. na podst. sprawozdań reprezentatów stowarzyszeń krajowych muzykoterapii składanych na corocznych posiedzeniach Europejskiego Komitetu Muzykoterapii.

179. Szulc W.:Europejskie standardy edukacji arteterapeutów : rola ECArTE i stowarzyszeń zawodowych / // W: Arteterapia jako dyscyplina akademicka w krajach europejskich : Uniwersytet Wrocławski w ECArTE : praca zbiorowa / pod red. nauk. Wity Szulc przy współpracy Mirosławy Furmanowskiej i Joanny Gładyszewskiej-Cylulko. - Wrocław : Oficyna Wydawnicza ATUT - Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe, 2010. - S. 19-26. - Bibliogr. - Recenzent: prof. ASP dr hab. Tomasz Rudowski.

180. Szulc W.: The path to professionalism - some parallels between nursing and arts therapies education / // W: Arteterapia jako dyscyplina akademicka w krajach europejskich : Uniwersytet Wrocławski w ECArTE : praca zbiorowa / pod red. nauk. Wity Szulc przy współpracy Mirosławy Furmanowskiej i Joanny Gładyszewskiej-Cylulko. - Wrocław : Oficyna Wydawnicza ATUT - Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe, 2010. - S. 185-189. - Bibliogr. - Recenzent: prof. ASP dr hab. Tomasz Rudowski.

181. Szulc W.: Podróż do Jerozolimy w roku 2000 i Kadyksu 10 lat później : dwa ważne zgromadzenia muzykoterapeutów w historii EMTC : podróże z arteterapią. Cz. 5 // Arteterapia : terapia sztuką w praktyce. - 2010, nr 3, s. 20-26 : fot.

182. Szulc W.: Program studiów dla specjalizacji muzykoterapia na kierunku edukacja artystyczna w zakresie sztuki muzycznej w Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach / // W: Arteterapia jako dyscyplina akademicka w krajach europejskich : Uniwersytet Wrocławski w ECArTE : praca zbiorowa / pod red. nauk. Wity Szulc przy współpracy Mirosławy Furmanowskiej i Joanny Gładyszewskiej-Cylulko. - Wrocław : Oficyna Wydawnicza ATUT - Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe, 2010. - S. 89-92. - Bibliogr. - Recenzent: prof. ASP dr hab. Tomasz Rudowski.

183. Szulc W.: Programme of doctoral study in pedagogy with specialization arts therapies on the Wrocław University / // W: Arteterapia jako dyscyplina akademicka w krajach europejskich : Uniwersytet Wrocławski w ECArTE : praca zbiorowa / pod red. nauk. Wity Szulc przy współpracy Mirosławy Furmanowskiej i Joanny Gładyszewskiej-Cylulko. - Wrocław : Oficyna Wydawnicza ATUT - Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe, 2010. - S. 197-199. - Recenzent: prof. ASP dr hab. Tomasz Rudowski.

184. Szulc W.: Śladami ECArTE w Ferrarze, Londynie, Luxemburgu : Podróże z arteterapią. Cz. 4 / Bibliogr. // Arteterapia : terapia sztuką w praktyce. - 2010, nr 2, s. 19-24 : il.

185. Szulc W.: Specjalizacja w zakresie arteterapii w programie studiów doktoranckich z pedagogiki na Uniwersytecie Wrocławskim / // W: Arteterapia jako dyscyplina akademicka w krajach europejskich : Uniwersytet Wrocławski w ECArTE : praca zbiorowa / pod red. nauk. Wity Szulc przy współpracy Mirosławy Furmanowskiej i Joanny Gładyszewskiej-Cylulko. - Wrocław : Oficyna Wydawnicza ATUT - Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe, 2010. - S. 87. - Bibliogr. - Recenzent: prof. ASP dr hab. Tomasz Rudowski.

186. Szulc W.: Therapeutic value of artistic creativity for the aged / // W: Arteterapia jako dyscyplina akademicka w krajach europejskich : Uniwersytet Wrocławski w

ECArTE : praca zbiorowa / pod red. nauk. Wity Szulc przy współpracy Mirosławy Furmanowskiej i Joanny Gładyszewskiej-Cylulko. - Wrocław : Oficyna Wydawnicza ATUT - Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe, 2010. - S. 191-195. - Bibliogr. - Recenzent: prof. ASP dr hab. Tomasz Rudowski.

187. Szulc W.: Zdjęcia z rodzinnego albumu : wstęp do fotografoterapii // W: ..sztuka/ twórczość..edukacja : współczesne problemy edukacji estetycznej i artystycznej / pod red. nauk. Wojciecha Bobrowicza. - Lublin : Verba, 2010. - S. 155-160. - Bibliogr. - Recenzent: prof. dr hab. Henryk Depta

188. Szulc W.: Biblioterapia : problem efektywności // W: Arteterapia : od rozważań nad teorią do zastosowań praktycznych / red. Wiesław Karolak, Barbara Kaczorowska. - Łódź : Wydawnictwo Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej, 2011. - S. 251-262. - Bibliogr. - Streszcz. w jęz. pol. - Recenzenci: prof. dr hab. Wiesława Limont

189. Szulc W.: Biblioterapia. Powrót do źródeł. Przegląd biblioterapeutyczny. 2011 R.1. nr 1, s.6 - 29

190. Słowo od recenzenta /Wita Szulc//W: Terapia w służbie sztuki. Sztuka w służbie terapii./red. Alicja Kuczyńska i Marcin Czub. - Wrocław. Oficyna Wydawnicza "Atut".

2011. Bibliogr. Recenzent: prof. Uniwersytetu Wrocławskiego dr hab. Wita Szulc, s. 13 - 14

191. Szulc W., Music Therapy for All '? - true or false? ///W: Nordic Music Therapy Congress. Music Therapy Models, methods and Techniques. Programme&Abstracts. 16 -17. June, 2012, p. 118 Jvaskyla, Finland

192. Szulc W., Bury N., Impact of Music Activity on Self Confidency and Communication Skills Development /W. Szulc, N. Bury// Mozart&Science. 4th International Conference on Interdisciplinary Research into the Effects of Music. Music in Medicine and Therapy 8 - 10 November 2012. Abstracts of Lectures and Posters., s. 69.



Rzeka Prut współcześnie.



Zerwany most na rzece Prut.



Pomnik „Człowiek z wydartym sercem”
w Rotterdamie.



Śniatyn dzisiaj - Ratusz.



Ojciec w mundurze z małym dzieckiem.



Z albumu rodzinnego – moi Dziadkowie
w sanatorium w Zakopanem.



Z albumu rodzinnego – moi Rodzice z „pociechami”.



Z albumu rodzinnego – dzieci: moja Mama, jej siostra i doklejone zdjęcie po środku – mój syn.



Zdjęcie ślubne moich Rodziców.



Abiturienti Gimnazjum Lwowskiego.



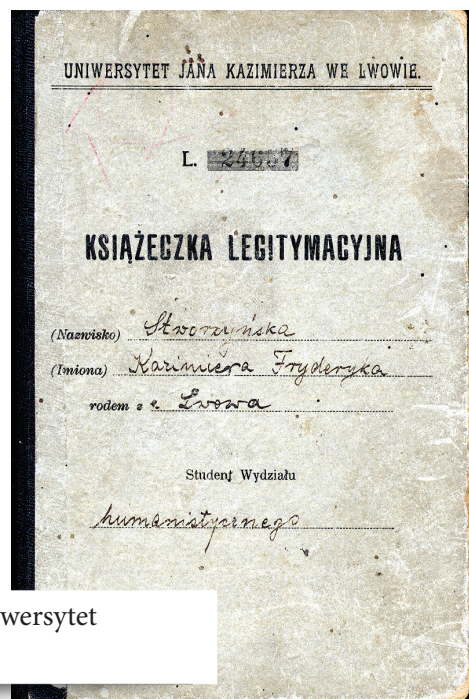
Liskowe wierszyki.



„Mamo, kury się na mnie gapią”.



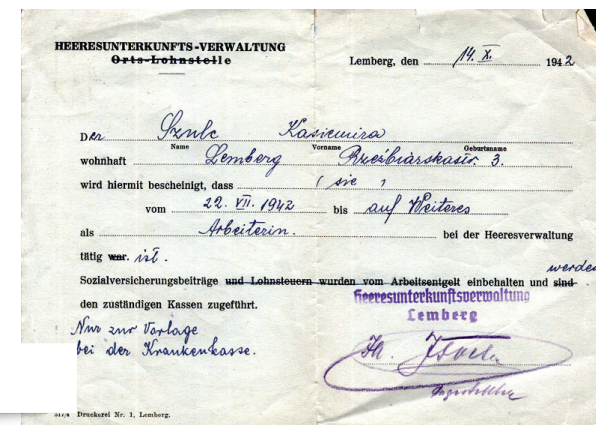
Ojciec z córkami.



Legitymacja studencka Uniwersytet Lwowski z 1925r

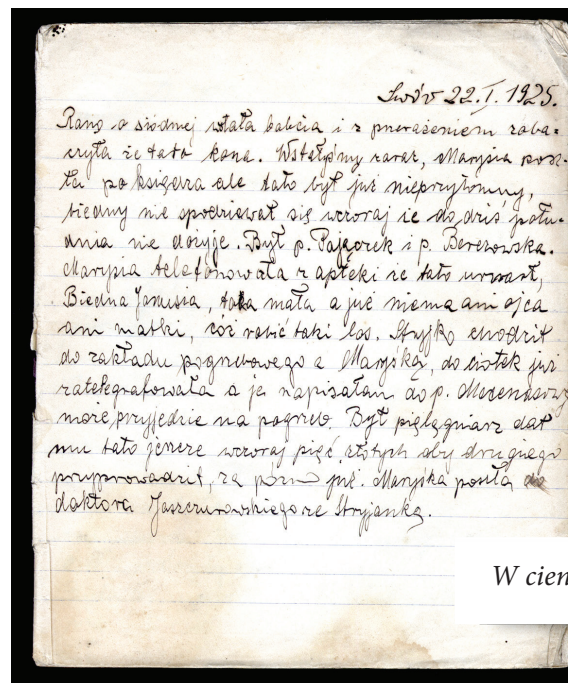


Bożonarodzeniowa kartka świąteczna.



Zaświadczenie o pracy z 1920r.

Wielkanocna kartka świąteczna.



W cieniu żałoby – 22.01.1925r.





Życzenia od Cioci Janki.



Życzenia przesłane do Sanatorium Olin.



W gabinecie w 1998r.



EArTE



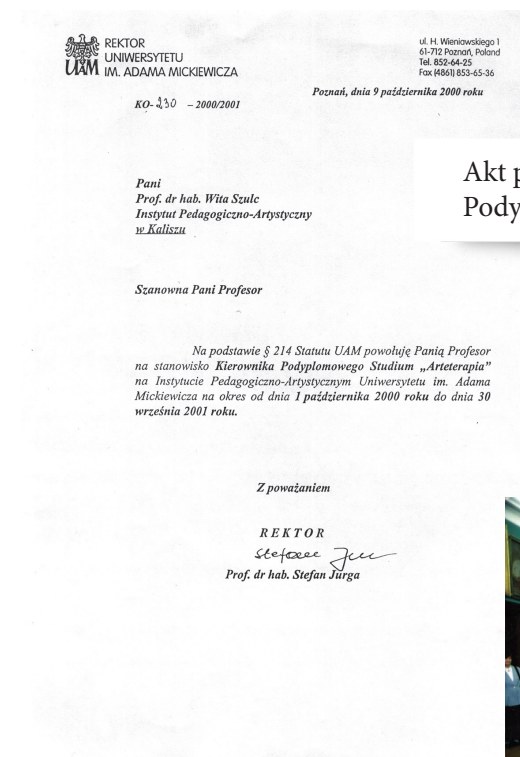
Na Konferencji Jakość i życie.



Na Konferencji EArTE.



Konferencja ECARTe – Otterberg.



Akt powołania na stanowisko Kierownika Podyplomowego Studium Arteterapia.

Zakończenie Konferencji Sztuka w służbie medycyny.



Na Kongresie w Finlandii w 2004r



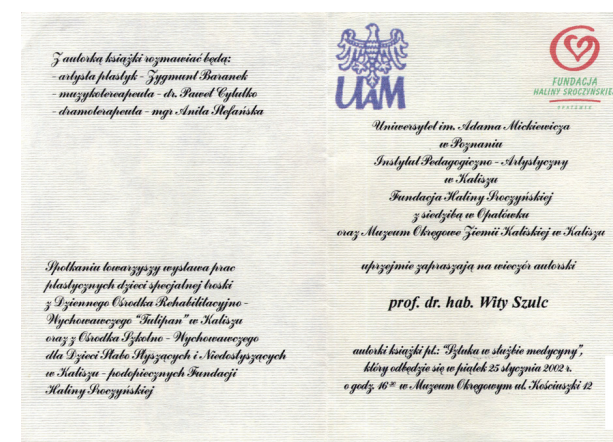
Wręczenie nominacji profesorskiej.



Podziękowanie.

„Nie wystarczy zdobywać mądrości,
trzeba jeszcze z niej korzystać”.
Cyceron

Kongres w EMTC w Jerozolimie, Izrael 2000r



Zaproszenie.

Szanowna Pani,
prof. UAM dr hab. Wita Szulc

W tym szczególnym dla nas dniu,
obrony pracy licencjackiej,
prosimy przyjąć nasze najgorętsze podziękowania
za pomoc, cenne rady i życzliwość.

Z wyrazami szacunku,
Studentki Pedagogiki Lekarskiej i Terapii Pedagogicznej.



Na prywatnej audiencji w Watykanie.



Wręczenie pierwszych certyfikatów SAP Kajros.